

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 12 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 7 (346) • ROK XXX • LIPIEC 2024



DRŻY POWIETRZE
PO ŚMIGŁYM ZNIKU



Żegnamy

Katarzynę Młynarczyk
4 grudnia 1952 – 13 maja 2024
poetkę

Witolda Izdebskiego
27 października 1962 – 14 maja 2024
twórcę teatru Cogitatur

Tomasza Kostro
* 1947 – 2 czerwca 2024
pisarza i publicystę

Byli z nami, są z nami

Nr 7 (346). Rok XXX. LIPIEC 2024

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

MARIAN KISIEL
Redaktor naczelnyTOMASZ BIENIEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
SztukaJAROSŁAW STYPA
KulturaKRYSTIAN WĘGRZYNEK
RegionTOMASZ KOWALSKI
Redaktor technicznyKATARZYNA DZIUBAŁA
KorektaBOGUMIŁA CYRÓN
Kierownik biura

Stali współpracownicy:
EWA BARTOS
ANDRZEJ JARCZEWSKI
JAROSŁAW KAPSA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
KATARZYNA NIESPOREK-KLANOWSKA
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
PIOTR SKOWRONEK
GRZEGORZ SZTOLER
AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Felietoniści:
TOMASZ BOCHEŃSKI
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
RYSZARD JASNORZEWSKI
KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI
KRZYSZTOF ŁĘCKI
JAN MALICKI
JAN MIODEK
TOMASZ SŁUPIK

ADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
slask.miesiecznik@gmail.com

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65

Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane teksty

Warunki prenumeraty:
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929

Prenumerata roczna – 144 zł, półroczna – 72 zł, kwartalna
– 36 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza – 12 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Egzemplarze archiwalne
slask.miesiecznik@gmail.com

Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1000 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 Marian Kisiel CZWARTA NAD RANEM
4 ŚLĄSKIE TEATRY ALTERNATYWNE Iwona Huss-Tuszyńska TEATR WIATYK
10 Ryszard Twardoń EKSPRESJA (1)
13 Jadwiga Wróńicz CZY ŚLĄSZCZYŻNA TO POLSZCZYŻNA? TAK!
16 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE Jarosław Kapsa OSTATNI TAKI HARCERZ. EPIZODY
18 IN MEMORIAM Marian Kisiel LESZEK BUGAJSKI 30 STYCZNIA 1949 – 26 MARCA 2024
20 CZYTELNI JEDNEGO WIERSZA Mirosława Szott NORWID I DICKINSON. ROZMOWA Z
JÓZEFEM BARANEM
22 IN MEMORIAM Piotr Wilczek ADAM CZERNIAWSKI 20 GRUDNIA 1934 – 29 LUTEGO 2024
25 Jacek Okoń GEORGIUS AGRICOLA I JEGO DZIEŁO W XII KSIĘGACH – PO POLSKU
26 ŚLĄSKA SCENA LITERACKA Radosław Kobierski CZUŁY NARRATOR W SZUMIE
NOWOCZESNOŚCI
29 IN MEMORIAM Marian Kisiel KATARZYNA MŁYNARCZYK 4 GRUDNIA 1952 – 13 MAJA 2024
30 Tadeusz Loster ŚLĄSKIE OBRAZKI ŚLUBNE – ZAPOMNIANA TRADYCJA
31 Andrzej Pisowicz WSPOMNIENIA ZE ŚLĄSKA (LATA 1947-54)
32 Wiesława Konopelska „HORYZONTY” I JUBILEUSZ GRZEGORZA PAJDZIKA
48 Andrzej Jarczewski APOLOGIA KOREKTOLOGII (IX) KOSZT DOKŁADNOŚCI
49 TEATR Wojciech Lipowski SKŁÓCENI Z ŻYCIEM
52 TEATR LALKI I AKTORA Weronika Górka JA TO KTOŚ INNY? INNY TO JA?
57 Henryk Gratkowski „ŚLĄSK” JELENIOGÓRSKI (OD MARCA 1946 DO LIPCA 1948)
60 PO-GWARKI PROFESORA Jerzy Paszek TO BIES JADA? TOBIE ZJADA? TOBIE SIADA?
74 Z DZIEJÓW POLSKIEJ KONRADYSTYKI Stefan Zabierowski POLSKA SZKOŁA INTERPRETACJI
CONRADA
77 Grzegorz Sztoler LAPIDARIUM SŁOWA WSPOMNIENIE O ZYGMUNCIE ORLIKU
78 Dawid Tyc CARL HOINKES FABRYKANT, HISTORYK I PISARZ
79 WŁOSKIE PODRÓŻE Janusz Plewniak MIASTO TRULLI – ALBEROBELLO
80 TEATR Zbigniew Lubowski CHORZOWSKIE EMOCJE ROCKOWE

GALERIA „ŚLĄSKA”. MALARSTWO

68 JOANNA LOLA STYRYLSKA

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE Maciej Bieszczad OBRACAJ SIĘ, OBRACAJ, CZARODZIEJSKA KULO
PLANETY
14 Maciej Bieszczad WIERSZE
28 Piotr Tenczyk WIERSZE
40 Janusz Koryl WIERSZE
42 Witold Izdebski BLASK
54 PROZA ŚLĄSKA Szymon Pławewski 1920. WENN FÜRST UND VOLK... 1915. JECHŐŁÉS NA KOLE,
A NAZŐD NA DWÓCH
66 Marek Piechota ZE STARYCH I NOWYCH PRZYKAZYJEK (7)

FELIETONY

- 27 BIAŁE KRUKI Jan Malicki LITERACKIE DIALOGI. FLORIAN ŚMIEJA I PAWEŁ ŁYSEK
34 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ Krzysztof Korwin-Piotrowski PARANDOWSKI, ORFEUSZ I PIEKIELNY
KANKAN W SZCZECINIE
36 ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA Jan Miodek „INO WILIMOWSKI!”
37 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM Marian Gerlich KANONENFUTTER
38 ZAPISKI REZONERA Krzysztof Łęcki KŁOPOT Z KOŁAKOWSKIM
39 MAŁE NARRACJE Tomasz Bocheński HYBRYDY (11)
46 WYZNANIA GÓRNOŚLĄZAKA Tomasz Słupik NIEPEWNA PRZYSZŁOŚĆ
47 NOTATNIK SPORTOWY Ryszard Jasnorzewski RZUT METAFORĄ
73 JĘZYK W STRUNACH Piotr Grella-Możejko KLARNECISTKA PISARKĄ

KSIĄŻKI

- 62 Ryszard Bednarczyk ŚMIERĆ BĘKARTA HRABIEGO
63 Krystyna Heska-Kwaśniewicz EKSPATRIANTOM W HOŁDZIE
64 Piotr Skowronek SMYKAJĄC SIĘ PO ZIEMIACH ODZYSKANYCH
65 Weronika Górka OBUMIERANIE ŻŁUDZĘN

Na okładce:

Joanna Lola Styrylska, *Forever Young II*, 100x110 cm, akryl na płótnie, 2022Pismo wspierane
finansowo przez:Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa NarodowegoWojewództwo
ŚląskieKATOWICE
dla odmiany

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.



Czwarta nad ranem

1

Lipiec. – Koniec roku akademickiego. Coraz częściej łapię się na tym, że bardzo odchodzimy od siebie. Ja od studentów, studenci ode mnie. Uczę literatury XX wieku, chcę i lubię uczyć. Myślę też, że umiem uczyć i nie jestem najgorszym wykładowcą. Umiem opowiadać o procesie literackim, ewolucji pisarzy (ich zmianach wyborów), o gatunkach, które zmieniają się w czasie. Ale studenci coraz częściej nie chcą rozmawiać o literaturze, chcą rozmawiać o ideach, płci, transgresji, węglu i klimacie. Powtarzają przeczytane teorie (jeśli zachodnia, to lepsza). Więc literatura jest *out*, nie jest już dla nich tak ważna, jak była dla nas. Ważne są inne kwestie. Może źle wybrali kierunek studiów, może wolą rozmawiać z młodszymi, z którymi nawiązują wspólny język, a nie z dziadkami, upominającymi się o szacunek dla zapisanego słowa? Literatura jednak – wciąż tak myślę – jest odbiciem spraw ważnych. Więc ważne jest nasze uczenie tropów, stylów i konwencji. A rytm, rym? Myślą: komu to potrzebne? Jednak jest to potrzebne, bo nie ma nic lepszego niż porządkowanie głowy, wymiatanie z niej głupot i naiwności. – Ale, OK, czas odchodzić. Odejdę z anapestem, spondejem i peonem trzecim, a jeżeli spotkamy się z jonikiem (*a maiore* lub *a minore*) to będzie to spotkanie dziwne, choć w tym samym kręgu literackiej wspólnoty. A wy, moi studenci, z kim zostanieie w tej wspólnocie? Z węglem, regulacją Rawy czy z odkryciem, że książka to przeżytek i trzeba przerzucić się na inny zawód?

2

Lipień. – Oczywiście, że nie odejdę. To tylko była taka refleksja „pod lipą”, jak w wierszu Juliana Przybosa: „Jakże w cieniu, pod lipą – przysłowiec?”. Niemniej jest coś na rzeczy. Potrzebujemy światłych nauczycieli języka polskiego, którzy będą kształtować charakter młodych ludzi. Potrzebujemy odnowienia rangi tego zawodu. A dobrym nauczycielem nie będzie ten, kto nie chce czytać, tylko delibrować na poziomie akademickim (po-

ziom akademicki znaczy często „austriackie gadanie”), czy w wierszach Świrszczyńskiej mamy do czynienia z upodrzedniającym podmiotkę samczyzmem. – Marzy mi się, że o literaturze będziemy rozmawiać literacko, a nie ideologizując. Więc, jeżeli będziemy czytali Broniewskiego, to nie jako Poetę Zdradzieckiego Pachotka Rosji, a jeżeli Wojtyłę, to nie na kolanach, bo klęczenie na grochu już od dawna jest zabronione.

3

Instytut Literatury. – Od miesiąca nie ma już tej instytucji. Od początku byłem w Radzie Programowej, choć za bardzo się w niej nie udzielałem. Wiem, że wielu IL denerwowało, wielu wystąpiło przeciwko niemu nie tyle z pobudek merytorycznych, ile ideowych. W demokracji jest to normą. Likwidacja IL była jednak błędem ministra Bartłomieja Sienkiewicza, który w swoim słusznym impecie likwidował różne placówki o charakterze narodowym czy wręcz nacjonalistycznym. Ale IL nie był taki. Wielką zasługą dr. hab. Józefa Marii Ruszara było otwarcie na różne środowiska i ich potrzeby. Życzę nowemu dyrektorowi Instytutu Książki, dr. Grzegorzowi Jankowiczowi, który powiększył majątek IK również o Smoleńsk 20, wyremontowany, reprezentacyjny budynek w centrum Krakowa, tak wielkim uporem Ruszara oddany literaturze, żebyśmy nie musieli pisać niebawem, że wróciło stare w nowym ubraniu, czyli... Zresztą, pan dyrektor wie.

4

Śląsk. – Denerwuję się, kiedy czytam różnych niewykształconych mądrali, występujących przeciwko stanowisku prof. Jana Miodka, sprzeciwiającego się idei powołania języka śląskiego jako regionalnego. Chociaż nie jestem rodowitym Ślązakiem, raczej naturalizowanym, bo mieszkam tu już bardzo długo, to jednak ta skłaniająca się agresja wciąż mnie irytuje. Kocham śląszczyznę, będę publikował w „Śląsku” literaturę śląską i po śląsku, udostępniam łamy zwolennikom i przeciwnikom śląszczyzny jako języka, ale zawsze będę przeciw niewykształconym mądralom, czyli „gupiokom”, mającym za jedyne argument to, że język śląski jest, bo jest. Nie gwara, nie dialekt, tylko język. (Pojęcie etnolektu obejmuje wszystkie te znaczenia). Jestem polonistą. Mogę uważać tak, jak profesor Jan Miodek. Ale nie muszę, mogę myśleć inaczej. Popieram starania Ślązaków, by uznać język, w którym mówią, za ich język. – Kiedy pisałem te słowa, nie wiedziałem jeszcze, że prezydent nie podpisał ustawy. Ale wiem, że w śląskich domach

toczyły się niepokojące rozmowy rodzinne, bardzo emocjonalne. A dzisiaj co? – ONA: „A joch se rachowała, iże on nom to zrychtuje”. – ON: „Niy, na niego niy możesz rachować”.

5

Dejcie pozor! – Ze zdumieniem zauważyłem, że zaczynam się radykalizować. Poprzedni redaktorzy naczelni „Śląska” w różnych okresach jego istnienia ujawniali swoje poglądy polityczne. Celował w tym zwłaszcza Tadeusz Kijonka. Ale „Śląsk”, pod moją redakcją, stara się zachować neutralność. Nie jesteśmy symetrykami, nie jesteśmy za tymi czy innymi. Jedyne, co nas odrzuca, to głupota, zacięłość i kłapki na oczach. Kiedy osobiście radykalizuję się, czasami również w „Śląsku”, to dlatego, że najbardziej uwierają mnie te kłapki na oczach. Chciałbym je zerwać „gupiokom”, bo kto nie widzi, ten nie rozumie. Najbardziej boli, że coraz częściej widzimy to w kręgu rodzinnym. Podzieliła nam się Polska, podzielił nam się Śląsk.

6

A w tle jest wojna. – Ludzie się niepokoją, a w telewizji drą pyski. „Niech pan nie robi z siebie klauna” – mówi eksminister do urzędującego premiera. Ten sam eksminister nazywa kolegę po stałe „zdegenerowanym człowiekiem”. Poseł członek komisji mówi o przewodniczącym komisji, że jest „nieukiem basenowym”. Prezes partii mówi o innym prezesie partii, że „zachowywał się jak ostatni lump”. – Oczywiście mogę to odwrócić: prezes o prezesie, że „budzi jego politowanie”. Przewodniczący innej komisji o członku komisji eksministrze, że „musi, bo się udusi”. – A w tle jest wojna, rośnie wewnętrzna niechęć. Piszę te słowa w maju, a w czerwcu odbędą się wybory, w których przeciwnicy Unii tylko po to do niej pójdą, aby ją potraktować jak „dojną krowę” i z „brukselskiej emigracji” biadolić nad polską biedą i unijnym uciskiem. A zwolennicy Unii będą w białych rękawiczkach masować nam plecy: Będzie dobrze rodacy! – A w tle jest wojna.

7

Trochę eschatologii. – A ludzie żyją i umierają. Zauważyli Państwo, ile ramek żałobnych pojawiło się ostatnio na drugiej stronie okładki „Śląska”? Zapamiętajmy słowa Czesława Miłosza: „Pisanie o umarłym przyjacielu przynosi ulgę. Skupienie uwagi na jego osobie sprawia, że czujemy mocno jego obecność. Mam jednak nadzieję, że kiedy odłożę pióro, będzie mi nadal towarzyszyć” (idem, *Zaczynając od moich ulic*, Instytut Literacki, Paryż 1985, s. 333).

Obracaj się, obracaj, czarodziejska kulo planety

Zbudził się i wyszedł. Uczepiły się go rozrzucone gazety.
Gdzie dokładnie skręcił? Którym odjechał autobusem?
Obracaj się, obracaj, czarodziejska kulo planety.

Zawrócił za szóstymi światłami? Z pomocą poety?
Tego, którego usiłował rozpoznać w stercie wzruszeń?
Pogłaszcze go przed snem. Wbiegną w rozrzucone gazety.

Obojętnieli kochankowie. Zwisały przestarzałe tapety.
Dla nich błąkał się po północy, łobuzerski uczeń.
Obracaj się, obracaj, czarodziejska kulo planety.

Głosił chwałę pokrzywdzonych. Napelniał nią sonety
Rozmów z nieznajomymi. Wydobywali z nich strumień.
Przemoczone gesty oplatały rozrzucone gazety.

Utul w kołysce żrenic odcienie, zarysy, portrety.
Trać trop i go odzyskuj w arcydziele powtórzeń.
Obracaj się, obracaj, czarodziejska kulo planety.

Astralny żebrak opowie koleje losu komety.
Spotkanie go na przystankach, w plątaninie sumień.
Podniesie się i wróci, ominie rozrzucone gazety.
Obracaj się, obracaj, czarodziejska kulo planety.



rys. Bogna Skwara

Zaczął się w listopadzie 1979 r. Dwudziestoletni wówczas Romek zakłada teatr i szybko znajduje mu lokum w studenckim klubie „Pyrlik” przy ulicy Jagiellońskiej. Już samo to było niemałym sukcesem. „Pyrlik” był w tamtych latach legendą, jednym z najprężniejszych klubów w regionie. Pomimo braku w Bytomiu wyższych uczelni, do klubu zjeżdżali studenci z całej aglomeracji. Mogli tu wziąć udział w spotkaniach kabaretowych, występach grup rockowych czy bluesowych, uczestniczyć w jazzowych jam-sessions albo posłuchać klasycznego koncertu fortepianowego. Stałe miejsce miała tu grupa SBB Józefa Skrzeka, goszczono Piwnicę pod Baranami, Skaldów, Niemena, Laskowika i wielu innych znaczących artystów. Organizowano turnieje brydża, fora dyskusyjne i najwyczajniejsze dyskoteki. Działo się.

Na spektakle przeznaczono czwartki. Bilety niedrogie, publiczność zwykle dopisywała. Trudno powiedzieć, czy teatr był dochodowy, czy deficytowy. Nigdy nie interesowało to ani Romka, ani chyba władz klubu. Nie to było istotne. Ważne, że w czasach, gdy na tzw. mieście niewiele się działo, a młodzież miała skromne możliwości spędzenia fajnie wolnego czasu, „Pyrlik” skutecznie łątał dziurę na kulturalnej mapie Bytomia. Można było posiedzieć przy piwie, posłuchać muzyki, zagrać w cymbalgaja i jeszcze zakosztować teatru.

Wiatyk zaczął od dwu spektakli, opartych na cudzych tekstach: *Jakby początek, jakby koniec* (wiersze polskich poetów współczesnych) i *Wyznanie pamięci* (wg pism Romana Ingardena), ale od razu było widać, że nie tędy droga. Na bazie tych, dość bolesnych, doświadczeń powstało więc pierwsze oryginalne dzieło Romka, *Gag gratisowy / Szybko jak pies*, na który składało się osiem etiud, stanowiących samodzielne całości. Premiera odbyła się w maju 1980 i w historii Wiatyku okazała się przełomem. Krzysztof Magowski tak pisał o *Gagu*: „Zespół zaprasza do inteligentnej zabawy w wyobraźnię, przedstawiając niby slapstickową burleskę, w której często robi się w konia, choć śmiech kuty jest na dwie strony, a częściej właśnie wbrew widzowi. Oglądamy w krótkich odsłonach, etiudach życie przerysowane, ale wiarygodne. Oto dojrzałość zawęża zakres wolności, suma wiedzy ogranicza, bieda oszwabia biedę, w poszukiwaniu autorytetu bardziej pomocnym wydaje się lustro aniżeli gazeta itd. Krótkie sceny sumują się w konkretny obraz, w próbę syntezy naszej nacji, o której mówił Norwid, iż jest słabym społeczeństwem, ale za to świetnym narodem. Gdzieś koło tej myśli lokuje się idea spektaklu”.

Rok po bytomskiej premierze, na przeglądzie teatrów debiutujących „Start ‘81” w Łodzi *Gag gratisowy* zdobył trzecie miejsce oraz nagrodę publiczności. Chwilę po-



Romuald Czubak

Teatr Wiatyk

IWONA HUSS-TUSZYŃSKA

Bytom po polsku, Beuthen po niemiecku, Bytōm lub Bytōń po śląsku. Piękny, zaniedbany, zamieszkaný przez wielokulturową społeczność, pod każdą z tych nazw był inspirującym i ukochanym dla Romka miejscem na Ziemi. Tenże Romek – a formalnie Romuald Czubak – pojawił się w moim życiu znienacka i na kilka lat uczynił je ekscytującym i niepowtarzalnym. Bo Wiatyk to był Romek, z całą Jego przenikliwością, dowcipem, oryginalnością. I szaleństwem.

tem było już pierwsze miejsce na VII Ogólnopolskim Przeglądzie Klubowych Teatrów i Kabaretów Katowice 1981 oraz wygrana w Przeglądzie Małych Form „Temafor” w Cieszynie. Wiatyk w krótkim czasie stał się rozpoznawalną marką w środowisku teatralnej alternatywy.

W swoim pierwszym składzie (Mariola Porombka, Leszek Więckowski, Jacek Ma-

kuch, Romek Czubak i jego młodszy brat Adam Tekieli) zespół zrealizował jeszcze trzy premiery. *Rozdarcie* (1981) było widowiskiem plastycznym, inspirowanym niemieckim romantyzmem. Podobnie *Die Weile* z 1983. Zdecydowanie najważniejsza jednak to *Droga z powrotem* (1982), którą Roman bardzo cenił i w której zawarł bardzo osobisty przekaz historyczno-filozoficzny.

TEATR »WIATYK«

»GAG GRATISOWY«

Scenariusz, reżyseria i scenografia — Romuald Czubak

S Z S P
REGIONALNY OŚRODEK STUDENCKI „PYRLIK”
Bytom, ul. Browarniana 6, tel. 81-60-26

TEATR WIATYK

HOTEL POD CIEMNĄ GWIAZDĄ



Bogdan Marcinkowski zanotował wówczas: „»Powrót do siebie jak do kościoła« jest metafizycznym mottem tego niezwykłego spektaklu. Akcja, jeśli można mówić o jakiejś akcji, toczy się w faszystowskich Niemczech i jest pretekstem do postawienia zasadniczych pytań pod adresem Człowieka. O jego istotę i sens istnienia, a raczej bezsens. (...) skromna scenografia oraz ostrożne operowanie światłem, które spełniało funkcję artystyczną, także długie okresy całkowitej ciszy i ciemności wpływały na odbiór i plastykę spektaklu, pomagały widzom nie tylko skoncentrować się na »oglądzie« i obserwacji, ale i na wewnętrznym, metafizycznym przeżyciu (...) Pod względem ruchowym i sprawnościowym aktorów oraz dynamiki przedstawienia jest to spektakl wręcz wzorowy.” *Droga* miała świetną recepcję i utrwaliła wysoką pozycję *Wiatyku* na scenie alternatywnej. W 1982 roku wygrała Tyskie Spotkania Teatralne, zaś rok później na VIII Reminiscencjach Teatralnych w Krakowie uznano ją za wydarzenie sezonu.

Ja, wraz z Maćkiem Żakiem, do zespołu dołączyłam właśnie w 1983 roku (Romek grywał jeszcze jakiś czas, ale ostatecznie skupił się wyłącznie na tworzeniu spektakli i ich reżyserii). Przygodę z *Wiatykiem* zaczęliśmy od wznowionego *Gagu gratisowego* oraz nowego projektu pt. *Hotel pod ciemną gwiazdą*.

Siedziba „Pyrlika” przeniosła się już wtedy na Browarnianą, więc siłą rzeczy nie doświadczyłam złotego wieku klubu. W nowym miejscu warunki były znacznie skromniejsze, ale wszystkie niedostatki rekompensowała atmosfera. Czuliśmy się

w klubie jak w domu, zawsze – gdy tylko sala, w której odbywały się imprezy, była wolna – mogliśmy pracować do woli. Często przygotowywaliśmy spektakle w nocy i nikt nas w tym nie ograniczał. Nocne próby były ciężkie, ale zwykle bardziej owocne od dziennych: ciemność, cisza, skupienie i pełna izolacja od zgiełku dnia uwalniały szczególne emocje i doznania. A że Romek był z natury „nocnym Markiem”, więc właśnie wtedy dawał i oczekiwał najwięcej.

Zresztą praca nad tworzeniem spektakli *Wiatyku* zawsze przebiegała bez taryfy ulgowej, nie było zlituj pod żadnym względem. Roman bez pardonu dążył do osiągnięcia efektu, który zamierzył, bez zbytniej delikatności i nawiedzenia potrafił z nas wycisnąć to, czego chciał. Byliśmy w Jego rękach jak plastelina, bez wstydu, bez zahamowań, bez troski o to, jak się wygląda, bezdyskusyjnie ufaliśmy Jego wizji. Bo wszystko brało się z głowy i serca Romka, z Jego cudownie chorej głowy i ponad normę wrażliwego serca. Był w dziedzinie teatru samoukiem, skończył jakieś technikum, nawet nie pamiętam jakie, a pisał teksty wspaniałe, niemal każde zdanie wypowiedziane na scenie niosło tyle przekazu, znaczeń, miało tyle warstw, że nawet teraz, po latach, zdumiewa mnie dojrzałością i dosadnością. Gdy w *Hotelu pod ciemną gwiazdą* padały słowa:

„*Piwnice nieistnień*” w hotelu nad Wisłą
Skrócona wersja bezdomności mas
Gdzie wasze domy i uśmiechnięte kobiety
I cóż to za kraj, gdzie wola życia umiera
w nim z własnej woli.

widownia wiedziała: to o nich, o ich tęsknotach, lękach i frustracjach w hotelu nad Wisłą.

Pamiętajmy o kontekście polityczno-społeczno-gospodarczym tamtych lat: eksplozja Solidarności, stan wojenny i wreszcie powolne zmiany na lepsze. To czasy, kiedy wiedziałam, który kolega z roku na studiach był tajnym agentem. I nie było to szlachetne powołanie w stylu J-23 czy Jamesa Bonda – taki „średnio obdarzony” student miał za zadanie po prostu donosić władzom na niesfornych kolegów i koleżanki. Nasze sztuki również nie miały prawa zaistnieć bez pokazu cenzorskiego, a co za tym idzie potencjalnej ingerencji w „niewłaściwe treści”. Z cenzurą mam zresztą związane pewne wspomnienie, może nie najśrodkowe, ale pokazujące, jakiego typu „wichrzycielem” był Romek Czubak. Graliśmy na zamkniętym pokazie dla cenzora *Sen Laubego*, a Twórca – podminowany perspektywą spotkania z PRL-owską instytucją – od rana spożywał ponadnormatywne ilości piwa. W efekcie po spektaklu, gdy panowie zasiedli do stolika, by ustalić co i jak, Roman był już poważnie „zmęczony” i z jeszcze większą, niż normalnie, nonszalancją, ostantacyjnie wydmuchując kłęby papierosowego dymu, z nogą na nodze i szerokim uśmiechem, totalnie lekceważył wszechmocnego urzędnika. Jakby tego było mało, w trakcie rozmowy źle się poczuł i generalnie do tzw. zaawertowania dojść nie mogło, ze względu na „zgon” jednego z uczestników posiedzenia. Wtedy mnie to oburzało, ale te-



Hotel pod ciemną gwiazdą. Adam Tekieli, Maciej Żak, Mariola Porombka, Iwona Huss, Romuald Czubak



Hotel pod ciemną gwiazdą. Leszek Więckowski, Iwona Huss, Romuald Czubak, Maciej Żak, Joanna Woźniak

raz, z perspektywy czasu, kocham to wspomnienie, budzi we mnie wesołość i wzruszenie. Taki właśnie był Romek. Co więcej – myślę, że właśnie dlatego był zdolny dostrzec w nas to, co najlepsze. I potrafił to wydobyć.

Przyjaźniliśmy się w zespole, byliśmy sobie bliscy, wspieraliśmy się i często, obserwując się na próbach, dawaliśmy sobie rady, pomagaliśmy sobie wzajemnie. Myślę, że bez tej więzi nie byłoby Wiatyku. Nie byliśmy zawodowymi aktorami, bez pasji i radości z bycia razem ten teatr by nie przetrwał. Nasza gra aktorska w niczym nie była podobna do metody Stanisławskiego, realizm psychologiczny to ostatnie skojarzenie po naszych wyczynach scenicznych. „Na bogato” wykorzystywaliśmy mimikę, gesty były groteskowe i celowo zdeformowane. Skoro w naszym nadwiślańskim hotelu „zaatakował nas realny absurdalizm”, my mieliśmy być jego personifikacją. Zresztą próby obejmowały doskonalenie szeregu umiejętności. Byliśmy ostro trenowani fizycznie, musieliśmy być wysportowani, mieć kondycję, żeby wykorzystać nasze ciała do oddania każdej emocji, choroby, upadku, rytmu. Ćwiczyliśmy umiejętność oddechu z przepo-

ny, co dawało mocniejszy efekt w deformacji głosu. Dopiero dużo później Roman pozwalał nam interpretować tekst i po tygodniach pracy, licznych kur.ch (Jego) i łzach (głównie moich), doprowadzał do realizacji swojej wizji.

Przestrzeń sceny, w której graliśmy przedstawienia, też budowaliśmy samodzielnie i wspólnie. Składały się na nią proste, czarne kotary, tworzące ascetyczne pudełko, które wypełniało zaledwie światło reflektorów i nieliczne rekwizyty. A do stawiania czy zwijania scenografii zawsze odpalaliśmy muzykę grupy Madness, jej szybki, muzyczny rytm SKA dodawał nam energii.

Praca nad spektaklami wpływała też na życie prywatne. Na przykład na rzecz *Hotelu pod ciemną gwiazdą* musieliśmy w pewnym momencie poświęcić nasze fryzury. Ja zostałam z długich włosów ogolona prawie na tyso (z pozostawioną mikrogrzywką), a Maciek Żak miał na głowie regularnego irokeza. Tak nosiła się wówczas młodzież punkowa i niestety Maciej kilka razy musiał salwować się ucieczką przed wrogą formacją skinów, którzy lubili sporty walki ulicznej. Aby przetrwać, z reguły posiłkował się więc nakryciem głowy, często wbrew potrzebom termicznym.

Ale wróćmy do Wiatyku, czyli do Romka. Nie ukrywał swojego przekonania o wyższości kultury niemieckiej nad polską w kształtowaniu tożsamości Śląska. Doceniał, że Śląsk przez stulecia znajdował się w granicach Prus, a później Niemiec, że nawet po wojnie te lata wciąż miały swoje konsekwencje w życiu Ślązaków. Jak w historii, którą nasz aktor, Leszek Więckowski, opowiadał o swojej babci z Chorzowa. Któregoś dnia kobieta wróciła z kościoła bardzo roztrzęsiona, ponieważ okazało się, że stary proboszcz już nie będzie sprawował posługi i zastąpi go wikary. Tyle, że jej afekt nie był powodowany faktem, że proboszcz niedomaga, tylko tym, że ona nie ma pojęcia, jak teraz będzie się spowiadać. Babcia Leszka bowiem przez całe życie spowiadała się i modliła wyłącznie po niemiecku i nie wyobrażała sobie rozmowy z Bogiem w innym języku. Stary proboszcz był Niemcem, który po wojnie został na Śląsku, a nowy po niemiecku ni w ząb... (Zaznaczam, że mówimy o latach 80.).

Roman w ogóle był zafascynowany filozofią, sztuką i kulturą Niemiec. Tamtejszy ekspresjonizm silnie wpływał na jego wizje artystyczne. Przyznawał, że deformacja ruchu scenicznego, wyrazista mimika i odrzucenie naturalizmu w jego realizacjach jest zainspirowana właśnie nim. Bardzo mocno było to widać w *Hotelu pod ciemną gwiazdą*. Na łódzkim Starcie w 1983 r. pisano o tym spektaklu w biuletynie festiwalowym: „Bytomski teatr Wiatyk wypracował własną poetykę teatralną, własny konsekwentny sposób postrzegania świata. Wiatyk

nie przeżuwa rzeczywistości, daleki jest od wszelkich medytacji i kontemplacji, walczy ze światem za pomocą śmiechu szalonego Prestidigitatora”. Osiągnęliśmy więc naszym groteskowym i zdeformowanym widzeniem świata to, czego oczekiwaliśmy od odbiorców: śmiechu i refleksji. To był czas, gdy słowa „Wobec prawa wszyscy obywatele są równi, ale niekoniecznie wszyscy czują się obywatelami” bawiły, ale jednocześnie uzmysławiały, w jakim zniewoleniu żyjemy. A właściciel tytułowego hotelu Gerard Kubicek mógł zaproponować jedynie „najwyższą możliwość dobra, którą jest zawsze mniejsze zło”. *Hotel* zwyciężył na Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Amatorskich, dostał nagrodę dziennikarzy i publiczności na Festiwalu Młodzieży Akademickiej FAMA w 1984, został także uznany za najważniejsze zjawisko teatralne na IX Reminiscencjach Teatralnych w Krakowie.

Kolejnym spektaklem był *Sen Laubego*. Od pewnego czasu nie było już z nami Marioli Porombki, która wyemigrowała do Niemiec. Jej miejsce zajęła Joanna Woźniak, niedługo potem żona Romka i mama Ich córeczki. *Sen* był widowiskiem zbliżonym w klimacie do *Hotelu* i zgarniał równie pozytywne oceny. Po kolejnych krakowskich Reminiscencjach (1985) Maciej Pawlicki napisał „Za największe wydarzenie (...) skłonny jestem uznać występ bytomskiego teatru Wiatyk. Brawurowym spektaklem *Sen Laubego* zespół podbił publiczność. Dowcipne, dynamiczne, dobrze przemyślane przedstawienie jest dowodem na to, że nie tylko patos, nie tylko bełkot, nie tylko przeżuwanie własnej świetności pozostało dziś studenckiemu teatrowi. Wiatyk zaprezentował pewien konsekwentny sposób postrzegania świata, swój własny, spójny i czytelny doń stosunek. Ironia jako broń i jako pancerz, parodia, karykatura, zabawa jako antidotum na głupotę i strach. Świat przedstawiony przez zespół Romualda Czubaka zwariował, ale przecież w tym szaleństwie jest metoda”. Warto może dodać, że na zakończenie spektaklu organizowaliśmy na scenie ostrą imprezkę dla Laubego, w trakcie której spożywaliśmy na scenie spore ilości piwa. Pomijając wartości artystyczne nie byliśmy zatem najlepszym przykładem dla licznie zgromadzonej na widowni młodzieży akademickiej.

Od tej pory trzy spektakle, które były w naszym bieżącym repertuarze, stanowiły dla nas nie tylko źródło twórczej satysfakcji, ale zaczęły także przynosić stały dochód. Dzięki sukcesom na festiwalach kluby studenckie z całej Polski zapraszały nas do siebie i graliśmy na jeździe 3–4 spektakle za całkiem sympatyczne honoraria. Przez moment pojawił się nawet „przyboczny” projekt, złożony z nastoletnich adeptów Teatr IHR (kierował nim Jacek Makuch), który wy-

stawił jedną premierę, *Histeria pewnej historii*, i nie bez sukcesów jeździł z nią po debiutanckich przeglądach.

My bawiliśmy się więc coraz lepiej, Romek tymczasem pracował nad swoim ostatnim (wtedy jeszcze tego nie przeżyliśmy) projektem, *Świątynia i serce*. Pomysł dojrzewał w Nim długo, bo zawarł tu przemyślenia i wnioski dotyczące swojego rozrachunku z okresem wojny i powojnia na Śląsku. Owego potwornego dualizmu wynikającego z Polsko-Niemieckiej Nietożsamości Śląska. To już nie było przedstawienie do śmiechu i refleksji. To był spektakl-katharsis, o bólu tamtych czasów, o tamtych ludziach i ich brzemiennych w skutki wyborach. Napisany pięknym, poetyckim tekstem:

*Dzkie serce osiwało pod lasem.
O, ciemny strachu
Śmierci oto zlocistość
W szarym umarła obłoku.
Niebo zabrało do siebie Śląsk
I ukryło w chmurach.*

Było tam mnóstwo rozdzierającej rozpaczny nad losem ludzi:

*Widziałam samych złamanych bohaterów,
pełne pociągi wracających mężczyzn.
I wracające z pustymi rękami kobiety,
wołające o pomoc. Emerytowanych
staruszków umierających z głodu.
Widziałam matkę z dwojgiem dzieci
rozbitych o bruk i otwarte okno.
My jesteśmy obrazem Niemiec,
oślepli, głodni, kulawi.
Mutanci Europy. Habsburgo-Hohenzollernowa
rzesza skarłatych ćwierćgłupków.*

Było o przymusie i tożsamości:

*Nie jesteś żaden Peter tylko Piotr.
I Piotrze nie mówi się Glas tylko Szklanka
Nie mówi się Frühling tylko Wiosna
Nie mówi się Welt tylko Świat
Nie mówi się Liebe tylko Miłość
I przede wszystkim nie mówi się Die
temple und herz.*

Tak, Roman długo szlifował ten ostatni spektakl. Dlatego zagraliśmy go zaledwie kilka razy i nie został tak szeroko zapamiętany, jak poprzednie. Po XI Reminiscencjach Teatralnych w roku 1986 Krzysztof Karwat zauważył: „Bytomski Wiatyk używa ekspresyjnych i ekstremalnych środków wyrazu. Poszczególne obrazy, wydobywane światłem, w intencji ich autorów mają przede wszystkim porażać. I rzeczywiście pomysły inscenizacyjne przechodzą najśmielsze oczekiwania. To zresztą bardzo charakterystyczne. Wszystkie teatry występujące w Krakowie prześcigały się w epatowaniu widza. Wiatyk osiągnął jednak tę przewagę, że mówił o sprawach sobie bliskich. *Świątynia i serce* to wizja Śląska, którego już nie ma (...) Spektakl



Droga z powrotem. Adam Tekieli



Droga z powrotem. Romuald Czubak i Mariola Porombka

ten należał do tych nielicznych, które mnie rzeczywiście poruszyły, choć takie pryncypialne widzenie historii

wzbudziło we mnie wiele wątpliwości. Ale chyba o prowokację intelektualną chodziło”.

Rok 1986 w ogóle był dla nas okresem spijania śmietanki z naszego dotychczasowego dorobku. Zostaliśmy na przykład zaproszeni na Festiwal Teatru Europejskiego w Blois we Francji, gdzie występowaliśmy jako reprezentanci Polski u boku prawdziwych perełek z całego kontynentu, jak Footsbarn Theatre z Wielkiej Brytanii, Teatro Nucleo z Włoch, Teatret La Luna z Danii, Jordcirkus ze Szwecji i kilku zespołów gospodarzy, jak choćby Compagnie Du Hasard. Inna sprawa, że zdecydowana większość z nas po raz pierwszy gościła na Zachodzie, więc byliśmy zachwyceni i wiele rzeczy nas zaskakiwało, jak chociażby to, że woda mineralna jest niemalże w tej samej cenie, co pyszna coca-cola. Polak pracujący w hotelu, w którym byliśmy zakwaterowani, bulwersował nas, tłumacząc, że cola jest niezdrowa i tu używa się jej głównie do odrdzewiania. Wariat, konstatowaliśmy, i zapijaliśmy się słodkim płynem do przesytności. Poza tym jednak bardzo skąpiliśmy sobie na zakupach, bo przelicznik walutowy był wówczas taki, że woleliśmy głodować, niż wydawać twarde franki. Niech zresztą do wyobraźni mniej zorientowanych przemówi fakt, iż za gażę za trzy tamtejsze spektakle plus diety kupiłam potem w Polsce rocznego „malucha”, czyli Fiata 126p.

Ratowały nas festiwalowe śniadania (bagietka z dżemem) i obiadokolacje o 17:00. Zwłaszcza te ostatnie, gdyż miały wymiar towarzyski i trwały godzinami, kraszone winem. No, może poza jedną, w przeddzień naszego pokazu, kiedy ku naszej zgrozie zaserwowano... małpie mózgi. Niby miał to być rarytas, ale żadne z nas, śląskich polaków, nie tknęło tego widelcem i czyste porcje wróciły na kuchnię. Jest to informacja istotna w perspektywie tego, co miało wydarzyć się kolejnego wieczoru. Nazajutrz był przewidziany nasz spektakl, a po nim zwyczajowo spotkanie, dyskusja itp. Jako że nasza znajomość języków obcych była nader ubożna, postanowiliśmy jakoś oszwać Francuzików. Jako że przezornie zabraliśmy z Polski trochę spirytusu, chłopcy rozcieńczyli go pół na pół z wodą, a ponieważ, jak już wcześniej wspomniałam, *Sen Laubego* kończył się piwną balangą, więc można było płynnie przejść do poczęstunku rzeczonym trunkiem. Zgodnie z przewidywaniami łagodne europejskie główki w starciu z naszą narodową specjalnością odpadały jedna po drugiej, a bariery językowe zanikały, tworząc wspólnotę porozumienia. I tu wracamy do kolacji dnia poprzedniego. W schyłkowej fazie imprezy Leszek Więckowski zgłodził i poprosił kucharza o jakąś przekąskę. Ten przyniósł miśkę zupy-krem, którą Lesiu ze smakiem pochłoniął, po czym zachwycony zapytał, z czego była zrobiona. Okazało się,

że właśnie z naszych niezjedzonych małych mózgów. Powziąwszy tę informację Leszek błyskawicznie i malowniczo rozstał się nie tylko z zupą, ale i z wypitym wcześniej spirytusem, przez co natychmiast wytrzeźwiał i był bardzo nieszcześliwy.

Mimo tego wątpliwej jakości akcentu całe międzynarodowe towarzystwo wspomniało naszą imprezę z podziwem i szcunkiem, bo też niejeden z nich pierwszy raz w życiu tak totalnie odpłynął. Spektakl się podobał, impreza jeszcze bardziej. Sukces. Wracaliśmy z tarczą, nawiązanymi przyjaźniami i obcą walutą w kieszeniach.

Byliśmy na fali. Do tego stopnia, że pewnego dnia Roman doniósł nam, iż dział kultury przy centrali ZSP złożył mu nieoficjalnie propozycję przenosin Wiatyku do Warszawy. Ponoć miano nam tam zagwarantować lokum i stypendia, bylebyśmy w swojej dziedzinie stali się wizytówką stolicy. Wynikało to z tego, że w tamtych latach Warszawa kompletnie nie istniała na mapie teatru studenckiego czy alternatywnego, a laury w tej dziedzinie zgarniały Poznań, Lublin, Kraków i nasz Śląsk. Najwyraźniej uznano, że należy to zmienić. Oczywiście Romek oświadczył nam również, iż na ofertę odpowiedział wyczerpującą gamą replik wygłoszonych gwarą. W ten sposób nasza ewentualna stołeczna kariera upadła z hukiem. Nawet to nie przeszkodziło nam jednak w reprezentowaniu kraju (wraz z Teatrem Provisorium i Teatrem Pantomimy Blik) na Festiwalu Kultury Polskiej w niemieckim Bielefeld.

Czy, wyjeżdżając do Niemiec, Roman miał już na siebie nowy plan, tego nie wiem. Pamiętam tylko, że ten wyjazd, poza aspektem artystycznym, miał pewien specyficzny klimat – był okazją do spotkań z tymi, którzy już wcześniej wyemigrowali. Odwiedziła nas Mariola, wieloletnia aktorka Wiatyka, przyjechał studiujący w Niemczech przyjaciel

i kilku innych rodaków, którzy jakoś tam odnaleźli się za naszą zachodnią granicą. Roman na pewno był rozdarty: z jednej strony w Bytomiu została rodzina, żona i malutka córeczka, a z drugiej wreszcie mógłby zamieszkać w kraju, który od zawsze go fascynował i z którym odczuwał kulturową więź... Został.

Dziwnie i strasznie było wracać bez Romka. Niby mieliśmy teraz pracować „zdalnie” – co w tamtych czasach oznaczało krótkie rozmowy telefoniczne i długie listy – ale czuliśmy, że coś się definitywnie skończyło. Jeszcze jakiś czas niósł nas zapał i lojalność, jednak finał był nieunikniony. Nie instytucjonalne więzi nas łączyły, ale przyjaźń i energia, której źródłem był On. Gdy Jego zabrakło, w końcu przyszły marazm i zwątpienie. Owszem, były plany naszych wyjazdów do Niemiec, żeby pracować, żeby grać, ale trudno było pogodzić te Romkowe marzenia z codziennością naszych uczelni, miejsc pracy i zwyczajnie rodzinnych zobowiązań.

Tęsknił. Pisał mi w liście: „Heidelberg i Neckar, to było niesamowite. Stojąc na moście widziałem, jak w tym Neckarze odpływają moje spektakle, bezpowrotnie. Widziałem też Ciebie w Die Temple und Herz. Ta rzeka odbijała wszystko”. Wspominał o kontaktach z ekipą Teatru Ósmego Dnia, którzy też byli na Zachodzie i, jak twierdził, trochę zazdrościli mu niemieckiego obywatelstwa. „Ale ja jak wiesz jestem zawsze Bytomianinem, tym od żuru i piwa”. Był tam, gdzie zawsze chciał być, ale Jego śląska tożsamość okazywała się silniejsza, nawet z całym jej udręczeniem, biedą i życiem na kompromisach. List zakończył cytatem ze spektaklu: „Daleko maszerują piechurzy na swe ulice straceń”.

I On także zaczął swój straceńczy marsz. Za dużo działał się w Jego tak wyczulonej na świat głowie. Nie tylko talent i nieprzeciętny intelekt dawał mu napęd, Romanem rządziła także choroba. Cyklofrenia,

jak dawniej określano chorobę afektywną dwubiegunową, sprawiała, że co jakiś czas miał epizody manii bądź depresji. Wspólnie potrafiliśmy sobie z tym jakoś radzić, wiedzieliśmy, jak postępować w „tym czasie”. Mieliśmy terminy, zobowiązania, choć niekiedy musieliśmy rezygnować ze spektakli czy pracy nad nowym materiałem. Gdy faza ustępowała, Roman wracał wyciszony i wdzięczny, by walczyć dalej, bez chwili przerwy. Czuł, że nie ma wiele czasu. Ponieważ straciłam całą rodzinę, uznawał mnie za godnego kompana do rozważań o śmierci. Wówczas wzbudzał we mnie złość, bo uważałam, że ten bardzo realnie doświadczony przeze mnie temat nie powinien być obiektem akademickich rozważań. Teraz wiem, że nie kreślił mi tylko hipotetycznych scenariuszy.

Roman popełnił samobójstwo w wigilię swoich trzydziestych urodzin. Nie był wtedy w złej formie, zrobił to świadomie i planowo. W czasie imprezy urodzinowej w gronie rodziny i przyjaciół był spokojny, wyciszony, w pewnym momencie zaszył się w fotelu z Piśmem Świętym. Gdy towarzystwo zorientowało się, że gdzieś przepadł, było już za późno. Wyszedł niepostrzeżenie, na ostatni dla Niego pociąg...

Zostawił ich, zostawił nas. Zostawił Wiatyk. Wiatyk to Komunia Święta, którą chrześcijanin przyjmuje, gdy zbliża się chwila przejścia z tego świata do wieczności. Roman swoim życiem i twórczością, zanim odszedł na zawsze, zostawił w nas swój wiatyk. Umarł w Niemczech, ale Jego prochy wróciły do ukochanego Bytomia i jest tu znowu, na cmentarzu przy Piekarskiej. I tu pozostanie na zawsze.

Chcę Go zapamiętać z chwili, kiedy zaskakiwał mnie umiejętnością dostrzegania rzeczy nieoczywistych i uczył wrażliwości. To jedna z tych chwil. Roman mieszkał na poddaszu kamienicy przy Piekarskiej, okna mieszkania wychodziły na dziedziniec kościoła Świętej Trójcy. Przyszliśmy do Niego po nocnej próbie, żeby doczekać pierwszych autobusów do domu. Noc była zimna, styczniowa. Podeszłam do okna i patrzyłam na ten piękny, neogotycki kościół. Roman stanął za moimi plecami, chwilę milczał, aż powiedział, „Zobacz, co ludzi interesuje, a co mają gdzieś. Po śladach na śniegu widać, że podchodzą do tablicy z klepsydrami, bo są ciekawi, kogo to teraz zabrało, ale żeby podejść i wyrzucić śmieć do kosza, to już nie ma nikogo”. I faktycznie, odcisknięte w śniegu ślady mówiły dokładnie to, a śmieci leżały gdzie popadnie. Patrzyłam, ale nie widziałam. On spojrzał i zobaczył. Taki pozostanie w mojej pamięci.

„Miejsce, gdzie jest moje miejsce...” To pytanie zawarł Roman w swojej ostatniej sztuce. I w swoim niedokończonym życiu. Niedokończonym życiu Teatru Wiatyk.



Bielefeld, 1986. Romuald Czubak, Maciej Żak, Adam Tekieli, Leszek Więkowski, Iwona Huss

Twarz, ekspresja we właściwym sensie, jest pierwszym słowem: znaczącym, które rozbłyskuje w swoim znaku jak oczy, które na mnie patrzą.

Emmanuel Lévinas¹

Nauka nowoczesna, porzucając naiwność wcześniejszego myślenia i rozumowania, wie już, że poznający i mówiący podmiot to nie bezcielesna istota. Że człowiek może być tylko wcielony. Każde nasze wzruszenie, przeżycie czy myślenie może być tylko ucieleśnionym myśleniem, przeżyciem i wzruszeniem. To ludzie zamieszkują świat – i to ucieleśnieni, a nie monadyczne jednostki – a jedynie dostępną i godną trudu zrozumienia jest „wolność ucieleśniona”². Innymi słowy, nie ma „mnie” jako „ja” po jednej stronie, a po drugiej – moje ciało. Myślenie współczesne nie opisuje problematyki „ja” i problematyki „ciała” w dumnej izolacji ponad historią, teraźniejszością i chaosem świata. Mówi się o człowieku jako wcielonej, osobowej jedności (jeśli przyjąć w opisie za punkt wyjścia „osobę” jako konstrukt symbolizujący istotę zmysłową i duchowy podmiot), jako o funkcji własnego ciała, które ona ożywia, a które ją historycznie ujawnia i umożliwia istnienie dzięki wolnej woli i świadomości.

Prowadzone od kilku dekad badania niewerbalnego aspektu komunikacji pozwoliły społecznej i naukowej myśli podążyć interdyscyplinarnie w stronę ludzkiej doznaniowości i zmysłowej wrażliwości – w kierunku wyróżniającej człowieka autoekspresywności: typów i praktyk niewerbalnego przejawiania, przedstawiania i zachowania. Widoczny od kilkudziesięciu lat wzrost znaczenia somatycznej ekspresji w międzyludzkiej komunikacji – i uznania jej kognitywnej roli w ustanawianiu interakcji i więzi oraz tworzeniu naszych zachowań i określonych sądów – oznacza kolejny „krok na drodze ku samoświadomości, umożliwiającej ludziom poznać na nowo samych siebie”³.

Krótko mówiąc: odkąd Platowski filozofowanie, skierowane na podmiot, na romantyczne odsłanianie tego, co „rzeczywiście istnieje”, zastąpiono Habermasowskim rozumem komunikacyjnym i dialogicznym, odtąd człowiek prawdy i wiedzy o sobie zaczął

szukać nie tylko w związanej z realną i społeczną rzeczywistością mowie werbalnej, ale również w niewerbalnej.

Antropologie filozoficzne ostatniego stulecia zwróciły szczególną uwagę na sensotwórczą rolę i znaczenie mowy ciała, jak i na użyteczność komunikacji niewerbalnej w realizacji celów personalnych i interpersonalnych⁴. Albowiem ludzkie istnienie to nie tylko sposób życia, wynikający – powiadają myśliciele – z trybu ujmowania go przez przeżywające „ja”, ale także możliwość występowania i możliwość rozumienia go na poziomie postaw i zachowań⁵. Prawdziwego znaczenia i charakteru naukowego komunikacji niewerbalnej nadał jednak dopiero rozwój badań nad językiem ciała – gdy uświadomiono sobie, iż spośród informacji docierających do naszego mózgu około 87% trafia tam przy pomocy wzroku. Okazało się, iż receptory wzrokowe są bardziej efektywne w wyrażaniu znaczenia informacji od uszu. Nie wszyscy teoretycy i badacze komunikacji traktują ten pogląd z należytą powagą, podstawową przyczynę zachowania i wydawania sądów przez człowieka upatrując w charakterze, w leżących u źródeł zachowania regułach logiki i atrybutywności myślenia. Ale jest faktem, potwierdzonym licznymi naukowymi eksperymentami i obserwacjami, że o jakości komunikacji i użyteczności przekazywanej wiadomości decyduje w większej części to, co widzimy bądź zobaczyliśmy.

W drugiej kolejności na przebieg i jakość procesu komunikacyjnego mają wpływ inne kanały, jak np. słuch czy dotyk. W badaniach tych zaskakuje mała rola mowy w konstytuowaniu subiektywnego i intersubiektywnego znaczenia. Drugi czynnik, który pomógł rozwinąć badania mowy ciała, wiąże się z rolą czasu w międzyludzkim spotkaniu. W badaniach znaczenia czasu ustalono, iż o rozwoju i wartości międzyludzkiej konwersacji decyduje pierwsze 90 sekund. (Jednak znaczenie czasu w międzyludzkiej komunikacji dalekie jest od jednoznaczności i obiektywności. Brak jasnych kryteriów badawczych powoduje, iż panują tutaj duże rozbieżności i niejasności). Pewne jest, że komunikacja pozajęzykowa w dużym stopniu oddziałuje na kształt naszych relacji, spostrzeżeń i naszego myślenia. Niewątpliwie lepiej przekazuje stany i odczucia, jakie ośrobie przeżywamy.

Współbytowanie i odnoszenie się do siebie w „świecie życia” (określenie Alfreda Schütza) oraz wzajemne ekspresywne oddziaływanie ukazują komunikację międzyludzką w medium wcielonej wzajemności, która artykułuje nasze bycie z innymi poprzez ekspresję, gestykulację, naśladownictwo i interakcję. Która wskazuje na zautomatyzowane reagowanie i rejestrowanie somatycznych sygnałów, nierzadko rozstrzygające i decydujące o sukcesie bądź niepowodzeniu aktu komunikacyjnego. Innymi słowy, jeśli „językowy” znaczy wyrażanie się za pomocą słów, komunikowanie poprzez zwerbalizowane znaczenia i językowe pojęcia, to bycie i manifestowanie niewerbalne wskazuje na ucieleśnione, podmiotowe, „zewnątrzcielesne”, reprezentujące to, co zwykliśmy widzieć w fizjologicznej głębi – a głębia, czyli „wewnątrzcielesne”, staje się w procesie porozumiewania czymś powierzchownym.

Jak to powiedział Emmanuel Lévinas, to właśnie w ekspresji gestu i postury, mimicznej i głosowej, gdy „wyrażający się byt osobiście asystuje dziełu wyrażania się”⁶, zwraca uwagę na siebie wartość, jaką posiada „powierzchnia” ciała – jako coś samo w sobie znaczącego, a nie charakteryzującego inną czy lepszą przyczynowo rzeczywistość. W tym świetle nieukazujące się nigdy światu „wewnątrzcielesne” współistnieje z tworzącym subiektywne znaczenia i intesubiektywne sensory „zewnątrzcielesnym”.

Ktoś może tutaj powiedzieć, że zamiar wyrażania, porozumiewania i zrozumienia oraz osiągnięcia znaczenia spełnia się w umyśle – to prawda. Ale nie można nie zauważyć, że przeżywamy, istniejemy i manifestujemy się również przed-refleksyjnie, nieświadomie i automatycznie, bez udziału języka i świadomości. W badaniach zachowania człowieka wychodzi się najczęściej od – skrywającego zjawiska mentalne – wnętrza postrzeganej osoby, podstawowej przyczyny postępowania i wydawania sądów, upatrując w temperamentie, wskazując na psychologiczne przyczyny znajdujące się „w” drugim człowieku, na leżące u źródeł ludzkiego rozumienia kategorie i własności introspektywnego i scjentystycznego myślenia. Tradycyjne teorie poznania ignorują fakt, że rozumienie, jak i różnorodne formy

wiedzy o innych i intersubiektywne doświadczenia, mają swój początek w żywym współoddziaływaniu i współistnieniu wcielonych podmiotowych sposobów bycia. Kierując proces analizy w stronę powodów oraz motywów psychologicznych, opartej na intencjonalności psychologii różnic, charakterologii i innych metod interpretowania badacze zapominają, że poznanie zdroworozsądkowe i „naturalne rozumienie poprzestaje na psychofizycznie neutralnej warstwie zachowań i «języku» jej form oraz zadowala się – jak słusznie zauważa Helmuth Plessner – identyfikacją postaci warunkujących sens wzajemnego obcowania”⁷. Trudno jest nie zgodzić się z Plessnerem, gdy podkreśla, że to nie psychika, indywidualność czy charakter osoby dane są w komunikacji interpersonalnej. Osoby kontaktujące się ze sobą prezentują się w pierwszym rzędzie jako cielesne obrazy. Dane są sobie najpierw w kształcie wcielonej postaci, w formie ruchów postawy, gestów czy mimiki twarzy, których charakter i jakość decydują mniej lub bardziej o ich interpretacyjnym odbiorze. Innymi słowy, charakter postawo-ekspresywny człowieka determinuje komunikacyjny sens „przekazu”. Ale sens ten, trzeba zaznaczyć, nie wyczerpuje się w postaciach bez reszty, albowiem to, co w komunikacji przekazuje wcielona postać, jest tylko „wrażeniem” ustanawianym przez postawy i zachowania we wzajemnym obcowaniu.

Wygląda więc na to, że działalność zmysłów ciała decyduje w dużej mierze o poznaniu i współtworzy rzeczywistość tego, co postrzegane (i samego postrzegającego), wybiera ją i komentuje. Rozjaśnia, ale i zaciemnia oraz fałszuje obraz świata. W tym sensie ciało, ukazujące się za pośrednictwem niewerbalnej ekspresji, jest intencjonalne, albowiem nie pomieszkujecie w sobie jak rzecz. Wręcz przeciwnie – jest bytem interaktywnym, otwartym i stale na coś ukierunkowanym, nieustannie, momentalnie i niejednoznacznie coś wyrażającym i oznaczającym w określonej sytuacji.

rys. Johannes Mock

Gdy patrzymy na siebie przez pryzmat komunikacji niewerbalnej, musimy stwierdzić, że z perspektywy nieukazującego się nigdy światu „wewnątrzcielesnego” wszyscy jesteśmy do siebie podobni, powtarzalni, bez wyrazu – od strony „zewnątrzcielesnego” prawie nigdy. Ostatecznie nieczęsto mamy możliwość przyglądania się sobie samym cielesnym⁸, ale możemy już z całą śmiałością powiedzieć, że nie dzielimy naszego świata z innymi w sposób abstrakcyjny, bezcielesny, że poznajemy świat i ludzi, przedstawiamy i konkretyzujemy na co dzień swoje emocje i myśli nie tyle i nie tylko

przez tworzenie i odczytywanie językowych wypowiedzi, lecz również poprzez niewerbalne zachowania: wyrażane ciałem ruchy, gesty i mimikę jak i posturę. Ważne jest, aby podkreślić w tym miejscu rzecz następującą: mowa ciała jako inicjator, informator i regulator międzyludzkiego kontaktowania oraz porozumiewania się jest, z jednej strony, jak to powiedziała powieściopisarka Miriam Collee: „najkrótszą drogą między ludźmi”. Z drugiej – dostarczające, przedstawiające, koordynujące i wytwarzające znaczenia niewerbalne komunikowanie umożliwia potencjalnie przełamanie podmiotowej izolacji. Sygnalizuje możliwość nawiązanie kontaktu, szczególnie gdy na twarzy pojawia się uśmiech, który zaprasza osoby do zbliżenia i współpracy. Twarz uśmiechająca się zmniejsza intersubiektywny dystans i zwiększa między ludźmi

– w najkrótszym czasie i bezrefleksyjnie – poziom emocjonalnej zażyłości i psychicznej więzi. Uśmiechającym się osobom możemy odpowiedzieć tylko uśmiechem. Z reguły.

Wszystko to, co powiedzieliśmy, wynika z dość oczywistego faktu, że w codziennym życiu i w procesie kontaktowania i porozumiewania się liczy się nie tylko to, co jednostka robi; nie tyle to, czy wyraża słowem i realizuje poprawnie swoje lingwistyczne artykułowanie i ustalone przedmiotowe cele, ile również to, jak coś robi, jakie niewerbalne wrażenie wywiera na uczestnikach i obserwatorach sytuacyjnych wydarzeń. W zależności od sytuacji, wieku, rasy, kultury i norm społecznych, osobowości, płci, losu czy też zawodu ludzie – jako wcielone istoty – nieustannie uwikłani są, niezmiennie, w relacje i reakcje, w których ciało ma swoje bezwarunkowe miejsce i bezsprzeczny udział w tworzeniu indywidualnych sensów oraz społecznych znaczeń.

Ograniczając nasze uwagi do aspektu kontaktów bezpośrednich, opartych na propriocepcji i zmysłowości, trzeba stwierdzić, że dopóki trwa interpersonalny kontakt, dopóty moje ciało i ciało drugiego „zderzają się ze sobą”. Rezultatem jest stała wymiana – powiadają Peter L. Berger i Thomas Luckmann – jego i mojej ekspresywności⁹, nacechowanej spontaniczną bezpośredniością i wspierającą porozumiewanie wzajemnością. Trudno, rzecz jasna, jest podporządkować ową dynamiczną – wypełnioną somatycznymi sygnałami i wyrazami, a dziejącą się w intersubiektywności – wymianę jakimś sztywnym, jasnym i powszechnie zrozumiałym wzorom. Ponieważ „bez względu na to, jakie wzory zastosujemy – podkreślają autorzy – będą one nieustannie modyfikowane przez ciągłą, nieślychanie różnicowaną, trudno dostrzegalną wymianę subiektywnych znaczeń”¹⁰. Niezależnie jednak od tego, jakimi niewerbalnymi wzorami się posłużymy, poruszające się w przestrzeni życia osoby nieustannie i automatycznie wyjaśniają i stabilizują swój świat – cielesny i refleksyjny – za pomocą przekazów płynących z ich zmysłowych i ekspresywnych ciał.

Wydaje się, że bezsporne z dzisiejszego punktu widzenia i wiedzy jest to, że – w stosunku do opartego na wnioskowaniu i językowym artykułowaniu racjonalnego poznania – poznanie niewerbalne jest pierwszym i czasem jedynym w życiu ludzi rozpoznaniem rzeczywistości świata i sądem o osobach. Godzi się zaznaczyć, że natura opartego na ciele między- ludzkiego porozumiewania, które – jak

chcą psychologowie – jest już poznaniem, powstaje w sposób samorzutny, bezwiedny i bardzo często bezwolnie. Wiele z przeprowadzonych badań i eksperymentów wskazuje na fakt, że kontaktowanie się i komunikowanie kształtuje się w sposób spontaniczny, nierzadko za sprawą bardzo szybkiego i zautomatyzowanego odbioru sygnałów i wrażeń niewerbalnych. Jako przykład niech posłuży nam fakt, że gdy jednostka dołącza do grupy nieznanymi sobie osobom, właśnie w bycie cielesnym odnajduje tę pierwszą semantyczną busolę i źródło dostępnych ocen. Obserwując przestrzeń publiczną, zastanawia się (i zastanawiali się także nasi przodkowie), szczególnie w pierwszych chwilach spotkania, z kim ma „cieleśnie” do czynienia.

Czy ten ktoś, kto nadchodzi z naprzeciwka, swoim wyglądem i zachowaniem wzbudza zaufanie i jest godny uwagi? Jest przychylny czy groźny i wrogi? Dzieje się tak szczególnie w chwilach, gdy znajdujemy się w *środoisku* nieznanymi osobom, w którym nie mamy czasu, ochoty, ani wystarczających zasobów poznawczych, aby angażować się w poznanie prawdziwych charakterów i motywacji tworzących sytuacje i relacje aktorów społecznych. Możemy to łatwiej i lepiej zrozumieć, gdy uświadomimy sobie, jak wpływają na nas interlokutorzy, którzy nie wysyłają wcale lub wysyłają znikomą w kontekście całej konwersacji liczbę komunikatów niewerbalnych. Traktujemy odruchowo takie osoby jako „wycofujące się, trudne w kontaktach, nudne – jak pokazały badania – zdystansowane i fałszywe”¹¹.

Odwzajemniony uśmiech, ręka podniesiona w geście pozdrowienia w trakcie mijania się, „kwaśna mina” trzymająca na dystans, skinięcie głową, spojrzenie pełne „uprzejmej nieuwagi”¹² płynące z naprzeciwka od znanych z widzenia nieznanymi – wszystko to pokazuje, że napotkani ludzie reagują każdorazowo i automatycznie na przejawianą w kontaktach ekspresywność ciała. Odpowiadają w czasie trwania kontaktu na wyrażane mimiką czy postawą emocje, a nie na przechowywane w pamięci zbiektywizowane i „zamrożone” w pojęciach przeżycia czy wyimaginowane wyobrażenia, jakie posiadamy o sobie samych i uczestniczących w porozumiewaniu się osobach.

Przypisy

1 E. Lévinas, *Całość i nieskończoność. Esej o zewnętrzności*. Przeł. M. Kowalska. Warszawa 1998, s. 207–208.

2 J. Tischner, *Zarys filozofii człowieka*. Kraków 1991, s. 58.

3 E.T. Hall, *Ukryty wymiar*. Przeł. T. Hołówka, Warszawa 1978, s. 20.

4 Zob. M. Merleau-Ponty, *Słowo i ciało jako ekspresja*, w: tenże, *Proza świata. Eseje o mowie*. Przeł. E. Bienkowska, S. Cichowicz i J. Skoczylas, Warszawa 1999, s. 153.

5 Zob. H. Plessner: *Interpretacja ekspresji mimicznej*, w: tenże, *Pytanie o conditio humana*. Wybrał Z. Krasnodębski, przeł. M. Łukasiewicz, Z. Krasnodębski, A. Załuska, Warszawa 1988.

6 E. Lévinas, *Całość i nieskończoność...*, s. 272.

7 H. Plessner, *Interpretacja ekspresji mimicznej...*, s. 187.

8 Zauważmy, że nie jesteśmy nigdy osiągalni dla siebie cielesnie ani ekspresywnie w takim stopniu, w jakim jawi się nam ciało innych. To, jakie moje ciało jest (w sensie: jak ono się jako całość prezentuje i wyraża), wiemy najczęściej od innych i najczęściej druga osoba informuje nas o znaczeniach przenikających różnorodne ekspresywne i fizyczne oznaki mojego ciała (to sławne: „Jak wyglądam?”, „Jak się prezentuję?”). Nigdy, innymi słowy, nie widzimy siebie z taką wyrazistością i mocą, z jaką postrzegamy kogoś drugiego, stojącego przed nami twarzą w twarz. Dzieje się tak dlatego, iż moje reagujące na świat zmysłowe ciało, aby było w pełni osiągalne i całościowo pojmowane, musiałoby być oglądane z innej niż moja (dana mi wraz z moim widzącym i odczuwającym bytem) indywidualnej perspektywy. Jest to jednak niemożliwe. Mój wzrok, wychylony do przodu, obejmuje tylko niektóre partie własnego ciała, ale już nie zna swojej twarzy, własnych pleców czy też tyłu głowy. Te uwagi mają tylko podkreślić, że dostępność do własnego ciała jest zawsze, dla każdego z nas, fragmentaryczna – nigdy dokładna, całościowa i naturalna. Obraz przeżywanego i widzianego własnego ciała otrzymujemy w wersji zniekształconej, rozbity na elementy cielesne mniej lub silniej powiązane ze sobą w rozumiały całość. Nawet oglądając siebie w lustrze, podlegamy grze symetrycznych interakcji, w jakie mimo woli wchodzimy na widok własnego odbicia.

9 P.L. Berger, T. Luckmann, *Społeczne tworzenie rzeczywistości*, przeł. J. Niżnik. Warszawa 1983, s. 62.

10 Tamże, s. 62.

11 R.B. Adler, L.B. Rosenfeld, R.F. Proktor II, *Relacje interpersonalne. Proces porozumiewania się*, przeł. G. Skoczylas. Poznań 2021, s. 182.

12 C. Shilling, *Socjologia ciała*, przeł. M. Skowrońska. Warszawa 2010, s. 97.

Czy śląszczyzna to polszczyzna? Tak!

JADWIGA WRONICZ

W marcowym i majowym numerze „Śląska” zostały opublikowane teksty dotyczące mowy Ślązaków. Myślę, że temat warto kontynuować zwłaszcza teraz, gdy sprawa statusu tej mowy znów pojawiła się na forum parlamentarnym i gdy Sejm RP przyjął ustawę uznającą ją za język regionalny. Chcę się ustosunkować do tekstu Jolanty Tambor, zatytułowanego *A jednak się... mówi i pisze* oraz do dyskusji w Sejmie w dniu 24 kwietnia tego roku.

W odpowiedzi na mój artykuł, negujący istnienie osobnego języka śląskiego, Autorka stawia mi zarzut, że posługując się terminem *gwara*, pomijam „odczucia społeczności mówiącej różnymi językami, mniejszościami, etnicznymi, regionalnymi itd. w stosunku do nazewnictwa, terminologii językoznawczej, która może użytkowników urażać”. Jakoś nie przyszło mi do głowy, żeby posługiwanie się terminologią, przyjętą w danej dziedzinie nauk, mogło kogokolwiek urażać. Na dowód niestosowności użytego przeze mnie słowa Autorka przytacza występujące w słownikach połączenia: *gwara więzienna, przestępcza, złodziejska* itp. natomiast pomija *gwara uczniowska, studencka, żołnierska*, które także występują w słownikach, a którym trudno byłoby przypisać nacechowanie negatywne. Termin ten pojawia się też w publikacjach socjolingwistycznych. Nasuwa mi się refleksja, że nie jesteśmy właścicielami języka, tylko jego użytkownikami. Coś, co jest np. dialektem, nie przestaje nim być, gdy użytkownicy sobie tego nie życzą.

Autorka twierdzi, że istnieje język śląski, który „jest, wytwarza się w użyciu”. A więc

albo istnieje, albo dopiero się „wytwarza”. Przywoływana przez nią twórczość autorów piszących po śląsku oraz wypowiedzi uczestników debaty w Sejmie pozwalają stwierdzić, że mamy do czynienia z tekstami reprezentującymi dialekt górnośląski (oczywiście z elementami polszczyzny ogólnej). Z pewnością jest on odmienny od dialektu cieszyńskiego, prudnickiego, opolskiego i in. Nie można go więc określić jako język śląski i nie ma powodu, żeby wszyscy Ślązacy uznali go za własny. Nie wierzę w żywotność języka, którego dzieci nie wyniosły z domu, ale się go nauczyły dopiero w szkole od nauczycieli legitymujących się „stemplem organizacji (którą może być Pro Loquela Silesiana z Radą Języka Śląskiego), potwierdzający znajomość języka śląskiego w stopniu wystarczającym do uczenia go”. Oficjalne ustanowienie nowego języka regionalnego z pewnością zapewni pracę posiadaczom takiego stempla, ale można mieć wątpliwości, czy podniesie jego prestiż.

Sytuowanie tekstów śląskich poza obrębem języka polskiego wynika z rozumienia pojęcia *język polski*, zawężonego do jego odmiany ogólnej. Takie zawężenie spotykamy w mowie potocznej, np. w zdaniu: *Nauczyciel mówił po polsku, a my gadali po naszymu*, lub w żartobliwym powiedzeniu z *polskiego na nasze*, nie powinno jednak wystąpić w poważnej dyskusji. Literatura polska to nie tylko dzieła pisane w języku ogólnym. Twórczość literacka w dialektach (śląskich, małopolskich, kurpiowskim i in.) ma w Polsce przeszło wiekową tradycję, co nie zagraża spójności kultury polskiej i nie powoduje powstawania odrębnych języków.

Profesor Tambor uważa, że przytoczone przeze mnie argumenty są „historyczne, nieaktualne, by nie rzec przestarzałe”. Otóż przyznaję, że w moim tekście odwołuję się do pojęcia narodu jako społeczności o wspólnym terytorium historii, kultury i języku. Ponieważ historia Śląska zaczyna się w tym samym czasie, co historia Polski, trzeba przyjąć, że od wtedy na Śląsku mieszkają Ślązacy. Jeżeli byli osobnym narodem, to powstaje pytanie, dlaczego nie wytworzyli własnego języka i kultury, tylko współtworzyli kulturę polską i posługiwali się językiem polskim. Wprawdzie obecnie powstają środowiska, które próbują nadrobić te wiekowe zaległości, ale na rezultaty przyjdzie chyba poczekać do następnych stuleci.

Jeżeli przyjąć, że obecnie istnieje narodowość śląska, to nie ma powodu, żeby odmówić prawa do własnej narodowości mieszkańcom Podhala, Żywiecczyny, Mazur, Podlasia czy Warmii. A ponieważ nie ma takiego regionu, który byłby Polską i tylko Polską, możemy zatem dojść do absurdalnego wniosku, że nie ma potrzeby dalszego istnienia narodu polskiego i języka ogólnopolskiego. W publikacji z roku 2009 o małych ojczyznach przywołano wypowiedź Jolanty Tambor „Jeśli (...) poczuje, że prace nad kodyfikacją języka regionalnego wykorzystywane będą do narodowotwórczych lub autonomizacyjnych procesów, to ja się z tego procesu wycofam”. Chciałabym zadać pytanie, co spowodowało zmianę jej stanowiska.

W wypowiedziach zwolenników śląszczyzny dominowały elementy emocjonalne. W debacie sejmowej powoływali się oni na wyniki spisu powszechnego z 2021 roku, w którym przeszło pół miliona osób zadeklarowało narodowość śląską. Jednocześnie padały zapewnienia, że „Ślązacy to Polacy” i że należy „przywrócić godność Polakom, którzy mówią w języku śląskim”, nie precyzując, kto im ową godność zabiera. Padały stwierdzenia, że „godka śląska to polszczyzna” a jednocześnie domagano się, by uznać, że to język regionalny, czyli nie polszczyzna.

Jeżeli za podstawę określenia języka przyjmą jego zasób leksykalny i system gramatyczny, czyli fakty obiektywne i sprawdzalne, to nie można sytuować mowy Ślązaków poza językiem polskim. Jeśli natomiast przyjmujemy odczucia użytkowników, to nie możemy liczyć na porozumienie się, bo odczucia są indywidualne, zmienne i nie można z nimi dyskutować.



Dwujęzyczne opisy stoisk z towarami w jednej z katowickich galerii handlowych.

Nim spadnie ognisty Saturn

Nie bój się, nie strasz innych, nim spadnie ognisty Saturn.
Pod koniec sierpnia, nad wzgórzami, wirują pierścienie.
Nieodwołalne role wychodzą zza kulis. Kapitułuje fatum.

Nieszczęścia zamknięte w kojcu nie napiszą poematu.
Zamiast tego znajdą na dnie walizki defekt i milczenie.
Nie bój się, nie strasz innych, nim spadnie ognisty Saturn.

Twój głos jednostkowy przeniknie i rozpozna. Deklamuj
Wersy wprawione w ruch przez małowówne sklepienie.
Nieodwołalne role wyjdą zza kulis. Skapitułuje fatum.

Bądź dociekliwym widzem. Znajdź strony traktatu,
Wyrwane z rąk aktorom. Zapuszczą w tobie korzenie.
Nie bój się, nie strasz innych, nim spadnie ognisty Saturn.

Obrodzisz okazale, ogołocony w dorzeczu karykatur.
Kobieta w białej sukni wręczy ci zapomnienie.
Nieodwołalne role wyjdą zza kulis. Skapitułuje fatum.

W miastach niedrożne arterie już podnoszą larum.
Znaki i przepowiednie odzyskują znaczenie.
Nie bój się, nie strasz innych, nim spadnie ognisty Saturn.
Nieodwołalne role wychodzą na scenę. Kapitułuje fatum.

Potańcówki

Łza popłynęła po trzecim kroku. Zaczęły się sobotnie tańce.
Podziwiano rozbawionych. W holu zrobiło się ciasno.
Kropla wezbrała w oku dziewczyny, doznana aż po krańce.

Odwrócenie od siebie, zataczali się w pękającej bańce.
Poruszali się w zagadkowy sposób. Przesuwało się pasmo.
Łza popłynęła po trzecim kroku. Zaczęły się sobotnie tańce.

Lekko i teatralnie skradały się burze w pustej szklance.
Wstał od stołu, by ruszyć w drogę - monstualny jazgot.
Kropla wezbrała w oku dziewczyny, doznana aż po krańce.

Linie telefoniczne dygotały niczym sztywniejące palce.
Oddech mrozu stawiał piętra domu. Strącono ostatnie gniazdo.
Łza popłynęła po trzecim kroku. Zaczęły się sobotnie tańce.

Spojrzała na niego, mówiąc: „Słońce bezpowrotnie zajdzie.
Kto je powstrzyma, kto poprosi – nie kończ tego gwiazdo?”
Kropla wezbrała w oku dziewczyny, doznana aż po krańce.

Przesadnie ją objął, tamten facet w znoszonej marynarce.
Po walcu weszli w takty tanga. Weseliło się miasto.
Łza popłynęła po ósmym kroku. Trwały sobotnie tańce.
Kropla wezbrała w oku dziewczyny, doznana aż po krańce.

Exit

Widziałem go powtórnie
Krzętał się jak niegdyś przy drzwiach
Łapał za klamkę jakby

Podawał komuś dłoń
Przeważnie jednak dzwonił
Nachodził w pracy:

*Zgubiłem bilet powrotny
Odjechał ostatni pociąg
Ukradli mi bagaż*

Nachylał się nade mną
Głośno liczył
Moje siwe włosy

Nie chciał słuchać
Kiedy doradzałem
Że w pierwszej kolejności

Trzeba schować żagle
Do kieszeni zająć się czymś
Praktycznym i nawet

Nie czekać raczej mieć pewność
Że wcześniej czy później
I tak nas zabiorą

Na koniec świata

Kurs w jedną stronę

Przyjedź po nas międzygwiazdową taksówką.
Znasz nasze położenie, numery telefonów, oddech.
Nadal jeszcze nie wiemy, co będzie wskazówką;
Podnosimy głowy, słabsi podpierają się wódką,
Informacje o Tobie nierzadko wywołują śmiech.
Mechanizm Twojego ciała okrzyknięto pustką.
Z przedostatniego piętra lepiej widać pośpiech,
Aczkolwiek w przytułkach masz władzę absolutną.
Przyjedź po nas.
Dwóch będzie na drodze. Jeden zwieje ciężarówką,
Drugi ulotni się z fotela lub porzuci wymiętą pościel.
Dwie będą wracały z pracy. Jedna upuści chleb,
Rozleje mleko, druga obierze trasę najkrótszą.
Zapuć silnik. Siedzimy przy stole, pod żarówką.
Przyjedź po nas.

Leśna odyseja

Przez lata powracał pewien sen:
przywiązany do masztu lasu
nasłuchiwałem zaginionej kantyleny.
Stopniowo obracałem się

w śpiew. To samo działa się ze snem:
śpiewał. Dźwięk cichł,
gdy wyglądałem przebudzenia.
Trzymała mnie kurczowo

najstarsza z sosen – „Płyn lesie
do dziewiczej Itaki”. Plemiona
drzew przemierzały bezdroża we mnie.
W ślad za gęstwiną podążały

najdawniejsze rody mrówek.
Niosły mchy, listowie, korzenie,
gałęzie, szyszki wplecione w paprocie.
Las polegał na ich nogach.

Najślabsi dźwigali koronę kreacji.
Przystawali na to, zgodnie
z przedustawną intencją. Dzieliłem się sobą,
jakbym był ogniwem.

Świergotały ramiona, stopy, lędźwie.
Język nie ruszył się z miejsca –
niewtajemniczony –
nie dotrze do krainy Feaków.

Oniria

Nie musisz
pamiętać
które
przebudzenie
odsunęło mebel

Za tobą
kołysze się
bujany fotel
Zabawki
posiadają imiona

Zaryglowane
wejście
schowane za szafą
ustąpi bez niczyjej
ingerencji

pod warunkiem że
zrzekniesz się
obywatelstwa
postrzęgalnego
świata

dobrowolnie
bez rozgłosu
zrobisz krok
w tył

Tylko patrzeć

Wołanie kosa

Mamie

Można pozostać głuchym na trzask gałęzi w przydrożnym lesie.
Ucho mistrza nie przedrze się, nie zdoła usłyszeć wnętrza ziemi.
Gwizd przypomni echo pierwszego poranku na złamanym flecie.

W połowie nocy wyrwie ze snu drzemiącego na taborecie.
Ubodzy i nieporadni wstaną z łóżek, mocno zaniepokojeni.
Pozostanie głusi na trzask gałęzi w przydrożnym lesie.

Pojawia się na krótko w kwileniu niemowlęcia, zgłiszcza oplecie.
Słabnący jak stukot sędziwego serca, świetlik w sąsiedztwie cieni.
Przypomni echo pierwszego poranku na złamanym flecie.

Nie poddawaj się, kwiecie paproci na zaginionej planecie.
Gdy odszukasz wybranka, spełnicie swoje życzenia, urzeczeni.
Pozostaniecie głusi na trzask gałęzi w przydrożnym lesie.

Matematyczny talent wycofa się z obliczeń w podręcznym notesie.
Pieśniarze odejdą z harfami na plecach, w księżyc wpatrzeni.
Gwizd przypomni echo pierwszego poranku na złamanym flecie.

Podniosą głowy, rozejrzą się ostrożnie, siedzący na parapecie,
Z nogami nad przepaścią. Zamkną za sobą okna, zaskoczeni.
Można pozostać głuchym na trzask gałęzi w przydrożnym lesie.
Gwizd przypomni echo pierwszego poranku na złamanym flecie.

Ramiona

Wysiadłem na poboczu.
Zmierzch szedł
Chwiejnym krokiem
Jak zaklinacz węży.

Potrząsał kandelabrem.
Rękawy zwiślały mu
Do pięt. Zaciągnąłem
Do końca hamulec ręczny.

Przez kwadrans byłem
Sierotą, która odnalazła
Rodzica, rozpoznała
Znajome ruchy na przejściu

Dla pieszych. Wyszliśmy
Sobie naprzeciw –
Dwie ciemniejące natury
Szukające lampy.



rys. Bogna Skwara

Ostatni taki harcerz. Epizody

JAROSŁAW KAPSA

„81-letni turysta zginął we wtorek w Tatrach. Mężczyzna zboczył ze szlaku wiodącego na Rysy i spadł w około 100-metrową przepaść”. Notatka PAP podawała informację za TOPR. Zdarzenie miało miejsce 17 sierpnia 2004 r., niefortunnym turystą był Zygmunt Łęski. Wieść przyjęto z niedowierzaniem, Zygmunt kochał Tatry, wielokrotnie wchodził na Rysy, nie mógł popełnić szkolnego błędu... Może był to palec Boży, ratujący przed nieszczęściem starszego zniechęconia.

Zygmunt musiał być aktywny, musiał służyć, być wiernym harcerskiej przysiędze. Prężył się z dumą w postawie zasadniczej, mówiąc: „na starym Zygmuncie wciąż możecie polegać”. Harcerzem był od urodzenia. Ojciec Bronisław, kierownik szkoły na Mirowie, zmarły w 1938 r. zakładał pierwsze drużyny częstochowskie, matka Waleria była komendantką żeńskiego hufca, harcerzami byli starsi bracia Jerzy i Wojciech. Zygmunt był „przedwojenny”; wróg wszelkich używek, za dopuszczalne napoje uznawał gorącą herbatę lub zimną, źródlaną wodę. Starał się, by jego zachowanie było w zgodzie z noszonym na Krzyżu wskazaniu: Ojczyzna, Nauka, Cnota. Życie miał zbyt bogate, by opisać je w krótkim artykule, wydobyć mogę jedynie epizody, świadectwa przeżytych dróg.

1. Jesień 1939 r. W domu Łęskich, na ul. Focha, tzw. „pagodzie”, odbyło się jedno z zebrania instruktorów ZHP, decydujących o tym, jak kontynuować działalność harcerską w warunkach wojennych. 16-letni Zygmunt stał na czujce, pilnował bezpieczeństwa zebranych. Powstają „Szare Szeregi”, składa przysięgę, przyjmuje pseudonim „Młody”. Należał do przybocznych komendanta Eugeniusza Stasieckiego. Gdy ten zagrożony aresztowaniem wyjeżdża do Warszawy i zaczyna pracę w Kwatery Głównej, „Młody” został łącznikiem między Częstochową a stolicą.

2. Mógł wybrać inaczej. Starszy brat Wojciech przeszedł przez góry na Węgry, stamtąd do polskiego wojska we Francji. Drugi brat stał się kurierem, od jesieni 1939 do maja 1940 r. wielokrotnie przekraczał granicę, prowadząc ludzi i przewożąc meldunki do Budapesztu. Wiosną 1940 r. ożenił się z częstochowską harcerką Krystyną Tokarską. Razem zostali zatrzymani na granicy. Krystynę zamęczono w śledztwie, Jerzy trafił do obozu w Oświęcimiu, gdzie zginął jesienią 1941 r. „Ktoś musiał się opiekować Matką” – tłumaczył Zygmunt; na niego

– jako najmłodszego – spadała ta odpowiedzialność.

3. Dom przy ul. Focha zabrali okupanci, tworząc dzielnicę niemiecką. Waleria z Zygmuntem zamieszkali w kamienicy Al. NMP 12. Po sąsiedztwie mieszkał kolega szkolny Zygmunt, spolszczony syn ukraińskiego pułkownika, Leonid, „Lo”, „Lońka” Parnasow. W mieszkaniu Walerii odbywały się wykłady podchorążówki „Szarych Szeregów”, nauczycielami byli słynni partyzanci: Jerzy Krupiński „Ponury”, Henryk Furmańczyk, Stanisław Bączyński. Nie bacz na zasady konspiracji, „Lońka” przeprowadził dwoje uciekinierów z getta. Waleria przechowywała ich do czasu zapewnienia bezpieczniejszego schronienia w Warszawie.

4. Młodzi podchorążowie tworzyli Grupę Szturmową „Szarych Szeregów” dowodzoną przez „Leona” Edwarda Kozłowskiego. Zygmunt, „Lońka” i Andrzej Zbierski, kolega z klasy, syn zamordowanego przez Niemców w 1940 r. dyrektora gimnazjum im Traugutta, byli „trzema muszkieterami”, wykonawcami najtrudniejszych akcji. Rozbrajali Niemców, realizowali zadania sabotażowe na kolei, dokonywali ekspropriacji niemieckich sklepów. W 1942 r. w ramach zniemczania Częstochowy okupanci zdemontowali popiersie Kazimierza Pułaskiego w miejskim parku. „Lońka” z Zygmuntem ustawili na pustym cokole trupa czaszkę z napisem „Reich in Jahre 1944”.

5. Sierpniowa mobilizacja AK w 1944 r. skierowała grupę szturmową do lasów w okolicach Złotego Potoku. Weszli w skład harcerskiego oddziału dowodzonego przez Jerzego Krupińskiego „Ponurego” a następnie Stanisława Bączyńskiego „Basa”. Pozostali w lesie do końca niemieckiej okupacji. Późną jesienią 1944 r. „Zygmunt” brał udział w zamachu na szefa żareckiego gestapo, zabili go pod Skałą z Krzyżem w dolinie Wiercicy. Oddział „Ponurego” osłaniał lądowanie misji alianckiej płk. Hudsona w Boże Narodzenie 1944 r. Misja nawiązała kontakt z ostatnim komendantem AK gen. „Niedźwiadkiem” Okulickim. Gdy weszła na ziemię częstochowską Armia Czerwona, uczestnicy misji zostali aresztowani przez NKWD. Do aresztu trafił także dowódca „Zygmunta” „Bas” Bączyński. 19 stycznia 1945 r. w „wyzwolonej” Częstochowie gen. Okulicki wydał rozkaz o rozwiązaniu AK.

6. Wojna się skończyła, pozostało poczucie przegranej i trudne pytanie: Jak żyć. Stworzona na polecenie szefa KEDYW Jó-

zefa Rybickiego częstochowska struktura „Nie” miała na celu wsparcie żołnierzy AK w przejściu do normalnego życia. „Spalonym”, poszukiwanym przez sowiecką władzę, wyrabiano nowe dokumenty, pomagano w ewakuacji na Zachód. „Lońka” stał się adiutantem szefa okręgowej struktury „Nie” Janusza Szlaskiego „Prawdźca”. „Prawdźca” polecił szeregowym żołnierzom skorzystanie z procedury ujawnienia się; sam dał przykład ujawniając się marcu 1945 r. i stając na czele Komisji Likwidacyjnej b. AK. Z tej ścieżki ujawnienia skorzystał także Zygmunt. 3 maja 1945 r. na zaproszenie ministra, grupa częstochowskich AK-wców, w tym Jerzy Kurpiński, „Lońka” i Zygmunt, pojechali do Warszawy, gdzie w MON oficjalnie zweryfikowano ich stopnie oficerskie. Zygmunto wi zatwierdzono awans na podporucznika i udekorowano Krzyżem Walecznych.

7. To poszukiwanie drogi do normalnego życia nie oznaczało akceptacji sowieckiej władzy. Trudno było się pogodzić z atmosferą drugiej okupacji. Zygmunt nie przekazał UB ukrywanej w piwnicy domu Al. NMP 12 broni. W kwietniu 1945 r. nawiązał kontakt z tworzącą się formacją Konspiracyjne Wojsko Polskie i bezpośrednio „Warszycowi” Sojczyńskiemu przekazał zmagazynowany zasób. 1 maja 1945 r. nowe władze urządziły poddańcze święto, na placu przed Ratuszem ustawiając pomnik Wdzięczności Armii Radzieckiej. W nocy, poprzedzającej uroczystość odsłonięcia, Zygmunt wraz „Lońką” wysadzili prowizoryczny postument ładunkiem wybuchowym. Wracając z Warszawy z Krzyżem Walecznym mógł poznać po tekstach oficjalnej prasy, jak ten gest uderzył w morale władzy służącej nowemu okupantowi.

8. W czerwcu 1945 r. UB aresztowało „Kiera”. Aleksander Szczepański, oficer AK kierował w czasie niemieckiej okupacji grupą zajmującą się wywiadem lotniczym (obserwacja lotnisk) i zabezpieczeniem odbioru zrzutów. Z Łęskim poznał się i zaprzyjaźnił w lasach złotopotockich. Po „wyzwoleniu” „Kier” wszedł w skład podporządkowanej „Nie” struktury, dowodzonej przez „Leona” Edwarda Kozłowskiego, zajmującej się wywiadem i kontrwywiadem. Obciążały go znalezione podczas rewizji materiały, w tym lista funkcjonariuszy UB, wskazanych jako szczególnie szkodliwych i sadystycznych. „Kier” próbował przygotować ucieczkę, przez strażnika więziennego wysłał gryps do Zyg-

munta. List trafił w ręce UB. 27 czerwca na kolejnym przesłuchaniu wymuszono na „Kierze” zeznania obciążające Łęskiego: miał on być łącznikiem między „Kierem” a kierownictwem „Nie”. 2 sierpnia 1945 r. „Kiera” zastrzelono na dziedzińcu siedziby PUBP na ul. Śląskiej. W czerwcu UB aresztowało także Henryka Furmańczyka. 16 sierpnia skazano go na karę śmierci. Na szczęście Sąd Najwyższy złagodził wyrok, potem objęła go amnestia.

9. Możliwości powrotu do normalności stawały się coraz bardziej ograniczone. Zygmunt wraz „Łońką” towarzyszyli „Prawdziowci” w wyjeździe w Sudety. Tu zorganizowali siatkę przetrwania informacji i ludzi przez Czechy do sektora amerykańskiego. Mieszkali w Międzygórzu, dwukrotnie przechodzili nielegalnie przez Sudety, wracali udając repatriantów. W grudniu 1945 r. Zygmunt był znów w Częstochowie, przekazywał meldunki „Warszycowi”. Wpadł 26 kwietnia 1946 r., w lokalu kontaktowym na ul. 3 maja. Pierwsze dwa miesiące spędził w więzieniu na Zawadzie. Potem przewieziono go do Łodzi, dołączając jako oskarżonego do sprawy „Warszycy”. Siedział w „celi śmierci”. Proces „Warszycy” odbył się w dniach 9–17 grudnia 1946 r., przewodniczył rozprawie sędzia wojskowy płk Bronisław Och- nio. Wydano 9 wyroków śmierci. Łęskiemu zarzucono przekazanie KWP broni oraz informacji. Prokurator wnioskował o łagodniejszą karę, bo matka Waleria już dwóch synów na wojnie straciła. Wyrokiem sądu Zygmunt skazany został na 15 lat. Siedział w celi sąsiadującej z celą „Warszycy”. Słyszał jak go wyprowadzano... 19 lutego 1947 r. „Warszycy” i 5 jego podkomendnych wywieziono w nieznaną miejsce, tam wykonano wyrok.

10. Zygmunt przesiedział 5 lat w więzieniu w Rawiczu. O jego zwolnienie walczyła matka – Waleria. Wyszedł w 1951 r. Czasy nadal były trudne. „Ponury” Krupiński zagrożony aresztowaniem ukrywał się. Organizowano kolejne procesy żołnierzy AK. Łęski przeniósł się do Poznania, gdzie skończył zaocznie studia, uzyskując tytuł inżyniera leśnictwa. Doświadczenie z konspiracji i więzienia wskazały mu wybór dalszej drogi życia. Najważniejszym jest wychowanie młodego pokolenia, zakorzenienie w nim wartości, za które życie oddał „Kier” i „Warszyc”, w imię których zginął brat Jerzy i jego młoda żona Krystyna. W 1951 r. Łęski pracował przez rok w szkole w Starokrzepicach, potem nie pozwolono mu na pracę z młodzieżą. Do 1959 r. pracował w przedsiębiorstwie transportowym. Do szkolnictwa mógł wrócić po październikowym przełomie 1956 r. W 1959 r. pracował w szkole nr 19, potem pięć lat w SP 30, a od 1965 do 1977 r., do chwili, gdy choroba nie przerwała mu pracy, w szkole nr 11 na ul. Sobieskiego. W SP 11 pamiętają go jako wymagającego, ale sprawiedliwego nauczyciela fizyki. Wychowanie młodzieży było jego

formą realizacji harcerskiej misji. Mimo zmian i liberalizacji trudno mu było się odnaleźć w nowym ZHP. Pole działań odkrył w PTTK, tam nie brakło pasjonatów z AK-owskim doświadczeniem. W Oddziale Miejskim PTTK działał w Komisji Turystyki Pieszej oraz Komisji Turystyki Górskiej; najbardziej jednak angażował się w pracę Komisji Młodzieżowej, której przewodniczył przez kilkanaście lat. Z jego inicjatywy powstał w 1965 r. miejski, szkolny Ośrodek Krajoznawczo-Turystyczny, inicjujący i nadzorujący pracę szkolnych kół. Powstały one w 31 placówkach szkolnych.

10. Był wychowawcą i autorytetem dla kolejnych pokoleń miłośników krajoznawstwa. Najbliższą mu była, stworzona na początku lat 70., Młodzieżowa Grupa Grotołazów. Z nimi jeździł na dłuższe wyprawy w Tatry, a nawet Alpy słoweńskie. W MGG obowiązywał ścisły rygor harcerskiego wychowania, młodzież wtajemniczana była w tradycję. Odkrytą salę w jaskini „Studnisko” nazwano „War”; wtajemniczni wiedzieli, że to od „Warszycy”. Podobnie przekazywaniu tradycji służyły rajdy dla młodzieży szkolnej. Do zwyczaju należał kilkudniowy wyjazd w początkach maja na rajd Świętokrzyski. Trasy Zygmunt wyznaczał tak, by podopieczni mogli poznać miejsca partyzanckich walk. Wieczorem przy ognisku gawędy opowiadały o doświadczeniach „pokoleń Kolumbów”. Jako wychowawca turystów pieszych był wymagający. Nie wystarczyło potwierdzić, dla uzyskania stosownej odznaki, przejścia 100, 300 czy 500 km, trzeba było się legitymować poznaną wiedzą o miejscach, w których się było. Patriotyzm Łęskiego był przede wszystkim patriotyzmem krajobrazu: nie wystarczy deklarować miłości do Polski, trzeba ją dobrze poznać.

11. W latach 60. i 70. niezależność PTTK był tolerowana przez władzę. Łęski cieszył się zbyt wielkim autorytetem, by mu wypominać „ideologiczne błędy”. Pod tym względem gorsze okazały się lata 80. Prześtrazona rewolucją „Solidarności” władza pilnie strzegła, by młodzież szkolna nie była „demoralizowana”. Brzmi to dziwnie, ale tolerowano Jarocin, zachęcano do wyrażania buntu w rockowej muzyce, akceptowano modę na „zachodni konsumpcjonizm”, ale jednocześnie walczone z „klerykalizmem” i „nacionalizmem”. Przedwojenne wzorce harcerskie były, zdaniem rządzących Częstochową, połączeniem owych dwóch negatywnych cech. Łęski w komendzie hufca ZHP był marginalizowany, nie pasował do postępowego modelu Harcerskiej Służby Polsce Socjalistycznej. Więcej mógł zdziałać opiekując się SKKT, prowadząc pogadanki w szkołach, organizując rajdy i wycieczki. Problemy zaczęły się od donosu złożonego na Zygmunta po spotkaniu z młodzieżą jednej ze szkół podstawowych. Zarzucono w nim, że Łęski opowiadał dzieciom o „Szarych Szeregach”, o Sta-

sieckim, a nawet o Sojczyńskim „Warszycu”. Pod wpływem tego donosu SB rozpoczęła sprawę rozpoznania operacyjnego, czyli objęto Zygmunta inwigilacją, kontrolą rozmów telefonicznych i korespondencji. Inwigilacja potwierdziła, że Łęski zaangażowany był także w działania kombatanckiego środowiska AK. Należał do inicjatorów umieszczenia w kościółku akademickim tablicy pamięci dla poległych harcerów i harcerzy. Brał aktywny udział w zorganizowanej w siedzibie PAX konferencji o Szarych Szeregach. Zdecydowano więc, by metodami administracyjnymi zablokować Łęskiemu możliwość spotkań z młodzieżą szkolną. Najboleśniej odczuł zakaz organizowania obozu narciarskiego, od 1961 r. zawsze zabierał na ferie zimowe grupę młodzieży w Beskidy lub Tatry. W ramach obozu były bezpłatne kursy nauki jazdy na nartach, były także szkolenia młodzieżowych organizatorów turystyki. Nacisk SB spowodował, że Komenda Chorągwi wycofała zgodę i dofinansowanie. Rozmowę profilaktyczną przeprowadził z Zygmuntem inspektor oświatowy. W efekcie Łęski wystosował formalny protest do Komendy Głównej ZHP, pisząc w nim złośliwie: Nie odpowiadam oczekiwaniom urzędników, nie palę, nie piję, jestem praktykującym katolikiem. Odwołanie obozu spowodowało także falę skarg do KC PZPR wysyłanych przez rozgoryczonych rodziców, także tych lewicowych, wiedzących z doświadczenia, że nie ma lepszego opiekuna i wychowawcy dla ich dzieci niż stary Zygmunt.

12. Gdy przyszedł czas zmian, wybory 1989 r., zgłosił się „pod komendę” Komitetu Obywatelskiego „Solidarności”. Inaczej tego określić nie można: przyszedł, stanął na baczność, zadeklarował, że stary Zygmunt może być jeszcze przydatny, więc czeka na rozkazy. Był przydatny, wybrany został w 1990 r. radnym miasta Częstochowy. Angażował się w tworzenie organizacji kombatanckiej Światowego Związku Żołnierzy AK, podjął się też trudu reorganizacji harcerstwa, przywrócenia w nim przedwojennych ideałów, usunięcia szkodliwych ideologicznych treści. Wiek jednak robił swoje, organizm miał zniszczony chorobami. Ciało nie nadążało za wiecznie młodym duchem. W sierpniu 2004 zaskoczył swoich dawnych przyjaciół pomysłem wspólnego wyjazdu w Tatry „jak za dawnych lat”... Niestety, przyjaciele też już byli posiwiali, nie mieli sił i ochoty na górskie wędrówki. Pojechał więc sam, pożegnać się z górami... W ostatnim swoim liście wysłanym z Tatr pisał: „siedzę przed schroniskiem i jestem oczarowany widokiem kochanych Tatr przeglądających się w Morskim Oku w oświetleniu zachodzącego słońca”.

Śmierć w takim miejscu bywa nagrodą za dobre życie.

Dziękuję katowickiemu Oddziałowi IPN za udostępnione materiały archiwalne.

Leszek Bugajski

30 stycznia 1949 – 26 marca 2024

MARIAN KISIEL

1

Zawsze był Leszkiem. Nie redaktorem, krytykiem czy wiceprezesem związku literatów. Miał w sobie umiejętność zjednywania ludzi, zbliżania ich do siebie, choć sam był ironiczny i stwarzał wrażenie, że ma dystans do wszystkiego. Nie miał dystansu. Kochał ludzi, chciał się z nimi widywać, słuchał ich, choć czasami komentował ich zachowania jakimiś śmiesznym słowem. Był wrażliwy, uczuciowy, wiele razy widziałem, że potrafił się wzruszyć. I był wierny w przyjaźni. Jak klamka zapadła, to zapadła. Nie ma odrzucenia. Można nie widzieć się wiele lat, ale uczucie przyjaźni zobowiązuje. Aga, jego żona, uważała tak samo. Dlatego stworzyli dom, do którego się lgnęło.

Dom? Domy. Najpierw w Krakowie, gdzie na Dywizjonu 303, wielkim blokowisku, przyjmowali znajomych i bliskich. Drzwi do ich mieszkania się nie zamykały. Kogo tam nie było? Leszek miał wąski pokój do pracy, który służył także za sypialnię dla znajomych. Ich pies Rocky nie dawał się wyspać. Leszek zawsze rano go wyprowadzał, czasami wyprowadzał go Misiek (Michał, syn). W tej niesamowitej wspólnocie ogrzewali się różni poeci, krytycy, mądrze i głupki. Leszek ich słuchał, Aga karmiła, dzieci biegały między nogami, Rocky szczekał. Drugi dom – w Brwinowie. Kiedy Leszkowie wyprowadzili się z Krakowa, stał się przystanią dla tych, którzy już do Krakowa nie mogli przyjeżdżać. Przyjeżdżali więc do Brwinowa. Dom na Wilsona był tak samo ciepły jak na Dywizjonu. I jeszcze powiększony o babcię Helenę, która zamieszkała z Leszkami, fukając czasami na córkę Agę i wielbiąc zięcia Leszka. Tam dorosły dzieci, tam otworzył się rozdział ostatni życia Leszków.

Aga i Leszek pochodzą z Dąbrowy Górniczej. Leszek polecał za Agą do Krakowa. Ona na polonistykę, on na ekonomię. Nie byłoby tego Krakowa lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, gdyby nie było tam Leszka. Ileż nawiązanych przyjaźni, ileż rozbitcia tego nadętego krakowskiego środowiska. W Krakowie większość jest skądinąd. Nie nazywamy ich „słóikami” (jak w Warszawie), nie wiem, czy jest jakieś

określenie na ich status. Na Śląsku są pnioki, krzoki i ptoki. A w Krakowie? Bojoki? Leszek ściągał do Krakowa różne osoby, w których widział coś, czego inni nie zobaczyli.

Tak ściągnął mnie. Od razu zaproponował, abyśmy byli po imieniu. Nie lubił konwenansów, kochał jeansy, a nie garnitury. Nie pamiętam, który to był rok. 1985 lub 1986. Powiedział, że w „Życiu Literackim” otworzy się pół etatu. „Obliczyli, przeliczyli – wyszło, że u nas jest za mało”. Mógł zaproponować te pół etatu komuś innemu, a on wybrał mnie, faceta, który niewiele napisał, ale miał chęć do pisania. Rozmowa z redaktorem Władysławem Machejkiem jest do osobnego wspomnienia, w każdym razie zostałem zatrudniony. „Będziecie – Machejek używał formy «wy», jak w Komitecie partyjnym – od czasopism katolickich”. Oj, niedobrze, pomyślałem. Ilekroć Machejek przypominał sobie o mnie, Leszek dzwonił, żebym nie przyjeżdżał. „Przyjeżdż za tydzień”. A kiedy przyjeżdżałem, Machejek mówił do mnie: „Skądś was znam, nie wychodźcie z redakcji, bo coś będę miał dla was”. To był znak, że należało szybko się ulotnić. Nie napisałem ani słowa o prasie katolickiej, a kiedy cenzura dwukrotnie zdjęła mi w „Życiu Literackim” mój szkic o poezji stanu wojennego, Machejek był tak *wk.*, że jego przyjaciele z wiadomych kręgów musieli być sponienieni, choć nic nie pomogli. Bo Machejek się jąkał, a jąkały – jak wiadomo – źle się słucha.

Leszkowi zawdzięczam swoją – dla mnie ważną – późniejszą obecność w „Twórczości”, a także – co istotniejsze – znajomość z kilkoma osobami, którzy są dla mnie ważni: Jerzy Lisowski, Henryk Bereza, Marian Grześczak. Nie mam prawa uzurpować sobie więcej niż otrzymałem, bo otrzymałem dużo. Spotykaliśmy się rodzinnie, a choć potem, bo takie są prawidła życia, nasze kontakty się rozluźniły, to jednak nie na zawsze.

Barbara Hollender napisała: „Leszek Bugajski był wyjątkowym człowiekiem: prawym, serdecznym, otwartym, ogromnie lojalnym. I jeszcze coś: miał dystans do spraw mało ważnych i inteligentne, niewymuszone poczucie hu-

moru – jak sam mawiał «śmiech jest jedną z podstawowych metod obrony, jakimi dysponuje człowiek bezradny»”.

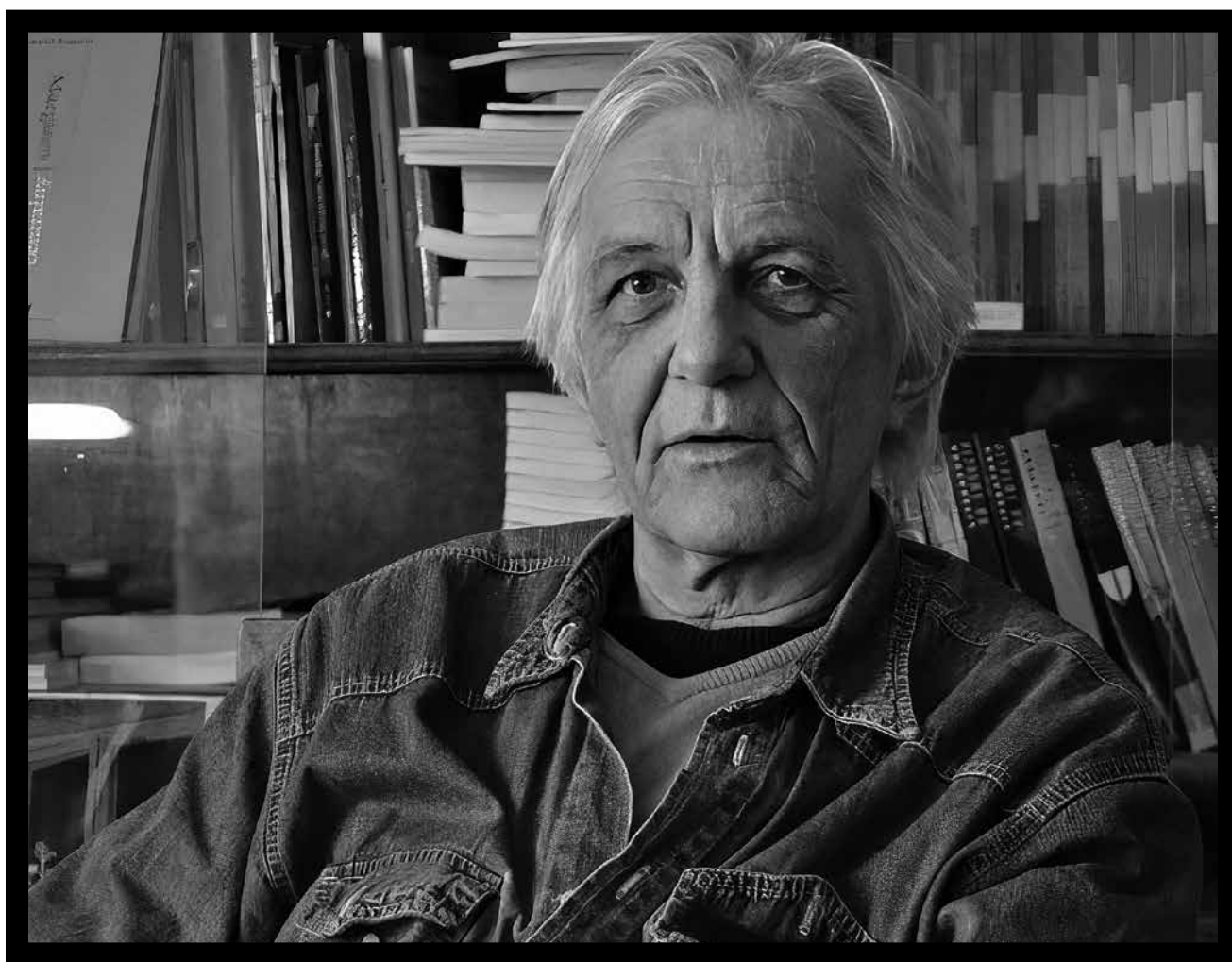
I ja też mam wrażenie, że Leszka wszyscy lubili. Nawet jeśli ci, którzy go nie lubili, to nie lubili go nie wiedząc, dlaczego. Albowiem Leszek nikogo nie odrzucał, raczej zjednywał. Cała ta głupota świata minie, mówił Leszek, więc jeżeli się rozejdziemy, to gdzie? Gdzie odnajdą się ci, którzy już się pogubili?

Kiedy 6 kwietnia, w sobotę, na brwinowskim cmentarzu spotkaliśmy się wszyscy, którzyśmy się dawno nie widzieli, wiedzieliśmy, że Leszek znów nas połączył. Był słoneczny dzień. Niebo wie, że ludzi pióra należy żegnać w pięknej oprawie.

2

Wybaczcie mi, że wprowadziłem do tego wspomnienia o Leszku Bugajskim wątek osobisty, ale bez niego moje wspomnienie nie miałoby sensu. Kiedy żegna się przyjaciela, trzeba go żegnać całym sobą. Nie będę jednak przypominał dawnych lat. Odszedł krytyk literacki, wybitny czytelnik, którego podziwiałem przez pół wieku i stale podziwiam. Krzysztof Bielecki na brwinowskim cmentarzu powiedział, że Leszek mógł mieć szkołę krytyczną, ale nie dbał o to. Podobnie jak nie dbał o jakąś jednolitość literacką. Bo krytyk jest od podobania, krytykowi może się podobać to, co innego mierzi. Kiedyś chyba Jerzy Kwiatkowski napisał, że można lubić zacierkę i bigos, a nie zajądzać się tylko ostrygami. Na tym polega uroda krytycznego rzemiosła: różnorodność jest otwarciem, jednolitość przekonaniem – skostnieniem.

Zaczął swoją przygodę z literaturą na początku lat 70. XX wieku. Miał 22 lata. Wszyscy mniej więcej wtedy zaczynamy mierzyć się z tym, co wysłowne. Leszek intensywnie czytał, kochał fabuły, a im dziwniejsza, tym ciekawsza. Mierzyła go poezja, choć kilkoro nawiedzonych w słowie szanował. Raczej jednak nie wypowiadał się na temat wierszy, pociągała go proza, jeżeli realistyczna – to z wszelkimi konsekwencjami realiów, jeżeli fantastyczna – to w zgodzie z trendami współczesnych narracji. Miał szerokość spojrze-



nia. Więc właśnie, powiemy za Kwiatkowskim (wobec którego miał chyba dystans), zacierka, bigos i ostrygi. Kiedy pisał o literaturze, to pisał także o sobie. Literatura, twierdził, nie istnieje poza czytelnikiem.

Jego pierwsza książka nosiła tytuł *Następni* (pomijam wcześniejszą broszurę o Iredyńskim). Był rok 1982, niedobry rok dla myślenia o literaturze. Ale w tym samym czasie ukazała się też *Ósma dekada* Andrzeja K. Waśkiewicza. Jakże te dwie perspektywy krytyczne z sobą się szpeciły. I Leszek, i Andrzej pokazali, że pokolenie, które ujawniło się w połowie lat 70., choć nie miało owego znaku „przeżycia”, było właśnie „pokoleniem hipotetycznym”, o którym tyle napisano w uczonych rozprawach. Nie łączyła ich polityka, lecz przynależność do kultury. Leszek równoległe w niebywale pięknym zbiorze *Zapiski z epoki Beatlesów* (1982) pokazywał, że to, co wysokie musi mieć swoją odnogę w tym, co masowe. Mówiąc o swoim pokoleniu, dając głowę za piękne osiągnięcia prozy tego pokolenia, mówił też, że nie ucieknie ono od związków z kulturą popularną, piosenką, że to ta druga właśnie opanuje nasze życie.

Przerzucam kartki tych dwóch książek, minęły cztery dekady, a ja nie mogę się od nich oderwać. Czy to za-

sługa stylu Leszka? Być może. Pisał prosto, nie uciekał się do dziwaczno-słownictwa, nie zasłaniał swojej niewiedzy bylejaką frazą. W lekturze był otwarty zarówno na nowość, jak też na nieznanie. Przyznam, że chyba jestem bardziej zachowawczy. Ale Leszek unosił nowość, miał w sobie fantazję, mówił, że nigdy nie wiadomo, co z jakiegoś „popaprańca” wyrośnie. Miał rację. Bo przecież nie chodzi o „popaprańców”, zawsze chodzi o człowieka.

Nie będę wnikał w strukturę książki, nie mam też zamiaru detalizować postawy krytycznej Leszka Bugajskiego. Był kimś, kto wychował się na dobrej szkole lektury. Książkę najpierw się czytało, potem o niej pisało, a redakcja – w swojej omnipotencji – dokonywała stylistycznych zmian i skrótów. To była dobra lekcja. Kto chciał się nauczyć tej reguły, ten był na przedzie. Leszek szybko zrozumiał na czym polega różnica między tekstem wydrukowanym w gazecie, a tekstem napisanym. Z pierwszą wersją nie dyskutował, drugą zachował. Tak budował swoją pozycję krytyka. Im był częściej, tym był wyraźniejszy. A potem – im był głębszy, tym był znakomitszy.

Jego lektury nie były planowe, zamierzone. Tym różnił się od swoich rówie-

śników, którzy potrafili Gombrowicza, Schulza, Lema, Różewicza, Szymborską czy Mrożka czytać na okrągło, delektując się różnym podniebieniem słowa. Leszek był inny. Jego interesowała społeczna wartość literatury, a jeżeli w artystowskiej żonglerce słów widział jakiś sens, to zawsze pytał o to, jak się to ma do rzeczywistości. Mądrze. Literatura nie może być byle jaką składanką słów. Literatura musi być złożeniem słów istotnych. I odnosić się do istoty naszego życia.

3

Nasze ostatnie spotkanie było przypadkowe. Wracaliśmy z żoną – skądś. Nie pamiętam, skąd. Dworzec Centralny ostatnie swoje wieczorne kursy wypełnia rzeszą rozwydrzonych pasażerów, którzy muszą szybciej, wspólnie, nie przepuszczając, byle być pierwszym... Spotkaliśmy się przypadkiem. Leszek do Wrocławia, ja z żoną do Katowic. Radosne powitanie, kilka zdań urwanych przy „wniebowstąpieniu” do pendolino. I ta ostatnia rozmowa z Leszkiem, którą zapamiętałem:

- Pijesz jeszcze wódkę?
- Słabo.
- Ja też słabo.

A teraz tak bardzo chciałbym z nim wypić tego kielicha.

Norwid i Dickinson

Z JÓZEFEM BARANEM rozmawia MIROSŁAWA SZOTT

Cyprian Kamil Norwid

LXXXVII. OMYŁKA

Sukces bożkiem jest dziś – on czarnoksiężstwo
Swe rozwinął, jak globu kartę;
Ustało mu nawet i zwycięstwo
Starożytne, wiecznie coś warte!

Aż spostrzeże ten tłum – u swej mogiły –
Aż obłędna ta spostrzeże zgraja:
Że zwycięstwo wytrzeźwia ludzkie siły,
Gdy sukces – i owszem – rozpaja!...

Emily Dickinson

* * *

Jam nikt a tyś kto, zdradź!
Tyś też nikt tak jak ja,
więc dwoje nas, lecz cicho sza,
bo na banicję skażą nas.

Jakże żalosne jest być kimś
jak żaba do zmroku od brzasku,
rozgłaszać swe imię bagnetom –
w imię taniego poklasku.

(przeł. Józef Baran)

Józef Baran: Tym razem ulegliśmy pokusie wspólnego czytania dwu wierszy. Przy nadzwyczajnym zbiegu okoliczności mogli nawet się spotkać. Z Nowego Jorku, gdzie 33-letni Norwid zawędrował wiedziony swym tułaczym losem i przebywał półtora roku – do Amherst, gdzie urodziła się i całe życie przebywała Emily Dickinson (w chwili przypłynięcia Norwida do Ameryki w 1853 liczyła sobie dwadzieścia parę wiosen) – jest 280 km, niecałe 3 godziny jazdy autem.

Mirosława Szott: Uświadomiłeś mi niezwykłą rzecz – bo nigdy tych dwoje nie zestawiałam razem. Norwid wydawał mi się – a wyniosłam to przecucie zapewne ze szkoły – przecięzkawy, a Emily – zawsze niezwykła. Podoba mi się Twoje tłumaczenie wiersza Dickinson (znałam inne rozwiązania tłumaczy). Łapię się na tym, że chciałam zapytać: jak byś przetłumaczył ten wiersz Norwida, ale to oczywiście żart. Co skłoniło Cię do zestawienia tych wierszy?

JB: Gdy dziś czyta się wiersze tych poetyckich geniuszy, bije po oczach wiele podobieństw i zbieżności zachodzących między ich losami ludzkimi i poetyckimi. Obydwoje niedocenieni za życia, obydwójce wyprzedzali swoją epokę, obydwójce uprawiali typ poezji, która w wiele lat później będzie powszechna i nazywana awangardową. Przyboś zdefiniowałby tę poetykę krótko: minimum słów, maksimum treści. Takie są miniatury Emily i niektóre utwory Cypriana Kamila: wieloznaczne, niedomówione, odsyłające do wyobraźni.

MS: Łączy ich też typografia tekstów (dywizy, wykrzyknienia, podkreślenia niektórych słów, składnia).

JB: W obu wypadkach to liryka skondensowana, naładowana znaczeniami, eliptyczna w okresie, gdy rozkwitały romantyczna bujność słowa, wylewny sentymentalizm. Stali się po dziesiątkach lat prekursorami poezji współczesnej w swoich krajach. Poezja Emily osiągnęła wielki rozgłos w Ameryce, świecie, większy niż wiersze Norwida, co wynika oczywiście przede wszystkim z większej popularności i użyteczności języka angielskiego w świecie.

MS: Oboje odeszli w poczuciu braku odniesionego sukcesu. Mam jednak wrażenie, że te wiersze jednocześnie dużo różni. Norwid stawia się wyżej „zgrai”, „tłumu”. Stara się być obiektywny, jego wiersz to jakby strumień poglądów. Natomiast wiersz Dickinson jest „interaktywny”, podmiot liryczny mówi do czytelnika (parafrazuję) jak do partnera: jestem taka jak ty, jesteście dwoje i trzymajmy się razem, bo inaczej zostaniemy ukarani. Przez kogo? Jacy są ci inni? Może to ci, dla których zwykli ludzie nic nie znaczą? Których trzeba zepchnąć na margines? Raczej to nie żaby z drugiej strofy. Tego porównania używa, żeby mówić o egocentrykach, którzy rechoczą na swój temat świata (bagnetu). Nie jest to miły śpiew, dlatego brak odbiorców. Ale Dickinson nie podejmuje się rozróżniania sukcesu od zwycięstwa. Tylko wskazuje jak żalosne bywa maksymalne skupienie na sobie. Nic ono nie znaczy w szerszej perspektywie. Kosmos sobie świetnie poradzi bez naszego rechotania. Zatem mówią zupełnie w innej temperaturze: Norwid poważny i pouczający (no chyba że ja zupełnie źle odbieram jego przekaz?), Dickinson – z poczuciem humoru.

JB: Obydwoje osiągnęli zwycięstwo jako poeci; z tym, że było to zwycięstwo zagrobne. Przyszło wiele lat po ich śmierci. Co prawda Norwid prorokował owo zwycięstwo w swoich wierszach, nie darmo rozróżniając sukces od zwycięstwa. Na pewno czuł zazdrość, patrząc na wielkoludów swojej epoki, np. Mickiewicza, którzy osiągnęli zawrotne sukcesy, ale i innych chwalonych poetów z generacji wieszczów Adama, gdy autor „czarnych kwiatów” był ganiony za niezrozumiałość i wyśmiewany, a rękopisy z jego twórczością tylko cudem uratowały się i zostały wskrzeszone drukiem. Natomiast Emily nie marzyła o zwycięstwie jako poetka, była na to za skromna (opublikowała za życia tylko kilkanaście wierszy w gazetach); wiedziała natomiast – i taki jest jej przekaz w przełożonym wielokrotnie na język polski i cytowanym przez nas wierszu – że gwiazdzenie i osiągnięcie chwilowych sukcesów przypomina rechotanie żab, które skrzekiem muszą stale przypominać swoje nazwisko wielbiącym je „bagnetom”. To bardzo ostra krytyka. Popularność, gwiazdzenie, celebrytizm – osiąga się na „bagnetach”. Co to są te bagnata możemy sobie dośpiewać sami, my, obywatele ziemscy XXI wieku, którzy widzimy to jak na dłoni: układy, rozgłos medialny okupiony tanim poklaskiem itd. Norwid krytykuje też mocno owe sukcesy, mające krótkie nogi – używając ostrego słowa – „zgraja”.

MS: Dużo jest w tej jego krytyce frustracji. Natomiast wydaje mi się, że dla Emily sukces byłby nie do udźwignięcia (przy jej poziomie lęku!). Dlatego ona może sobie trochę dworować z tego (stąd ta żaba), u Norwida – jest raczej ukryta pogarda (skoro sukces nie jest w zasięgu ręki, to gardzi tymi, którzy go osiągnęli). Status Mickiewicza, Słowackiego czy Krasińskiego uwiera go, przeszkadza. Powiedzmy sobie szczerze – sukces to też nic złego, jeśli ktoś uczciwie do niego dochodzi: swoją pracą, zaangażowaniem, czasem przez zbieg okoliczności lub przypadek.

JB: Ale różnica jest zasadnicza: sukces – „r o z p a j a”, gdy zwycięstwo jest kategorią starożytną, wieczną, ono „otrzeźwia ludzkie siły”. Pracuje się na nie całe życie, nierzadko nie osiągając za życia popularności, sukcesów. Zwycięzcą był Chrystus, które przecież myśląc po ludzku przegrał swoje życie, podobnie jak Van Gogh, jak Norwid, jak Dickinson, jak Sokrates, Kafka jak wielu innych wielkoludów sztuki... I nasz poeta zdawał sobie jakby za życia z tego sprawę. Emily jest po kobiecie skromniejsza, wybiera raczej bycie nikim, bycie anonimem, woli to od rechotu żab dla admirujących ją „bagien”; zwycięstwa upatruje raczej w zbawieniu po życiu, w życiu niesprzedajnym, zgodnym ze sobą, z Przyrodą, co można wyczytać z jej pięknej, czasami tak jak i liryka Norwida, hermetycznej poezji. Emily wydaje się niekiedy nawet panteistką. Była też być może bardziej uniwersalna, gdyż naturalnym decorum jej poezji stała się natura, Przyroda, Niebo. Norwid jest w pewnym sensie bardziej lokalny (zamykający się bardziej w dekoracjach historii polskiej). W większym też stopniu może był poetą kultury, poetą bywałym w świecie, zanurzonym w kulturze, gdy ona była raczej poetką natury. Ale to też temat na osobne studia komparatystyczne.

MS: Przy czym ta kobieca skromność i anonimowość, o której wspominasz, jest jakby narzucona kulturowo. Ona do pokonania miałaby o wiele więcej barier (ale najważniejszą w sobie). Dlatego rezygnuje, izoluje się, ten lęk (może nawet proporcjonalnie silny do pragnienia zauważenia) ją paraliżuje. U Dickinson mamy lekcję negatywną, a jest taki Twój wiersz *Uczę się od mrówki*, w którym pokazujesz doskonałość bezmiennej przyrody. Mrówka przenosi ziarno z taką determinacją, jakby zależało od tego losy Ziemi (może jednak zależą?). To jest jej zwycięstwo. W *Za trudnych lekcjach* dodatkowo przyznajesz, że człowiekiem kieruje silny gen pojedyncości.



JB: Tak, wierzę, że w jakimś planie wyższym nasze istnienie, podobnie jak istnienie mrówki, pszczoły i orla bielika ma jakiś sens. Też chciałbym tak jak Dickinson czy Norwid być człowiekiem wierzącym, choć wiara w XXI wieku jest jeszcze trudniejszą sprawą od tej – w poprzednich stuleciach. Mira, jak myślisz, czy te wskazania i przestrogi wpisane w wiersze Emily i Norwida mogą być dzisiaj też aktualne i inspirujące do rozmyślań dla dzisiejszego młodego człowieka?

MS: To jest trudne pytanie, bo dziś sukces nie jest uzależniony od kompetencji, zdolności, pracy. Zapytaj o autorytety licealistę – okaże się, że jego mistrzem jest równolatek, np. influencer, który ma w mediach społecznościowych milion followersów. I to jest zdaje się sukces destrukcyjny, o którym pisze Norwid. Nie buduje (prowadzi często do depresji, uzależnień), jest nadmuchany i bardzo złudny. Zwycięstwo nigdy nie jest łatwe, ale jest zwyczajnie dobre (w najgłębszym tego słowa znaczeniu). Czy ono kogoś dzisiaj interesuje? Tego nie wiem. Istnieje mnóstwo poradników mówiących o tym, jak odnieść sukces (zdecydowanie mniej jest tych o zwycięstwie, które wydaje się mniej komercyjne). Józefie, jak sobie wyobrażasz Norwida i Emily? Miałbyś ochotę przebywać z nimi?

JB: Bardziej z Emily niż z Cyprianem Kamilem, który był chyba człowiekiem bardzo ześrodkowanym na sobie i do tego przygluchawym. Współcześni mu (poza wyjątkami) nie palali sympatią do niego, bo wydawał im się przemądrzałym dziwakiem. Kto lubi geniuszy, jeśli nie sprawiają od razu – jak Goethe – wrażenie geniuszy? Obydwoje nie mieli farta w miłości, pozostali singlami; on – raczej introwertyk, choć łaknący przyjaźni, samotnik, pozbawiony wdzięku i „szarmu”, a więc figura śmieszna na salonach; ona – agorafobka, introwertyczka, pustelniczka, całe życie w jednym miasteczku, w pokoju zaciemnionym kotarami, słowem – też dużej klasy dziwaczka, z cechami wskazującymi na zamknięcie w sobie. Wiodła za to tak jak i on bogate życie wewnętrzne. Obydwoje bardzo wierzący (on katolik, ona protestantka); dawali temu wyraz poetycki.

MS: Raczej zatem nieprzystępni i wzbudzający ambiwalentne odczucia. Jednak w ostatecznym rozrachunku: genialni, wykraczający poza epokę. Bliżej mi jednak do przekazu Dickinson, która tak naprawdę w życiu podobno nie była taką pustelniczką, jak mówi legenda, raczej lubiana przez rodzinę i najbliższe otoczenie.



Adam Czerniawski

20 grudnia 1934 – 29 lutego 2024

PIOTR WILCZEK

Od autora: Poniższy tekst to autorski przekład przemówienia napisanego i wygłoszonego w języku angielskim podczas uroczystości pogrzebowych Adama Czerniawskiego w St Mary's Church w Monmouth w Walii dnia 26 kwietnia 2024 roku. Przemówienie zostało przygotowane na prośbę Ann Czerniawskiej, wdowy po pisarzu, która chciała, aby brytyjscy sąsiedzi i przyjaciele Czerniawskiego dowiedzieli się, jakie były jego zasługi dla literatury i kultury polskiej.

Adama Czerniawskiego poznałem w 1987 roku w Katowicach, podczas jednej z jego licznych podróży do Polski i od tego czasu datowała się nasza wieloletnia przyjaźń, która trwała do jego śmierci w Monmouth 29 lutego 2024 roku. Przeprowadziłem z nim dwa wywiady, napisałem kilka esejów o jego twórczości i współpracowałem z nim przy przekładzie *Trenów* Jana Kochanowskiego wydanych pod moją redakcją dwukrotnie – w 1996 roku w Katowicach przez Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego i w roku 2001 w Oxfordzie. W poniższym przekładzie zamieściłem polski tekst *Trenu X* Kochanowskiego zamiast przekładu autorstwa Czerniawskiego, który znajdował się w angielskim oryginale przemówienia.

Szanowni Państwo, przyjaciele i członkowie rodziny Adama Czerniawskiego! Gromadzimy się w historycznym kościele Najświętszej Marii Panny w Monmouth, by w refleksji i zadumie uczcić życie, które było pełne niezwyklej głębi i osiągnięć. Mury otaczające nas, przeniknięte historią, obejmują nas teraz, gdy oddajemy hołd Adamowi – człowiekowi o głębokim intelekcie i ujmującym ciepłem, który głęboko wpłynął na nas wszystkich. Z sercami pełnymi wspomnień zebraliśmy się, by oddać hołd tak bardzo przez nas szanowanemu koledze i przyjacielowi.

Dzisiaj, stojąc przed wami, przemawiam nie tylko jako ambasador Polski w Wielkiej Brytanii, nie tylko jako – podobnie jak Adam – ba-

dacz literatury i tłumacz, ale przede wszystkim jako wieloletni przyjaciel Adama. Poznałem go po raz pierwszy 37 lat temu w Polsce, kiedy byłem młodym wykładowcą literatury polskiej. Od tego czasu nasze ścieżki krzyżowały się dziesiątki razy w Warszawie, Oksfordzie, Londynie, Norwich, Edynburgu i w ciągu ostatnich dwóch lat również w Monmouth. Gdy nie byliśmy razem, wymienialiśmy wiele listów i e-maili oraz odbywaliśmy liczne rozmowy telefoniczne. Był moim mentorem i przewodnikiem, który wprowadził mnie w sprawy Anglii, jej kultury i języka. Dzieliłem z nim miłość do przekładu jako sposobu łączenia kultur, szczególnie kultury polskiej i angielskiej.

Dziś, gdy stawiamy czoła naszej wspólnej stracie, świętujemy również trwały wpływ, jaki Adam wywarł na literaturę polską i na każdego, kto miał przyjemność znać go osobiście. Jesteśmy tutaj nie tylko po to, by opłakiwać, ale by oddać hołd człowiekowi, który łączył różne światy, działał na rzecz porozumienia kultur i pomagał zrozumieć siłę ludzkiego ducha.

Annie, Irenie, Stefanowi i całej rodzinie Czerniawskich przekazuję najszczersze kondolencje. Niech dziedzictwo pracy Adama i jego niezłomny duch nadal nam towarzyszą i wpływają na nasze wybory w życiu i literaturze.

Historia Adama Czerniawskiego rozpoczyna się w tętniącym życiem sercu Warszawy, w świecie, który wkrótce miał zostać ogarnięty przez ciemności wojny. Jego wczesne lata były naznaczone siłą ducha rodziny wyrwanej przez konflikt z do-tychczasowej codzienności. Ich losy to świadectwo niezłomnej ludzkiej woli przetrwania i życia pomimo przeciwności.

Gdy był młodym chłopcem, echa rodzinnej Polski słychać było na korytarzach jego nowych domów w różnych miejscach — od zatłoczonych ulic Stambułu po histo-

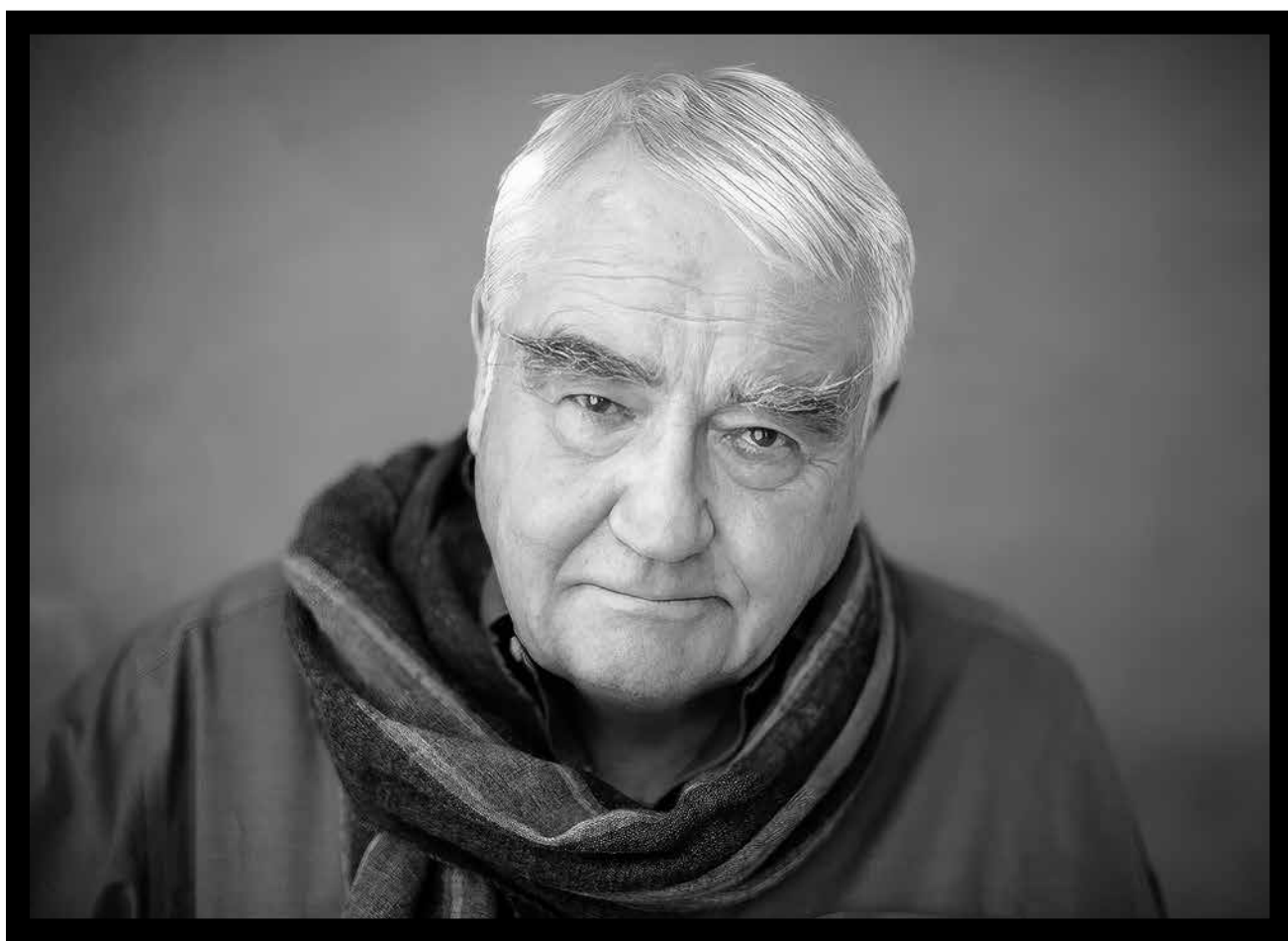
ryczne krajobrazy Palestyny. Każda kolejna zmiana, choć stanowiła wyzwanie, była fragmentem wczesnych rozdziałów życia, które miał poświęcić potęgze słów i dążeniu do wiedzy.

Edukacyjna podróż Adama była tak różnorodna jak jego wychowanie. Szkoły w Tel Awiwie i Bejrucie stanowiły tło edukacji obejmującej różne kontynenty i kultury. Zanim dotarł do Londynu, jego świat został nieodwracalnie ukształtowany przez wielość głosów i historii, z którymi się zetknął. To właśnie tam zakiełkowała jego głęboka miłość do literatury, która rozkwitła w żyznym intelektualnym środowisku czołowych angielskich uniwersytetów.

Te doświadczenia formacyjne, prześięknięte bogatym dziedzictwem jego polskiej tożsamości, rozpałyły w Adamie dożywotnią miłość do literatury, przygotowując grunt pod twórcze życie, które miało stanowić pomost między narodami i stanowić dziedzictwo doceniane na całym świecie.

Adam Czerniawski był tłumaczem wybitnym, jego rzemiosło osiągnęło wyżyny doskonałej sztuki, która przenosiła subtelności i niuanse polskiej literatury do anglojęzycznego świata z niezrównaną precyzją i lekkością. Jego dzieła to nie była zwykła translacja; to było odrodzenie idei, uczuć i piękna w innej formie, w innym języku.

Głębia jego dokonań w tym zakresie jest być może najbardziej widoczna w tłumaczeniach „*Trenów*” Jana Kochanowskiego. Te wiersze, stanowiące głęboką ekspresję żalu i kontemplacji, zostały przełożone przez Adama z czułością, jaką mógł przekazać tylko ktoś, kto dogłębnie rozumiał, czym jest strata. Kochanowski opłakiwał swoją ukochaną córkę w XVI wieku, Adam tchnął nowe życie w staropolskie werse-ty, łącząc epoki i emocje we wspólne ludzkie doświadczenie. Wprowadzając „*Treny*” do angielskiego kanonu, był nie tylko tłumaczem, ale



przekazicielem uniwersalnego żalu i miłości, pomostem między przeszłością a teraźniejszością.

Równie znaczące są jego tłumaczenia poezji i dramatów Tadeusza Różewicza. Różewicz, wielka postać polskiej literatury XX wieku, znalazł w Adamie błyskotliwego interpretatora. Jego przekłady zachowały surowy realizm i emocjonalny ciężar powojennej refleksji Różewicza i przekazywał ją międzynarodowej publiczności, łącząc wierność z poetycką siłą.

Nie można również pominąć tłumaczeń dzieł Cypriana Kamila Norwida, które dały angielskim czytelnikom wgląd w geniusz dziewiętnastowiecznego poetyckiego wizjonera. Przekłady skomplikowanej, filozoficznej poezji Norwida ukazują własną intelektualną głębię tłumacza i niezłomne przywiązanie do autentyczności jako warunku koniecznego w tłumaczeniu.

Lingwistyczne mistrzostwo Adama przeniosło to, co najlepsze z polskiego dziedzictwa literackiego na światową scenę, zapewniając, że głosy Kochanowskiego, Różewicza czy Norwida będą obecne w literaturze światowej. Przez swoje tłumaczenia Adam nie tylko przekroczył bariery językowe, on zlikwidował je, pozwalając duchowi polskiej poezji za-

mieszkać w bibliotece świata w pełnej, olśniewającej chwale.

Adam Czerniawski był nie tylko mistrzem przekładu, ale także wybitnym poetą, piszącym w języku polskim. Opublikował około 15 tomów swojej własnej poezji, każdy z nich był przesiąknięty intelektualną głębią oraz uwielbieniem filozofii i sztuk pięknych. Szczególnie urzekła go wspaniałość wielkich obrazów i ich twórców; wersy Adama spletały erudycję z wizualnością, tworząc wielkie osiągnięcia artystyczne. Jego wiersze były powszechnie doceniane, stając się przedmiotem artykułów w czasopiśmie naukowych i rozpraw doktorskich, które zagłębiały się w sztukę jego literackiego rzemiosła.

Wybór jego poezji, przetłumaczony na język angielski przez samego Adama oraz Iainę Higginsa, pokazuje jego umiejętność przekładania głęboko przemyślanej i aluzyjnej polskiej poezji na zniuansowaną angielszczyznę. Ten tom stanowi świadectwo jego mistrzowskiej biegłości w obu językach, łatwo przekraczającej bariery kulturowe i językowe.

Były jeszcze eseje Adama, które obejmowały szeroki zakres tematów od literatury i filozofii po sztuki piękne i można je uznać za wzorco-

we przykłady europejskiej eseistyki. Łączyły najcenniejsze elementy angielskiej przejrzystości i polskiej przenikliwości, wnosząc znaczący wkład do kanonu eseistyki i wzbogacając intelektualny krajobraz perspektywami, które były zarówno unikalne, jak i uniwersalne. Eseje Adama stanowią przykład wielkiej intelektualnej siły, która wpisuje się w dziedzictwo myśli europejskiej.

Adam Czerniawski był znany w świecie akademickim ze swojego głębokiego zaangażowania w edukację literacką i filozoficzną. W murach Thames Polytechnic oraz Medway College of Design w Londynie dzielił się bogactwem swojej wiedzy z zakresu filozofii, estetyki i literatury, kształcąc pokolenia przyszłych myślicieli i twórców. Jego nauczanie wykraczało poza teorię, pielęgnując głębokie przekonanie o transformacyjnej mocy, jaką ma intelektualna dociekliwość.

Współpracując z emigracyjnymi czasopismami literackimi, takimi jak „Wiadomości”, „Kultura” i „Oficyna Poetów”, Adam odegrał kluczową rolę w wymianie intelektualnej między krajem ojczystym a polską diasporą. Jako założyciel i główny redaktor „Kontynentów” stworzył przestrzeń dla prezentacji polskiej myśli literackiej, która mo-

Georgius Agricola i jego dzieło w XII księgach – po polsku

JACEK OKOŃ

De Re Metallica libri XII – niedługo upłynie raptem ćwierć wieku od wydania pierwszego polskiego przekładu tego dzieła. Cóż to jednak jest wobec prawie pięciu stuleci, w ciągu których nie istniała polska wersja. A nie każdy u nas zna łacinę. Zresztą nawet ci, którzy zdali na piątkę egzamin z deklinacji i koniugacji (medycyna, prawo, seminarium duchowne), raczej nie czytają swobodnie dzieł łacińskich. Ale *ad rem* (to akurat wszyscy znamy).

W roku 1556 ukazało się w Bazylei dzieło Georgiusa Agricoli (1494–1555) *De Re Metallica libri XII*, napisane kilka lat wcześniej. Autor, przed zlatynizowaniem nazwiska używający miana Georg Bauer, był z zawodu lekarzem, co w jego akurat wypadku mniejsze miało znaczenie. Nazywany jest dziś raczej geologiem, mineralogiem i górnikiem. Wcześniej wydał kilka innych ksiąg, jednak potomność korzysta do dziś z tej jednej, zwanej dla swego zakresu treściowego Biblią Górnictwą.

Jego wizja górnika różni się od naszej, ale pamiętajmy, że mamy do czynienia z twórcą renesansowym. W owym czasie wszechstronność, liczne talenty i rozległa wiedza w wielu dziedzinach stanowiła swoistą normę. Agricola dowodził, że górnik powinien być filozofem, znać się na medycynie, astronomii, miernictwie, arytmetyce, technice

budowlanej, rysowaniu. Jednocześnie musiał sobie zdawać sprawę, że w życiu rzadko zdarza się trafić na tego, w którym zejdą się razem wszystkie tak specjalistyczne umiejętności. Jeśli jednak w ten właśnie sposób widział posłannictwo górnicze, to czerpał z pewnością z własnego doświadczenia, takim bowiem był człowiekiem i takie właśnie umiejętności posiadał.

Dodatkowym, równoległym atutem książki, wartością samą w sobie, są liczne drzeworyty (273), ukazujące ówczesne narzędzia i urządzenia kopalniane, z odnośnikami objaśnianymi w tekście. Drzeworyty wręcz rewelacyjne, nie tylko wtedy, gdy powstały, lecz i dzisiaj, gdy chyba niewiele z tych drewnianych „maszyn” ocalało. A tu i budowa, jak na talerzu, i opis działania. Łatwo odtworzyć, zrekonstruować, przywrócić do istnienia z niebytu. Już w pierwszej księdze natrafiamy na dowody niezwyklej erudycji.

Agricola zestawia różne starożytne spojrzenia na górnictwo, rozumiane wówczas jako wydobywanie głównie kruszców. Jego dzieło zaliczane jest do literatury fachowej. Rozpoczyna się wszakże od dwóch ksiąg o charakterze eseistycznym, rzeklibyśmy dziś że wręcz krytycznoliterackim. Autor przytacza cytaty z Owidiusza, Horacego, Wergiliusza, Pindara, cytuje Safonę i wielu innych. Wykazuje różnice poglądów na

wartość kruszców i sens ich dobywania, także implikacje moralne wynikające z posiadania szlachetnych metali. Choć jego rodowe nazwisko zarówno w brzmieniu niemieckim jak i łacińskim znaczy „chłop”, „rolnik”, „pracujący na roli”, w pełni podziela zdanie Ksenofonta, który pisząc o ateńskich kopalniach srebra, wykazywał przewagę górnictwa nad rolnictwem: *Bywają takie ziemie, które – gdy je zasiać – nie przynoszą obfitego plonu. Gdy zaczniesz z nich wydobywać [rudy], wykarmisz więcej ludzi, niż mogłaby to uczynić najpłodniejsza ziemia.*

Pisali więc o górnictwie filozofowie, poeci, historycy – Agricola jest wśród nich pierwszym, który będąc zarazem wszystkim tym po trochu, nazwany został przez historię górnikiem. Jego późnorennesansowe dzieło, opublikowane w języku łacińskim, cenione na bieżąco i poprzez następne wieki, rozpowszechniło się szerzej dopiero w czasach współczesnych, po przetłumaczeniu go (1912) na angielski przez Herberta Hoovera (1874–1964), członka Amerykańskiego To-

warzystwa Inżynierów Górnictwa, późniejszego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Do Polski dzieło Agricoli przedstawiało się jakby z trudem. Chodzi o przyswojenie tekstu czytelnikowi polskiemu w tłumaczeniu na nasz język ojczysty. Pierwsze zaślubił inż. Feliks Piestrak, który przełożył (1908) pierwsze sześć ksiąg, bardziej je kolejno omawiając w tekście, niż tłumacząc słowo w słowo. Także inż. Stanisław Majewski, przed wojną postać niemal w górnictwie „renesansowa”, tak wszechstronny, m.in. redaktor miesięcznika „Technik” (a i po wojnie niezłe zasłużony), przypominał o Agricoli w swym piśmie, tłumacząc różne fragmenty z niemieckiego.

Potem próbowano nadrobić braki i zapóźnienia w kręgu pracowników Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu. Przetłumaczenia z języka niemieckiego podjął się dr inż. Bohdan Andrzejczek, co nawet zostało zapowiedziane w prasie. Jego niedokończona praca pozostała w rozproszeniu na etapie rękopisów pozaarchiwalnych, a sam autor zmarł, nie doprowadziwszy zamiaru do skutku. Skutecznie zadziałało natomiast Muzeum Karkonoskie w Jeleniej Górze (2000), korzystając z bliskości środowisk czeskich i z faktu, że Czesi przetłumaczyli dzieło Agricoli już w roku 1933. Inicjatorem (pomysłodawcą i redaktorem) wydania polskiego był ówczesny dyrektor Muzeum Karkonoskiego Stanisław Firszt. Wydanie z roku 2000, dofinansowane ze środków Unii Europejskiej Phare CBC, ukazało się więc w tłumaczeniu z języka czeskiego. I dobrze się stało jak się stało. Uprzysiężona została w ten sposób czytelnikowi polskiemu księga (właściwie 12 ksiąg w jednym tomie), na którą nieznaną łaciny i języków nam ościennych czekali dotąd nadaremno. Oznaczony nakład wynosił 500 egzemplarzy, przez co dzieło szybko stało się niedostępne. Z czeskiego na polski przełożyła Karina Kurkova.

W środowisku górniczym muzealnym kontynuowane są międzynarodowe spotkania okresowe muzealników i naukowców, także praktyków górniczych, pod nazwą „Uczniowie Agricoli” (także jako Agricolovi Žáci). Gospodarzem spotkania w roku 1996 było Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu. Pomysłodawcą konferencji i jej nazwy jest PhDr Miloš Zárybnický, wówczas kierownik Działu Górniczego w Narodowym Muzeum Techniki w Pradze. Niedawno część ulicy Jodłowej w Zabrzu, przy której znajduje się dyrekcja Muzeum Górnictwa Węglowego, zmieniła nazwę na Georgiusa Agricoli.



Czuły narrator w szumie nowoczesności

RADOSŁAW KOBIERSKI

Czegoś takiego Śląska Scena Literacka jeszcze nie widziała. Przysnaję, widziała niewiele – zbliża się dopiero do swojego pierwszego okrągłego jubileuszu – ale mimo wszystko warto fakt odnotować. Do tej pory nie przerabialiśmy jeszcze formy benefisu. I nigdy dotąd audytorium nie było tak liczne, żeby liczyć się z dostawianiem krzeseł. Cieszy, że nadal eksperymentujemy z kształtem spotkań z państwem i literaturą, a eksperymenty przynoszą korzyści, martwi, że długo jeszcze taka sytuacja się nie powtórzy. Przyczyna takiego stanu rzeczy jest oczywista.

Marta Fox jest najbardziej rozpoznawalną twarzą literatury na Śląsku. Co do tego nikt chyba nie ma wątpliwości. Detronizacja w najbliższym czasie jej nie zagrażają. Nawet jeśli któraś z nielicznych kandydatek za dziesięć/piętnaście lat przekroczy trzydziestkę (wiek pisarzy i pisarek mierzymy książkami), trudno będzie powtórzyć to, co Martę Fox wyróżnia w sposób szczególny: cechy społeczne i afirmacyjne. Pisanie zawsze jest czynnością intymną, czasem nawet klaustrofobiczną, ale już to, jak piszemy i jak z napisanym wychodzimy do ludzi to kwestia, która podlega różnicowaniu. Marta Fox jest nie do podrobienia ani do zastąpienia również dlatego: nikt przed nią ani równoległe z nią nie pisał z taką czułością i optymizmem (choć, umówmy się, niełatwem) o współczesności. O czasie przemiany. O młodości i dla młodości. O dorastaniu i dojrzewaniu. O tabu związanym z seksualnością, przemocą czy zaburzeniami odżywiania. O międzypokoleniowym przepływie różnego rodzaju traum mających szczególnie wpływ na relację matek i córek, kiedy w sytuacji braku wzorów męskich (śmierć, choroba, ucieczka) jedynym wyjściem dla kobiet było przejmowanie stereotypowych ról patriarchalnych. Osią wielu książek jest właśnie pokoleniowy spór, rodzaj feministycznego agonu – i Marta Fox robiła naprawdę wszystko, żebyśmy mogli zrozumieć, na czym on polega, skąd się bierze i jaki ma wpływ na kształtowanie wychowawczego idiomu. Weronika Górka napisała wprost o zrewolucjonizowaniu powieści dla młodości. Nawet kiedy Marta Fox bierze na swój „warsztat” tekst dla dorosłych, formę żałobno-wanitatywną, jaką jest *Lacrimosa* (Requiem), wychodzi jej z tego tekst o niespotykanej energii, opowiadający o woli życia i przemiany. Jeśli wszystko jest marnością, należy coś z tym zrobić. Tym bardziej żyć tu i teraz. Najlepiej wykorzystać czas, który został nam dany.

Podczas benefisowego spotkania w Mieście Ogrodów świadomie i z pełną premedytacją nawiązałem do *Czulego narratora*, noblowskiej przemowy Olgi Tokarczuk, ponieważ uznałem, że narracje Marty Fox właśnie takie są: starają się ująć jak najwięcej, zobaczyć z wielu perspektyw, pochylić się nad jednostkowymi losami bohaterów i losami zbiorowości, być uważne na zmiany społeczne, zamiast epatować łatwym dydaktyzmem. Czułość oznacza również wrażliwość sensoryczną. Słuch literacki i społeczny.

Trzydzieści lat od powieściowego debiutu *Batoników*, to jest szmat czasu w literaturze. Możemy te następujące po sobie dekady przebadać pod wieloma kątami: ekonomicznym, obyczajowym, psychologicznym, filozoficznym, tożsamościowym właśnie dzięki temu, że istnieją książki Marty Fox i zdają ścisłą relację z tego czasu i przemian, które go charakteryzowały. Jako badacze literatury możemy również przyjrzeć się strategiom literackim i konkretnym wyborom, które zdecydowały o formie wypowiedzi oraz jej wektorowi. Marta Fox wybrała wielość zamiast jednorodności w sensie gatunkowym. Postawiła na formy pośrednie: epistolograficzne i dziennikowe, bo dzięki temu mogła opisać różne płaszczyzny i punkty widzenia a jednocześnie te formy jak najbardziej odpowiadały konfesyjności lat 90., postępującym procesom indywidualizacji i intymizacji opowieści w kolejnej dekadzie. Pozwolicie państwo, że raz jeszcze zacytuję noblistkę: „Żyjemy w rzeczywistości wielogłosowych narracji pierwszoosobowych i zewsząd dochodzi nas wielogłosowy szum [...] Uznaliśmy, że ten rodzaj zindywidualizowanego punktu widzenia, głos z «ja», jest najbardziej naturalny, ludzki, uczciwy, nawet jeżeli rezygnuje z szerszej perspektywy”. Szum został wygenerowany, Marta Fox go (u)słyszała i dała młodym ich własną opowieść.

Czy dzisiaj Marta Fox potrafiłaby powtórzyć sukces (również rozpoznania) z debiutanckich *Batoników* czy *Magdy.doc*? W trakcie benefisu odniosła się do tej kwestii sceptycznie.

Stwierdziła, że nie czuje już języka współczesnych nastolatków. Nie trzeba mieć trzydziestu książek na swoim koncie, żeby zdać sobie sprawę z ograniczeń, jakie narzuca nam współczesność i jej dynamiki. Rozumiemy to również dobrze my, nieco młodsi, rozumie to nawet sama młodzież. Jeśli każda generacja miała kiedyś swój język, to dzisiaj widzimy, że język zmienia się nawet w obrębie generacji. Być może dlatego Anouk Herman swoją opowieść o współczesności napisała klasyczną polszczyzną? Być może pokoleniową sztafetę po Marcie Fox przejmie Anouk Herman? A może nie będzie żadnego przejmowania. Niby nie ma ludzi niezastąpionych, ale przecież wiemy, że są.

W poezji Marta Fox również szukała kształtu i energii, które zgodzą się z jej genetycznym, literackim ADHD. Powstały więc liryki graniczne, przełamujące granice gatunkowe i schematy poetyckiej wypowiedzi (*Lacrimosa*, *Rozmowy z Miro* czy *Modlitwy do św. Rity*). Jakby tego było mało, Marta Fox napisała kilka książek ułożonych poza ambicjami poetyckimi i epickimi, pokazując nam, że w reportażu i esaju i biografii również czuje się swobodnie i świetnie – *Wariatka, która czyta*, *Katowice nie wierzą łzom*. Jej czuły narrator stara się objąć jak najwięcej. To jak myślimy o świecie i jak o nim opowiadamy, ma olbrzymie znaczenie dla nas, więc w dużej mierze również dla świata. W jednym z wywiadów dla prasy Marta Fox z właściwą dla siebie szczerością oraz optymizmem mówi: *Przed snem wierzę w kubek melisy i w czułość, która ocali świat*. Zdecydowanie Marta Fox zawężyła i konkretyzuje myśl Fiodora Dostojewskiego. Bo w końcu, czym jest piękno? Każdy je rozumie inaczej. Czułość to co innego.



foto: Janusz Stobniński

Literackie dialogi Florian Śmieja i Paweł Łysek

JAN MALICKI

Wspomnienie sprzed lat. 12 maja 1988 roku. Sosnowiec, aula Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Śląskiego przy ulicy Bieruta, dzisiaj Kościelnej, wypełniona po brzegi studentami. Trybuna Studencka przygotowana przez NZS z udziałem Rektora Uniwersytetu i Dziekana Wydziału. 29 postulatów; a wśród nich ważne dla dzisiejszych moich rozważań trzy: „1. Wysłanie listu oficjalnego do wydawnictw i księgarni zagranicznych i bezdebitowych; 2. Utworzenie osobnej biblioteki wydawnictw zagranicznych i bezdebitowych. Do prowadzenia biblioteki zobowiązuje się koło naukowe polonistów; 3. Wprowadzenie bloku literatury emigracyjnej”. Nie czas na dyskusję nad głoszonymi wówczas тезami. Wszak byliśmy wtedy wciąż w epoce Gutenbergowskiej dominacji druku i papieru. Ale ważny był trzeci postulat, który nie został zrealizowany. A przecież ta literatura była nam znana; prowadzone były nad nią badania, w rozmaitych konstatacjach funkcjonowała w akademickiej dydaktyce mniej lub bardziej oficjalnie. Broniono prac magisterskich i doktorskich na temat twórców emigracyjnych. Nasi pracownicy czy studenci wyjeżdżali do Paryża i Londynu. Było to jednak spojrzenie z zewnątrz, z Polski; zapewne głębokie, czasem tylko ułamkowe, nierzadko asocjacyjne. Teoretyzując.

Ale mnie interesowało spojrzenie od wnętrza całego polskiego ethnum na obczyźnie. Dzień zwyczajny; codzienność literata. Szczególnie, gdy przeczytałem taką oto jego charakterystykę: „Kiedy do Londynu zjechali Polacy rozsiadani po wszystkich teatrach wojny, głównie z Bliskiego Wschodu i Włoch, polskie życie kulturalne stało się bogate i kolorowe. Zaroilo się nagle od aktorów i literatów, muzyków i malarzy. Znalazła się przychylna i zwarta publiczność. Brylował kabaret Mariana Hemara, wystawiały teatry Leopolda Kielanowskiego i Olgi Żeromskiej. Związek Pisarzy organizo-

wał wieczory, punktualnie wychodziły «Wiedomości» Mieczysława Grydzewskiego, katolickie «Życie», pismo codzienne «Dziennik Polski», działała polska sekcja BBC, Głos Ameryki i Wolna Europa. W szwach pękała Biblioteka Polska, wznowił wykłady Polski Uniwersytet na Obczyźnie, wydawnictwa wydawały oczekiwane książki. Bednarczykowie otworzyli Oficynę Poetów i Malarzy, z Paryża dochodziła «Kultura» i jej książki. Ciekawie się żyło w mieście, gdzie ocierał się na każdym kroku o znakomitość przedwojennego polskiego życia państwowego i kulturalnego, a do którego garnęło się nowe pokolenie twórców i tysiące młodzieży”.

Tak charakteryzował środowisko polonijne prof. Florian Śmieja. Ślązak z zabrzańskich Kończyc, wykładowca hispanistyki w uniwersytecie londyńskim oraz w Nottingham, z czasem profesor w kanadyjskim University of Western Ontario. Był też redaktorem londyńskiego „Życia Akademickiego”, „Merkurysa” i „Kontynentów”. Stąd zapewne wywodzi się głęboka znajomość całego środowiska twórczego, ale i autorytet, jakim był darzony. Należał jednak do najmłodszego pokolenia z trzech generacji, które da się wyróżnić w londyńskim środowisku. Przypomnijmy. Pierwsze, to generacja urodzonych w latach 90. XIX wieku. To Zygmunt Nowakowski, Mieczysław Grydzewski, Kazimierz Wierzyński, Antoni Słonimski, Józef Wittlin. Druga generacja, to pokolenie urodzone w pierwszych latach XX wieku. A to: Jerzy Giedroyc, Maria Danilewicz Ziełńska, Czesław Bednarczyk, Czesław Miłosz i Jerzy Pietrkiewicz. Do niej należał też Paweł Łysek, „piewca Beskidu Śląskiego”. Trzecią zaś stanowili rówieśnicy Karla Dedeciusa z Darmstadt, Zygmunta Ławrynowicza i oczywiście Floriana Śmiei. Zdaję sobie sprawę ze sztuczności takiego działania, szczególnie gdy wszechwładny czas wyrównuje wszelkie różnice, tworząc jedność osób w tym środowisku wciąż aktywnych. Jest jednak granica życia, kiedy to generacyjność znów staje się czymś istotnym. Wtedy bowiem padają pytania, a co po nas? Szczególnie ważne dla twórców – intelektualistów, dążących do utrwalania dorobku własnego życia. Szczególnie, gdy dokumenty ważne dla narodowej kultury trafiają do wielkich instytucji, np. do Biblioteki Narodowej, lub pozostając na miejscu, ale już pod opieką BN, tak jak to się dzieje ze zbiorami w Londynie, czy Paryżu. Dobrze się dzieje, gdy emigracyjne kolekcje bywają darowane uniwersytetom; jak zbiory Themersonów – Śląskiemu,

a Floriana Śmiei – Rzeszowskiemu. Biblioteka Śląska może się pochwalić spuścizną polonijnego pisarza i publicysty Kazimierza Smogorzewskiego. Jest tu również zbiór 50 listów pisanych w latach 1961–1978, przez niezwykłego człowieka, „syna Jaworzynki i beskidzkiej góralskiej rodziny” (to słowa Wilhelma Szewczyka). W listach tych, można odnaleźć szereg informacji niezwykle cennych dla tych, którzy próbują odejść od encyklopedycznych uogólnień. Są też i wyznania osobiste, a one to właśnie kreują właściwy obraz człowieka.

Profesor Paweł Łysek (1914–1978) od 1952 roku był wykładowcą i bibliotekarzem w Queens College Uniwersytetu w Nowym Jorku. Z listów dowiadujemy się, że był członkiem amerykańskiego PEN Clubu oraz Polskiego Instytutu Nauki i Sztuki w Nowym Jorku, ale i to, że mieszkał w rezydencji Beskid Ranch na Long Island. Tam też tworzył. Najważniejszy był dla niego pamiętnik; ale też powstawały inne jeszcze teksty; listy, wiersze, powieści, między innymi „Przy granicy”, gdzie – pisze recenzent jego dorobku Florian Śmieja – „Pokazał bogaty w wydarzenia, tradycyjny rok na wsi: skubanie pierza, wilię, porządki, obrzędy wielkanocne, przednówek, wesele, odpust, dożynki, różne święta, stare podania i przesady. Książka, okraszona piosenkami, kończy się mocnym opisem martyrologii górali w czasie okupacji”. To monumentalny pomnik kultury Trójwsi: Istebnej, Jaworzynki i Koniakowa. Paweł Łysek, choć pisywał jeszcze przed wojną, tę powieść uznał za pierwszą z cyklu beskidzkiego, czy też „epopei beskidzkiej”; bowiem „pierwszą książką z tej serii była „Przy granicy”, druga „Jura Odcesty”, a trzecią będzie „Roztomiła Marynka”. Akcja rozgrywa się w Beskidzie i na Zaolziu. Tak chyba wyczerpałbym tematykę beskidzką”.

Korespondencja kończy się w momencie wyjazdu na roczny cykl wykładów do Polski. W tym czasie Paweł Łysek pracuje nad przekładem książki „Na granicy” na język angielski. Pomagał mu Władysław Oszełda z Cieszyńska. Nie doczekał tej już ostatniej publikacji. Zmarł w szpitalu w Huntington. „Po śmierci ubrano go w czerwony góralski brudlik, ciało spopielono, a prochy pochowano na cmentarzu w Istebnej”. To słowa prof. Śmiei. Profesor Śmieja też zresztą nie żyje. Pochowany został w Zabrze-Kończycach. Pozostała po nich kolekcja 50 listów. ■



Od lewej Paweł Łysek, Florian Śmieja, Józef Wittlin



Sprawa rozwodowa z majątkiem księcia w tle

Chciałbym cię prosić o dużo lepsze warunki
i o dużo piękniejsze mieszkanie niż to wynika
z umowy niż to wynika z ustaleń jakie poczyniliśmy
o świecie kwietniowego dnia ostatniego dnia
pełnego śniegu w powietrzu musiałeś się wtedy
patrzeć długo przez okno musiałeś spoglądać
czy przychodzę z grupą najbliższych mi prawników

czekałeś tam przeciwniku cały zlany potem cały
ze strachu zbudowany z krwi pędzącej zbudowany
czekałeś aż zadam ci cios ostateczny pomiędzy
kości twoje żebra pomiędzy nie miałem włożyć
baśnie na które czekała cała twoja racjonalność

jaką rozwiesiłeś na sznurkach rozciągniętych
wokół pola walki wydawałoby się rozciągnięte
wokół tej ziemi po której przetaczać się miały nasze
wojska miały przebiegać oddziały konne w starciu
strasznym zdobywać mieliśmy przyczółek za przyczółkiem

miała łać się krew a nie moc z zawieszzonego na gałęzi
ciała bezradnego pustymi oczami wypatrującymi kolejnej
zimy kolejnego lata kolejnej wiosny kolejnej jesieni
i znowu zimy pokrywającej nas lodem bo ognia zabrakło
na te ognisko które powinniśmy rozpalić
my powinniśmy rozpalić
my powinniśmy żyć.

04/07/2021

Ostatnia scena z filmu

A potem zamknęły się drzwi
kamera odjechała i ukazała
pełny obraz pełnię koloru
z jakiego stworzony jest świat

i było w tym ujęciu coś
z ostatecznością którą się czuje
gdy stoi się nad brzegiem morza
i wie się że już dalej nogi nie zanoszą ciężaru
każdy kolejny krok będzie jedynie niewiadomą
nienapisaną nie namalowaną nie wysnioną
w tym czy tamtym świecie

więc patrzyłem na to co widzę
na obraz zamknięty w kadrze i zrozumiałem
że nie o to chodzi żeby w całości
pochłaniać całe płótna wydzierać
z tego co jest z tych wszystkich
których mijamy ale żeby zwyczajnie
smakować po prostu wstawiać
zadawalając język herbatą pieczywem
i chwilą którą chciałbyś zabrać ze sobą

potem kamera odwróciła się
i spoglądała w oczy bohatera
lecz jego już tam nie było
w tym spojrzeniu go nie było
bo zrozumiał że to co ma

że to już jest wszystko
i walczyć już nie chce
i odszedł.

15/04/2021

Nie ma to jak w domu

Wróciliśmy można tak powiedzieć
do naszych domów weszliśmy ponownie
do tych samych pomieszczeń wstawiliśmy
bagaze wszystkie te niepotrzebne rzeczy
które nosi się ze sobą które tak trudno
wyrzucić pozbyć się jak pozbywa się
złudzeń że to co przed nami nie będzie
wiązało naszego życia z cierpieniem

poukładaliśmy sobie to wszystko

to wszystko

zamieniliśmy na poczucie że przecież
nic się nie zmieniło będzie jak było
roboty musi być wykonana ktoś już zapłacił
więc trzeba zabrać się do roboty i żyć
z tym co ma się zrobić żyć z tym co jest życiem

naprawdę chciałbym tak powiedzieć ubrać
kłamstwa w takie słowa że nie tylko ty
mógłbyś w nie uwierzyć ale uwierzyć mógłby
cały świat dokładnie to słyszysz

cały świat

takim jakiego sobie go wyobrażaliśmy
chwilę jeszcze przed podróżą w pięknie
celuloidowej taśmy całym tym zachwycie
jaki film może wyrazić jaki może złapać
a który wchłonęliśmy w siebie żeby iść
żeby iść żeby iść przed siebie drogą w mrok

ale przetrwaliśmy to sam zobacz znowu
jesteśmy w domu znowu pomiędzy sprzętami
nasz oddech unosi się pomiędzy półkami
nic nie zatrzymuje nas przed tym żeby tu żyć

nie nie zatrzymuje nas przed tym żeby tu żyć
nie nie zatrzymuje nas przed tym żeby tu żyć
nie zatrzymuje nas nic.

10/05/2021

Piotr Tenczyk (ur. 1985), absolwent teatrologii na Uniwersytecie Śląskim. Współzałożyciel Domu z Jaśkowic, działającego od 2011 roku w Orzeszu, oraz pomysłodawca Otwartego Forum w Jaśkowicach. Poeta, reżyser i fotograf. Autor książek: *Wiersze o ludziach* (2013), *Poemat o czasie przeżytych* (2015), *Odyseja* (2016), *Zaścianek* (2018). Współredaktor tomu *Teatrologia na rozdrożach* (2017). Współpracował z Cieszyńskim Studium Teatralnym, Teatrem Obecności i innymi. Mąż i ojciec.

Katarzyna Młynarczyk

4 grudnia 1952 – 13 maja 2024

MARIAN KISIEL

Nagle, niespodziewanie odeszła Katarzyna Młynarczyk – poetka, bez której trudno wyobrazić sobie literacki pejzaż Katowic i Śląska. Dyskretnie obecna, uśmiechnięta, ale znająca swoją wartość i potrafiąca wejść w merytoryczny spór. Zawsze z wielką przyjemnością wracam do jej wierszy, a choć wracam rzadko, zdaje mi się, jakbym się nigdy z nimi nie rozstawał. Zawarty jest w nich bowiem tak wielki i istotny potencjał egzystencji, że – mimo woli – samo życie przypomina światobraz liryczny autorki *Wenus z Willendorfu*.

Z poetką poznałem się pod koniec lat 70. lub na początku 80. ubiegłego wieku. Po niezwykle udanym podwojonym debiucie (*To byłam ja*, 1980; *Wenus z Willendorfu*, 1982) była niekwestionowanym głosem śląskiej poezji kobiet. Dzisiaj powiedzielibyśmy, że otwierała poetycki dyskurs feministyczny. Wydała kilkanaście tomików wierszy, a co jeden to pod intrygującym tytułem: *Trudno jest mówić o szczęśliwej miłości* (1987), *Kochanki* (1989), *Kocham asfalt i nocne lokale* (1990), *Nazywają to miłością* (1995), *Dziewczęta z sąsiedztwa* (2000), *Oni i One* (2011) czy *Savoir vivre dla kochanków* (2013). Łączność między zbiorami wczesnymi a późniejszymi widoczna jest od razu. Poetka przeciwna była jakimś stylistycznym ekstrawagancjom, wciąż pisała jeden i ten sam kobiecy życiorys w jednym i tym samym języku.

Dwa tematy poetka obdarzyła swoim zainteresowaniem. Pierwszym, wynikającym zapewne z wykształcenia, choć ostatecznie umieszczonym jakby w tle, jest malarstwo czy w ogóle sztuka. O swoich fascynacjach plastycznych pisała Młynarczyk w książce *Moja pracownia* (2011). Przenosząc je na obszar poezji, obcuje ze szczególną fakturą jej wiersza: sugestywnością wyrazu, zdecydowaną sytuacją liryczną, kolorystyką emocji. W tej niejednokrotnie ekspresjonizującej lirycie właśnie obrazowość jest najważniejsza. Inaczej wiersz nie ma sensu.

Drugim tematem poezji Katarzyny Młynarczyk była miłość. Lecz nie byle jaka miłość, letnia i na parapecie. Miłość – przeżywana w najgłębszym natężeniu zmysłów, miłość totalna; chociaż raniąca i niejednokrotnie odrzucana, lecz przecież powracająca ustawicznie w wybaczącym wspomnieniu. O miłości szczęśliwej, twierdziła poetka, w ogóle jest trudno mówić, lecz

właśnie miłość domagająca się szczęścia jest jedynym tematem godnym rozmowy (i poezji). Życie składa się z gestów walki i poniżeń, ale gdzieś musi istnieć jakiś pokład czułości. I trzeba tylko go odnaleźć, a że jest i w „nocnych lokalach” i „na asfalcie” – nikt nie zaprzeczy.

Kiedyś, przyznając się do swoich fascynacji literackich, poetka wyznała, że – między innymi – urzekł ją „pastel pewnego sta-



roświeckiego, niemodnego malarza [Stanisława Klimowskiego – przyp. M.K.], gdzie z płataniny czerwono-niebieskich kresek – bo są tam tylko czerwone i niebieskie kreski – stworzone jest złotawe tło, brązowe włosy, koronki w kolorze kości słoniowej oraz żywe, pachnące i świeże, kobiece ciało”. Zwróćmy uwagę na to, jak to zostało napisane i co ostatecznie pojawia się w kodzie wyznania. Otóż właśnie to: kobiecość, która jest wyrażana przez pośredniość (lecz jakże sugestywną pośredniość) środków artystycznych.

A przecież formuła *Ich-Lyrik*, bezpośredniości, w tej poezji najczęstsza, czasami wszechobecna. Sądję, że poetka pragnie nam zakomunikować w ten sposób rzecz dla siebie najważniejszą – to mianowicie, że o miłości niepodobna inaczej mówić niż w pierwszej osobie liczby pojedynczej. Więc także – i we własnym imieniu. Wydaje mi się, że jest to nie tylko szczere wyznanie, lecz także wyznanie uczciwe.

Skoro już padło tutaj słowo „szczerość”, zapytajmy o ten stan w poezji autorki *Kochanek*. Trudno jest oczywiście rozstrzygać, co jest, a co nie jest szczerością w lirycie. Jeżeli przyjrzymy tylko najbardziej banalne

wyjaśnienie, że szczerość jest rodzajem osobistego, intymnego, nie tuszowanego żadnymi konwencjami (czy konwenansami) wyznania – będziemy bliscy prawdy. Tak właśnie manifestuje się szczerość w lirycie Katarzyny Młynarczyk.

Bodaj niewiele poetek na ten rodzaj wypowiedzi się zdobyło: Anna Świrszczyńska, Małgorzata Hillar, Halina Poświatowska (z poetek starszych), Anna Janko i Dorota Wiśniewska, a w niektórych wierszach może Katarzyna Boruń i Anna Czekanowicz (z poetek rówieśnych autorce *To byłam ja*). Z pewnością także Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, ale pominę tutaj historycznoliterackie lokacje. Ważne, że Katarzyna Młynarczyk do własnego głosu w poezji doszła od razu. Nie widać, aby eksperymentowała z językiem. Tak, jakby dane jej było natychmiastowe widzenie spraw trudnych i okrytych sekretem, bez konieczności terminowania u kogokolwiek. To decyduje w konsekwencji o wyrazistości tej poezji i jej randze.

Łatwo poezję autorki *Inaczej* zamknąć w szufladzie liryki kobiecej albo feministycznej. Ale takie zamykanie jest – moim zdaniem – bez sensu i bez przyszłości. Katarzyna Młynarczyk czyni bowiem z kobiecości akt egzystencjalny; tę kobiecość postrzega jako dar i przekleństwo; obdarza ją nieufnością i zgodą. Ta poezja pełna jest bezustannych rozterek. Zgoda na kobiecość jest tutaj świadoma, nawet jeśli poetka dostrzeże w niej także ciemne strony.

Ostatecznie przecież kobiecość równa się życiu. Nic bez niej nie ma, choć bywa ona spychana niejednokrotnie do garkuchni i pieluch. Katarzyna Młynarczyk tego nie akceptowała i dobrze, że z tej niezgody uczyniła przedmiot poetyckiego wtajemniczenia.

Ta poezja jest jak pierwszy powiew wiosny. Nie ma w niej lat, utyskiwań na upływający czas, jest natomiast wieczna manifestacja młodości, życia, pożądania. Ostatecznie przecież tylko to się liczy: zapamiętać chwilę, która się nie zmienia. Jak w pieśni *Do Leukonoe* Horacego: „carpe diem quam minimum credula postero”. Ta tylko jest różnica między Horacym a Młynarczyk, że poetka nie zważa na głosy czy podszepty mężczyzn. Ona sama wiedziała to, o co mężczyzna może tylko prosić. W tym tkwiła nie tylko jej mądrość życiowa, lecz także siła poetyckiego talentu.

Śląskie obrazki ślubne – zapomniana tradycja

TADEUSZ LOSTER

Od grudnia ubiegłego roku w pomieszczeniach Muzeum Instytutu Tarnogórskiego w XIX-wiecznej kamienicy przy ul. Ligonii 7 czynna była wystawa etnograficzna pt. „Pod znakiem wianka i woniaczki. Śląskie obrazki ślubne XIX i XX wieku – zapomniana tradycja”. Ekspozycja ze zbiorów własnych Muzeum (a faktycznie zbieranych latami przez pasjonata muzealnika, kustosa dyplomowanego dra hab. Marka Wrońskiego) składała się z 82 eksponatów, które jeszcze sto lat temu stanowiły ludową tradycję na Śląsku.

Niewtajemniczonym wyjaśniam, że były to pamiątki najważniejszego dnia w życiu młodych nowożeńców w formie małych skrzynkowych „kapsliczek”, w których – obok ślubnego zdjęcia, płóciennego serca lub kartki z wydrukowaną informacją o młodej parze oraz dacie ślubu – musiały być umieszczone mirtowe atrybuty nowożeńców: wianek panny młodej i woniaczka jej wybrańca ozdobione koronkami.

Taki myrtowy (jak mawiano na Śląsku) wianek mogła włożyć na głowę tylko panna młoda o nieposzlakowanej opinii. Woniaczka to atrybut pana młodego. Był to bukiet z żywej mirty związany wstążeczką przeważnie białą, przypinany po prawej stronie wierzchniego odzienia. Prawie we wszystkich śląskich obrazkach ślubnych umieszczano wianek, który panna młoda miała na głowie podczas uroczystości: zasuszony ostatecznie w kolorze brązowym lub poma-

lowany zieloną farbą, czasem sztuczny, wykonany z różnych materiałów. Te najstarsze obrazki mają jeszcze małe wianuszki mirtowe. Pocho- dzą one z okresu, kiedy nowożeńcy nie wymieniali się obrączkami. Pod- czas ślubu jedna z druhen wkładała te wianuszki na głowy pary młodej; później, w czasie ceremonii ślubnej, ksiądz naprzemiennie je przekładał.

W obrazkach ślubnych można od- czytać to, co dotychczas pielęgnowa- ne jest na Śląsku – przywiązanie do wiary katolickiej i rodziny. Kolekcję obrazków ślubnych uzupełniał zbiór medalików Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny. Taki meda- lik umieszczony w obrazku ślubnym świadczył, że panna młoda należała do Sodalicji Dzieci Maryi lub Soda- licji Marjańskiej. Na wystawie zna- lazło się też dużo zdjęć przedstawia- jących parę młodą oraz zestaw zdjęć grupowych: młodożeńców z dru- hnami, rodzicami i gośćmi weselnymi.

Różnorodność zdjęć z różnych lat i terenów Śląska Górnego i Cieszyń- skiego dokumentuje zmieniające się w latach ubiory pary młodej jak i we- selników. Na tych najstarszych foto- grafiach dominuje czarny strój, skła- dający się z czarnej wierzchniej jakli, czarnej kiecki, jedwabnego ozdobio- nego kolorowymi kwiatami fartucha a czasami czarnej chusty, narzuconej na ramiona z efektownymi barwny- mi kwiatami. Taki strój panny młodej przetrwał na Śląsku do pierwszej ćwierci XX wieku. Jeszcze przed woj- ną i nawet w latach czterdziestych



panny młode, pochodzące z rodzin chłopskich, występowały w strojach ludowych. Jednak już na początku XX wieku tradycyjne stroje zaczy- na wypierać kolor biały. Obowią- zowym elementem wystroju ślubne- go staje się bukiet kwiatów.

Już w latach trzydziestych XX wie- ku obrazki ślubne zaczęły tracić na po- pularności. Wyparły je portrety ślub- ne, niekiedy dużych rozmiarów, kolo- rowane farbami. Nie przetrwały i one. Obecnie stały się modne serie wesel- nych zdjęć lub filmów. Ślubne obraz- ki popadały w zapomnienie, trafiając na strychy lub do piwnicy, gdzie ule- gały zniszczeniu. Te, które przetrwały, są zazwyczaj przechowywane w zbior- ach muzealnych. Kolekcja Muzeum Instytutu Tarnogórskiego jest prawdo- podobnie największym zbiorem obraz- ków ślubnych na Śląsku.

Ekspozycja Marka Wrońskiego po- zostawiła trwały ślad w barwnym ka- talogu jego autorstwa pod tym samym tytułem co wystawa. Moim zdaniem (jako muzealnika) nie jest to katalog, ale podręcznik, w który powinna za- opatrzyć się każda placówka muze- alna, posiadająca w swoich zbiorach obrazki ślubne. Autor katalogu, zbier- ając przez dziesiątki lat śląskie ar- tefakty, zawarł w swojej książce na 108 stronach w sześciu rozdziałach wiadomości nie tylko o omawia- nych obrazkach ale i zdobytą wiedzę kolekcjonera niespotykaną w żad- nych znanych podręcznikach w Pol- sce. Katalog-podręcznik jest wyda- ny na kredowym papierze, zawiera 90 kolorowych ilustracji, przedsta- wiających zdjęcia, pamiątki i meda- liki związane z uroczystościami we- selnymi, a przede wszystkim – duże ilustracje ze szczegółowymi opisa- mi obrazków ślubnych.

fot. Nina Jarzyńska



Wystawa w stylowych piwnicach Muzeum Instytutu Tarnogórskiego

Wspomnienia ze Śląska (lata 1947–54)

Lektura wywiadu, który z profesorem Janem Miodkiem przeprowadził Piotr Skowronek (numer 6 „Śląska” z 2024 r.), natchnęła mnie myślą, by po opublikowaniu książki pt. „Armeno-Iranica. Wspomnienia orientalisty” (Kraków 2023) napisać bodaj dwie strony „wspomnień ze Śląska”. Bo lata płyną i, być może, wspomnienia krakowskiego emeryta (urodzonego w 1940 r.), który lata 1947–54 spędził na Śląsku, wzbudzą czyjeś zainteresowanie przypomnieniem jakichś starych, zapomnianych już słów i zwrotów.

Na wstępie chciałbym się pochwalić, że byłem wtedy, w roku szkolnym 1952/53, uczniem ojca prof. Jana Miodka, Franciszka, bardzo przez dzieci lubianego nauczyciela Szkoły Podstawowej nr 1 w Tarnowskich Górach. Mieszkałem wtedy z rodzicami w leżącym na zachód od tego miasta Brynku i dojeżdżałem codziennie pociągiem (przez Strzybnicę) do wspomnianej wyżej szkoły. Byłem tam uczniem siódmej klasy, a Janek dopiero rozpoczynał naukę. Tak jak on, w domu mówiłem ogólnopolskim (mniej więcej „literackim”) językiem, bo tak się do mnie zwracali rodzice, Polacy z dawnej Galicji. A z miejscowymi dziećmi rozmawialiśmy po śląsku.

W sobotę 11 maja br. odbyłem sentymentalną podróż do Kamienia Ślą-

skiego koło Opola, gdzie mieszkałem w latach 1947–50, a potem do Brynka. W Kamieniu (w którym pod koniec XII wieku urodził się św. Jacek Odrowąż, pochowany w krakowskim kościele oo. Dominikanów) ze wzruszeniem spotkałem się z Hubertem Kowalczykiem (o rok starszym ode mnie), z którym chodziłem do pierwszych klas szkoły podstawowej.

Pamiętam, że miejscowe dzieci mówiące po śląsku dodawały często na końcu zdania krótkie pytanie: „*ny wa?*” Dopiero po latach rozszyfrowałem te sylaby jako niemieckie wyrazy *nicht wahr?* („nieprawda?”).

A w nawiązaniu do czasownika *suć*, który prof. J. Miodek komentuje na stronie 36 wspomnianego wyżej numeru 6 miesięcznika „Śląsk”, podzielę się z czytelnikami tego pisma wspomnieniem z powojennego Kamienia Śląskiego. Kierownikiem miejscowej szkoły podstawowej, już polskojęzycznej, był lwowski Polak o niemieckim nazwisku Lang. Podczas pewnego zebrania z rodzicami zwrócił się do nich słowami, które mi później zacytowała mama, uczestniczka tego zebrania. Otóż pan Lang lwowskim akcentem (który tu oddaję redukcją niektórych samogłosek) zwrócił się do rodziców swoich uczniów używając śląskiego słowa *suć*. Z patosem powie-

dział tak: „*Sujci im, bo jak wy im nie będziecie *suli*, to oni wam będą *suli*!*” Zachęcał w ten sposób rodziców do bicia dzieci (*suć* po śląsku znaczy „sypać”, tu w sensie: „łać, dawać lanie”). Takie to były czasy!

Inne moje śląskie wspomnienie dotyczy fuzbalowego języka śląskich dzieci. Pamiętam, jak „*bajtł*” (czyli „mali chłopcy”) mówili: „*Nu, chopoki, terazki welujymy* [czyli „wybieramy”, z niemieckiego]. *Herbert bydzie torman, ón sie fest ciepie*”, czyli: „on będzie bramkarzem, (bo) się umie dobrze rzucać (za piłką)”.

Zapytuję młodych czytelników „Śląska”, czy znane jest dzisiaj jeszcze przysłowie, które słyszałem w dzieciństwie ponad 70 lat temu: „*Kieby nie te kieby, mielibymy złote łeby*”. Czyli: „Gdyby nie to *gdyby*, mielibyśmy głowy ze złota”.

A czy *szmatyrloki* („motyle”) jeszcze teraz *furgajóm*, czy już tylko „latają”?

I jeszcze jedno pytanie do wszystkich dzieci śląskich: czy już wszystkie *poradzóm kiołzdać na ślyndziuchach?* Czyli „umieją ślizgać się na łyżwach”?

Na koniec wyrażam nadzieję, że niemieckie *sztrachyle* zostały już zastąpione polskim „zapałkami”.

Z serdecznymi pozdrowieniami,
prof. Andrzej Pisowicz, orientalista

Tarnowskie Góry. Fot. Gerard Wilk



„Horyzonty” i jubileusz Grzegorza Pajdzika

WIESŁAWA KONOPELSKA

Druga edycja przeglądu „Horyzonty. Międzypokoleniowe spotkania baletowe” odbyła się w dniach 25-28 kwietnia br. z okazji Międzynarodowego Dnia Tańca. Jest to projekt Opery Śląskiej organizowany przy współpracy z Narodowym Centrum Muzyki i Tańca. To jedno z najciekawszych i największych wydarzeń baletowych na Śląsku. Ideą „Horyzontów” jest stworzenie przestrzeni dla młodych artystów – wykonawców i choreogra-

fów, którzy w formie konkursowej prezentują swoje umiejętności. Przegląd daje możliwość wyłonienia największych talentów początkujących tancerzy. Jest to również ciekawa alternatywa dla solistów u progu kariery, szukających innych ścieżek zawodowego rozwoju. Ponadto „Horyzonty” są szansą dla młodych choreografów, którzy dotąd nie mieli możliwości pokazania własnych wizji baletowych szerszej publiczności. W ten sposób

organizatorzy „Horyzontów” promują młode talenty, a podczas gali wieńczącej przegląd stwarza możliwość konfrontacji z doświadczonymi, zawodowymi tancerzami.

W „Horyzontach” uczestniczą tancerze i choreografowie z całej Polski. Jest więc spora konkurencja, ale też możliwość poznania innych technik tanecznych. Co więcej, wszyscy prezentują swoje produkcje do muzyki polskich kompozytorów.

Podczas gali prócz laureatów „Horyzontów”, którzy prezentowali nagrodzone miniatury taneczne, uroczyście obchodzono również jubileusz 35-lecia pracy artystycznej mistrza Grzegorza Pajdzika – cenionego tancerza, pedagoga tańca klasycznego, solisty i kierownika Zespołu Baletu Opery Śląskiej.

Grzegorz Pajdzik jest absolwentem Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej im. Ludomira Różyckiego w Bytomiu oraz Wyższej Szkoły Umiejętności im. St. Staszica w Kielcach na kierunku taniec. Po ukończeniu szkoły rozpoczął pracę w Operze Śląskiej jako koryfej, a po dwóch latach awansował na solistę baletu. Tańczył pierwszoplanowe role w takich przedstawieniach baletowych jak, m.in. *Coppelia*, *Dziadek do orzechów*, *Pan Twardowski*, *Czar Straussa*, *Don Kichot*, *Bolero*, *Balety Tatrzańskie*, *Ad Montes*, *Carmen*. Współpracował także z Teatrem Wielkim w Poznaniu, Teatrem Rozrywki w Chorzowie, Teatrem Muzycznym w Gliwicach. Jego umiejętności podziwiała również publiczność w Niemczech, Belgii, Szwajcarii, Hiszpanii, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie.

Od 2012 roku związany jest jako pedagog z pracą bytomskiej szkoły baletowej, której jest absolwentem.

Za kreację *Diabła w Panu Twardowskim* otrzymał Złotą Maskę.

W 2017 roku został kierownikiem Zespołu Baletu Opery Śląskiej.

fot. Krzysztof Bielński







Orfeusz w piekle, Opera na Zamku w Szczecinie, kankan



Orfeusz w piekle, Opera na Zamku w Szczecinie, piekło

Parandowski, Orfeusz i piekielny kankan w Szczecinie

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

W tym roku obchodzimy 100-lecie pierwszego wydania *Mitologii* Jana Parandowskiego. Z tej okazji do 26 maja była czynna wystawa w Muzeum Literatury w Warszawie. Narracja skupiała się na wybranych bogach olimpijskich, wojnie trojańskiej i hero-sach. Zgromadzono m.in. książki Parandowskiego, miedzioryty, staloryty, litografie i obrazy. Zostały też zaprezentowane ciekawe rzeźby Igora Mitoraja i marmurowa głowa Apolla autorstwa Antoniego Canovy.

Na Wydziale „Artes Liberales” Uniwersytetu Warszawskiego prof. Katarzyna Marciniak zorganizowała w maju sympozjum „My z niej wszyscy. 100 lat *Mitologii* Parandowskiego”. Rozstrzygnięliśmy ogólnopolski konkurs na esej inspirowany *Mitologią* Parandowskiego. Byłem przewodniczącym jury, w którym zasiadali profesorowie: Jan Kieniewicz, Katarzyna Marciniak, Przemysław Kordos, Maria Poprzeczka. Pierwszą nagrodę otrzymał Szymon Nikonowicz. Autor pisze: „Jesteśmy w Polsce świadkami kryzysu nauczania o antyku. [...] klasyczna odnoga [polskiej edukacji] zdaje się obecnie najbardziej zaniedbana, choć to właśnie ona przez wieki, również na naszych ziemiach, stanowiła trzon wykształcenia, szczególnie humanistycznego”. Gościem specjalnym sympozjum była wnuczka pisarza, Joanna Szczepkowska. W liceum zrezygnowała z łaciny. „Mój dziadek, który był oszczędny w słowach i często milczał, zaprosił mnie do gabinetu. Mówił o tym, że łacina jest potrzebna nie tylko po to, aby łatwiej zrozumieć zasady języków obcych, ale jest w ogóle potrzebna do pewnego porządku myślenia. A porządek to spokój. Wróciłam do łaciny”. Obecnie razem z naukowcami z 6 kontynentów współtworzę projekt *The Modern Argonauts* o recepcji mitów na świecie. Zajmuję się mitami o Orfeuszu, Kallisto i Arkadii. Ten międzynarodowy program edukacyjny jest kierowany przez prof. Katarzynę Marciniak w ramach grantu Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych.

W I LO im. Powstańców Śląskich w Rybniku miałem świetną nauczy-

cielkę łaciny – pasjonatkę, która wprowadziła nas w świat kultury śródziemnomorskiej. Jedną z moich ulubionych postaci mitologicznych stał się Orfeusz. Grał na lirze i śpiewał pieśni tak pięknie, że skały i drzewa się poruszały, a dziekie zwierzęta stawały się łagodne. Był synem muzy poezji epickiej Kalliope i Ojagrosa, boga rzeki o tej samej nazwie w Tracji (dzisiejszej Bułgarii). Podobno sam Apollo dał mu lirę, a Muzy były jego nauczycielkami gry i śpiewu. Kiedy wypłynął na morską wyprawę z Argonautami, potrafił własną muzyką uspokajać fale podczas burzy. Ożenił się z Eurydyką, która została śmiertelnie ukąszona przez żmiję. Orfeusz poszedł po nią do Hadesu. Podczas wychodzenia z Królestwa Umarłych nie wolno mu było spojrzeć na Eurydykę. Jednak odwrócił się i stracił ją na zawsze. Orfeusz jest bohaterem pierwszych oper, stworzonych przez włoskich kompozytorów okresu baroku: Cacciniego i Periego (opery *Eurydyka*) oraz Monteverdiego (*Orfeo*). Popularna stała się też opera niemieckiego kompozytora okresu klasycyzmu Christoph Willibalda Glucka *Orfeo ed Euridice*. Gdy zrozpaczony bohater chce zabić się nożem, Amor ożywia Eurydykę i utwór kończy się szczęśliwie.

Mistrz francuskiej opery komicznej Jacques Offenbach wprowadził do swoich utworów satyrę społeczno-obyczajowo-polityczną. Jego *Orfeusz w piekle* został wystawiony po raz pierwszy w Paryżu w 1858 roku. Eurydyka nie kocha męża, grającego na skrzypcach (!) i uczącego w szkole muzyki. Chętnie by się z nim rozwiodła i związała z pasterzem Arysteusem, którym okazuje się sam bóg Pluton, porywający ją do Hadesu. Wielki finał jest diabelskim galopem, podczas którego panie tańczą najsłynniejszego francuskiego kankana. Do dziś wykonywany jest codziennie podczas rewwi *Féerie* w paryskim Moulin Rouge.

W Gliwickim Teatrze Muzycznym grany był *Orfeusz w piekle* w reżyserii Marcela Kochańczyka. W obsadzie pojawiły się gwiazdy: Grażyna Brodzińska, Stanisław Ptak, Adam Zdunikowski, Andrzej Kostrzewski. W niebie pano-

wie mieli ręczniki na biodrach, a panie – zakrywające brzuch, a odsłaniające nogi i ręce. Scena była przesiąknięta erotyzmem. W piekle były czerwono-czarne kostiumy, zaprojektowane świetnie przez Barbarę Ptak.

Natomiast niedawno *Orfeusza w piekle* wyreżyserował w Operze na Zamku w Szczecinie Jerzy Jan Połowski. Zrobił parodię telewizyjnych seriali parodokumentalnych. Ważnym elementem gry z widzami są „zwierzenia” do kamery. Na ekranie w tle widzimy transmisję „serialu”. Niektóre postacie są stylizowane trochę na polskie gwiazdy i celebrytów: Junona przypomina fryzurą i gestykulacją Magdę Gessler, Diana – Edytę Górniak, Hebe – Dodę, Minerwa – Marylę Rodowicz, Merkury – Kubę Wojewódzkiego, a Pluton – w swoim niesamowitym stroju i z pierścieniami na palcach oraz pomalowanymi paznokciami – przypomina Michała Szpaka. Nie są to jednak żadne klisze, tylko wolne skojarzenia poprzez kostiumy, fryzury i rekwizyty. Natomiast w Hadesie pojawiają się postacie wyciągnięte jakby z horrorów klasy C. Nie przekonał mnie choreograficznie kankan – galop infernalny. Został wymyślony w formie dziwacznych wygibasów postaci przypominających złagodniałe zombie. Dobór obsady pierwszej premiery był staranny i udany. Należy zwłaszcza pochwalić: Łukasza Ratajczaka, Ewę Olszewską, Rafała Żurka, Tomasza Łuczaka, Małgorzatę Zgorzelską i Aleksandra Kruczkę (który wciela się też w drugiej obsadzie w Plutona).

Mit o Orfeuszu i jego imię funkcjonują w kulturze wielu krajów. W Niemczech działa wytwórnia płytowa Orfeo, w Korei – portal internetowy Orfeo.tv, w Polsce – wortal muzyczny orfeo.com.pl, prowadzony przez Fundację ORFEO im. Bogusława Kaczyńskiego. *Orfeusza* Monteverdiego można w tym roku zobaczyć w: Belgii, USA, Francji, Hiszpanii, Niemczech, Szwajcarii, Francji, Austrii i we Włoszech. Natomiast *Orfeusz w piekle* Offenbacha, poza Szczecinem i Krakowem, jest grany w Niemczech, USA, Argentynie i na Litwie.



JAN MIODEK

„Ino Wilimowski!”

Gerard Cieślik (1927–2013), idol mojego dzieciństwa, jeden z najpopularniejszych sportowców powojennych lat, uznany za najlepszego polskiego piłkarza 50-lecia 1921–1971, pytany, kto powinien być patronem legendarne stadionu Ruchu przy ulicy Cichej w Chorzowie, niezmiennie odpowiadał: „Ino Wilimowski!”, przywołując postać nawiąbitniejszego napastnika „Niebieskich” i reprezentacji lat trzydziestych XX wieku.

A to obecne w wypowiedzi Cieślika *ino* – „tylko”, ale nieobecne już we współczesnych słownikach języka polskiego, należy także do najczęściej używanych przeze mnie w tekstach nieoficjalnych śląskich słów.

Wpłatom je do tego typu konstrukcji, które rejestruje chociażby „Mały słownik gwary Górnej Śląska” z roku 2000 Bożeny Częstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec: „Żebyś mi ino nity zapomniał tego załatwić!”, „Ino mi tu zarozki przidź!”, za morfologiczne warianty tegoż *ino* uznając formy *yno*, *jyno*, *jeno*.

Spośród tekstów literackich z *ino* „tylko” najbardziej znany jest fragment z „Wesela” – dramatu Stanisława Wyspiańskiego z roku 1901: „Miałeś, chamie, złoty róg, miałeś, chamie, czapkę z piór: czapkę wicher niesie, róg huk po lesie, ostał ci się ino sznur, ostał ci się ino sznur”.

Tak jak *ino* nieobecne we współczesnych słownikach *jeno* jest w ogóle już przeze mnie nieużywane i dlatego odbierane jako głęboki archaizm. Dlatego kiedy przed laty zobaczyłem, że autor pewnej bardzo zna-

nej książki bez przerwy posługuje się wyłącznie tym słowem w swym napisanym współczesnym językiem tekście, pomijając warianty *tylko*, *wyłącznie*, *jedynie*, przerwałem lekturę – zirytowany i znużony tą stylistyczną manierą

Nie jest natomiast żadnym zaskoczeniem obecność *jeno* w dawnych tekstach, np.: „Nie mając synów, jeno dziewczki” (Biblia królowej Zofii z r. 1455), „Żal mi jeno tej łąki, gdzie fijołki i dzwonki” (Teofil Lenartowicz 1822–1893), „Patrz jeno!”, „Spróbój jeno!”, „By jeno to prawda była” („Słownik języka polskiego” wydany staraniem i kosztem Maurycego Orgelbranda, Wilno 1861).

W znaczeniu „tylko” posługiwało się również wariantem *jedno*: „Nie mam chlebów pospolitych, jedno poświętnie” (Biblia królowej Zofii z r. 1455), „Jedno ruszysz, tedy pewno umrzeć musisz” („Rozmowa mistrza Polikarpa ze śmiercią” z XV w.), „Co jedno miał mocy” (Piotr Kochanowski 1566–1620), „Jedno ty chciej skłonić serce swoje” (Szymon Szymonowicz 1558–1629).

Ów wariant *jedno* jest pierwotny. Z niego wywiedziono postać *jeno*, od niej zaś pochodzą brzmienia *jino* oraz *ino*,

Ewolucja znaczeniowa formy *jedno* jest także oczywista: tożsama semantycznie z liczebnikiem *jeden*, od znaczenia „pojedynczości” – przez wzmocnioną ekspresyjnie parafrazę „tylko jedno” – zaczęła funkcjonować jako synonim słów *tylko*, *wyłącznie*, *jedynie*.

Dopowiedzmy, że na Śląsku bardzo często używane są też zwroty typu *mnie jest (je) jedno* – „mnie

jest wszystko jedno”, *to jest (je) jedno* – „to wszystko jedno”.

Jedna natomiast to w naszym regionie „pierwsza godzina” („Idymy o jedenj”, „Wiele jest godzin? – Już je jedna”) oraz „pewna, jakaś” („Jedna baba nóm godała, iż u wos sie ściele weselisko!”) – cyt. za Bożeną Częstką-Szymon, Jerzy Ludwig, Helena Synowiec: „Mały słownik gwary Górnej Śląska”, Katowice 2000, s. 92.

Wracając zaś do Ernesta („Eziego”) Wilimowskiego przywołanego na początku niniejszego artykułu, wspomnijmy i to, że w roku 2016 ukazała się u nas powieść bośniackiego prozaika, poety i publicysty pochodzenia chorwackiego Milenka Jergovicia pod tytułem „Wilimowski” (w chorwackim oryginale „Być jak Wilimowski”) – z moim, kibica Ruchu, słowem na okładce. „Wilimowski”, bo bohaterzy tej książki, ojciec z synem, w pewnym momencie toku fabularnego powieści – 5 czerwca 1938 roku – słuchają radiowej transmisji meczu piłkarskiego mistrzostw świata Brazylija-Polska. Po dogrywce przegraliśmy 5:6, a Wilimowski strzelił w tym meczu 4 bramki (3 gole dla Brazylijczyków zdobył legendarny Leonidas)...

Tak jak Wilimowski został uhonorowany literacko środkowy napastnik złotej jedenastki węgierskiej z lat 50. ubiegłego wieku Nandor Hidegkuti. Oto wywiad rzeka ze znakomitym czeskim pisarzem Bohumilem Hrabalem z roku 2011 nosi polski tytuł „Drybling Hidegkutiiego, czyli rozmowy z Hrabalem” (autor: Laszlo Sziget, tytuł oryginału: „Klicky na kapesniku”).

Kanonenfutter

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Górnoślązacy przymusowo wcieleni do armii III Rzeszy to dramat. Aby ten problem przybliżyć i zrozumieć, trzeba się oczywiście odwołać do konkretnego fragmentu dorobku profesora Ryszarda Kaczmarka. To „oczywista oczywistość”. Ale jednak przywołuję – mam nadzieję, że nie odkrywam, a tylko przypominam – dwie prace tego uczonego. To *Górny Śląsk podczas II wojny światowej. Między utopią „niemieckiej wspólnoty narodowej” a rzeczywistością okupacji na terenach wcielonych do Trzeciej Rzeszy*, wydaną w Katowicach w 2006 roku, a także kompetentna i obszerna praca *Polacy w Wehrmachcie*, która została wydana w 2010 roku w Krakowie. Niemniej poza scjentystyczną prezentacją problemu warto w tym miejscu odwołać się również do wielotomowej, szczególniej prezentacji autorstwa Alojzego Lyski. Tej zawartej w 10. tomach *Duchów wojny*. To prezentacja wyjątkowa, subiektywna, pełna empatii i humanizmu, wyrastająca z regionalnego systemu wartości, z tradycji. Oparta została na wspomnieniach, badaniach empirycznych, nieomal antropologicznych autora, ale i na dokumentach, a wreszcie na wyobraźni twórcy. Prezentacja wojennych losów Górnoślązaków wcielonych do Wehrmachtu. Prawie 250 tysięcy mężczyzn.

Dorobek obu przywołanych autorów pozostaje w swoistym układzie komplementarnym, stanowi wyzwanie dla nas współczesnych, zwłaszcza mieszkańców innych regionów Polski, naszej wspólnej Ojczyzny. Kraju składającego się z różnych regionów. A w tym wyraża się przecież bogactwo. Ale w przypadku naszej ziemi, poza owymi stereotypami, dominuje obraz krajiny jako swoistej *terra incognita*. A to łatwo wywołuje manipulacje. Poznajmy zatem ten problem, czyli pokolenia „śląskich Kolumbów”, zwłaszcza dziś, gdy coraz bardziej jesteśmy podzieleni.

Do tego dochodzą jeszcze realia globalizmu. Pamiętajmy o zaleceniu Zygmunta Baumana, że także w tych realiach „wszyscy zależemy od siebie nawzajem”. Tutaj odwołam się do moich spotkań ze Stanisławem Bieniaszem, czyli od roku 1988 do jego odejścia w roku 2001. Był autorem wielu znakomitych powieści, w tym *Niedaleko*

Königsallee z 1997 roku i chyba jeszcze niezapomnianej adaptacji telewizyjnej w reżyserii Kazimierza Kutza *Stary portfel*. Wiedział, że zajmuje się tożsamością Górnego Śląska. I zapytał, czy prowadzę badania wśród byłych żołnierzy Wehrmachtu. Powiedziałem, że okazjonalnie. W latach 80. to były rozmowy oparte na wspomnieniach Górnoślązaków. Wtedy powiedział chyba tak: „To na co czekasz? Aż poumierają?”. Dodał też, bym przy okazji przeglądał pamiątki z tego okresu – listy, rodzinne dokumenty, fotografie etc. Pierwszych rozmówców wskazał mi właśnie Stanisław. Oczywiście z Zabrza, ale i z Bytomia. A potem szukałem rozmówców w rodzinnych Katowicach, Piekarach Śląskich, Rudzie Śląskiej.



Sięgam do notatek. Już w czasie pierwszego spotkania usłyszałem od rozmówcy, konkretnie pana Edwina (rocznik 1922): „Jak bydom chcieli z wami godać to bydzie dobrze. Czy bydom chcieli? O nos się teraz nie godo. Na szczyńście (...) Nie godajom, to nowej boleści nom nie zrobiom”. A podczas innego spotkania mój rozmówca powiedział: „Zostowcie ta sprawa. Po co wom to. Bo każdy Polok to yno wielki bohater od urodzynio. A my? Wicie, my tu yno zdrajcy i do tego gupieloki, same robole (...)”. My zawsze byli dlo jednych yno dobry kanonenfutter, a do drugich zdrajcy”.

Ze Stanisławem mieliśmy pewne plany, co do tych badań. Przerwałem ich prowadzenie. Bieniasz zmarł. A kiedy do nich wróciłem, to pokolenie gwałtownie już odchodziło. Z tych rozmów mamy szczególnie obraz, zarówno dramatu wojny, ale i w miarę spokojnej ko-

szarowej codzienności. Niekiedy oddaje zachowania młodych ludzi, poznawanie dziwnych miejsc, często ciekawych. Ale były też wspomnienia o modlitwach. Także relacje z Kijowa, Doniecka, Charkowa i Bukaresztu, czy nawet Tirany. Również z Wiednia, Aten, miast Belgii i Francji. To opowieści o listach pisanym do domu rodzinnego, do rodziców lub do wybranki. Wreszcie wspomnienia z urlopów, tych „z wojny do mamulki”. Wspomnienia wspólnych zdjęć, przy stole lub na tle parafialnego kościoła. Albo przy kapliczce, przy której rodzina „nieroz rzykała”. Te fotografie są przechowywane nieomal jak „świante pamiontki”. Kilkadziesiąt ich dostałem w prezencie. I to był niezwykle dar, jaki badacz może otrzymać w czasie badań empirycznych.

Z czasem zrozumiałem, że wciąż żyją dzieci owych synków z Wehrmachtu. To oczywiście nie tylko pokolenie Alojzego Lyski, ale i młodzi, urodzeni po II wojnie światowej, nawet w latach 50. XX wieku. Oni również byli stygmatyzowani, i przeżywali swoją dziecięcą traumę. Sam byłem w pewnej szkole świadkiem niezwyklej agresji. Nauczyciel zapytał mojego kolegę czy jego ojciec był w AK. Zaskoczony, a może przerażony, milczał.

A nauczyciel dodał, żeby się przyznał, że ojciec był w Afryka Korps. Nadgorliwy nauczyciel nie sprawdził, że ojciec piętnowanego dziecka pełnił funkcję I sekretarza Komitetu Zakładowego PZPR w jednym z dużych śląskich zakładów przemysłowych. Te badania wśród dzieci i wnuków nadal prowadzę. Prawdziwie warto. Oni już są odporni na hałas o „dziadku z Wehrmachtu”. Spokojnie też reagują na złośliwą dyskusję o śląskim języku regionalnym. Wiele młodych ludzi stwierdza, że *Duchy wojny* zmuszają do głębszego namysłu. A jeden z nich cytuję zdanie z ostatnich chwil życia ojca Lyski. Otoczony przez ruskich żołdatów, prosi Matkę Boską o przeżycie. I mówi: „Wto takim grzesznikom, jak my wojoki, co tu każdy dziyń zabijajom bliźnich, bydzie chciała pomagać. My te zadawanie śmierci musimy odpokutować”.

Takie myślenie również notowałem w czasie swoich badań.

Kłopot z Kołakowskim

KRZYSZTOF ŁĘCKI

I Najbardziej bodaj znany zbiór esejów Leszka Kołakowskiego nosi tytuł *Czy diabeł może być zbawiony i 27 innych kazań* i podzielony jest na kilka części. Pisał w nich Kołakowski o „kłopotach z kulturą”, „kłopotach z chrześcijaństwem”, „kłopotach z socjalizmem”, „kłopotach z Polską”. Po latach okazuje się, że mamy (?) „kłopot z Kołakowskim”. Kłopot? No, przynajmniej niektórzy na pewno taki „kłopot” mają.

II I tak Michał Paweł Markowski wykorzystał napisaną przez Zbigniewa Mentzela obszerną biografię Leszka Kołakowskiego *Czytanie świata. Biografia* (Znak, Kraków 2020) do napisania krytycznego artykułu o autorze *Głównych nurtów marksizmu*. Zatyłował go *Biedny chrześcijanin patrzy na strajk kobiet*. Nawiązał tym samym w oczywisty sposób do wiersza Czesława Miłosza *Biedny chrześcijanin patrzy na getto* i głośnego w swoim czasie szkicu Jana Błońskiego *Biedni Polacy patrzą na getto*. Teza artykułu Markowskiego – pisze Mentzel w książeczce *Jaka powieść o Polsce jest nam dzisiaj potrzebna* (Kraków 2024, s. 102) – „z gruntu fałszywa, niemożliwa do przyjęcia – jest taka oto: pisarstwo filozoficzne Kołakowskiego prowadzi prostą drogą do znieczulicy społecznej, wręcz ją usprawiedliwia”. Mentzel broniąc dorobku Kołakowskiego polemizuje nie tylko z Markowskim, ale także z przywoływanym przez tego ostatniego, Maciejem Gdulą. Gdula – przekazuje Mentzel – „jak na lewackiego doktrynera przystało, wypowiadając się o Kołakowskim, dał wprost niebawymy popis ignorancji i złej woli”. Dobra, pominiemy epitety Mentzela – zapytajmy raczej, na co się przyda Kołakowski, kiedy znów zewsząd słychać bardzo stary przebój *To idzie młodość, młodość, młodość...*

III No właśnie, jak to jest naprawdę z tym Kołakowskim? Przede wszystkim przypomnieć może trzeba, że tak jak jest powszechna zgoda na podział pism Karola Marksa – na te autorstwa „młodego” Marksa (*Rękopisy filozoficzno-ekonomiczne*) i te, „późniejsze”, „starego Marksa” – tak na pewno mówić można o pismach bardzo młodego Kołakowskiego (*Szkice o filozofii katolickiej*), ciągle jeszcze młodego Kołakowskiego (*Pochwała niekonsekwencji i inne szkice*) oraz dojrzałego Ko-

łakowskiego (*Religion, Horror metaphysicus*). Otóż można chyba domniemywać, że dla wielu może paradoksalnie, bardzo wczesne pisma Kołakowskiego zadowolilyby dzisiaj swoim intelektualnym poziomem i Markowskiego, i Gdulę. Wreszcie – dobrze wpisują się w antyklerykalne idiosynkrazje tak znanych i cenionych dzisiaj w świecie autorów jak Noah Harrari, Mark Lilla, Richard Dawkins czy Gianni Vattimo i wielu innych. Wszak w pisanych na początku lat pięćdziesiątych *Szkicach o filozofii katolickiej* – zebranych później w książce nigdy później nie wznowianej – pisał Kołakowski o „odpowiedzialności Kościoła katolickiego za obozy śmierci” (s. 57). Niemniej z czasem Kołakowski zmieniał swoje poglądy. Ich zwrot zmierzający ku radykalnej zmianie datuje się pewnie od napisanego jeszcze w latach sześćdziesiątych w Polsce, wydanego później w amerykańskiej „Kulturze” dziełka *Obecność mitu*. I przynajmniej, w przypadku już tego szkicu i – zwłaszcza – kolejnych prac Kołakowskiego obronić go przed Gdulą i Markowskim byłoby raczej trudno.

IV Ot, na emigracji profesor Kołakowski pisał w głośnym eseju *Odwet sacrum na kulturze świeckiej*: „Mamy często wrażenie, jakby wszystkie znaki i wszystkie słowa, które budowały naszą podstawową siatkę pojęciową (...) waliły się na naszych oczach; jakby wszystkie bariery między opozycyjnie uzupełniającymi się pojęciami zacierzały się z dnia na dzień. Nie ma już jasnego odróżnienia, w życiu politycznym, między wojną a pokojem, między suwerennością i niewolą; ani bezspornej granicy między katem a ofiarą, między kobietą a mężczyzną, między pokoleniami, między zbrodnią a bohaterstwem, między prawem a gwałtem, między zwycięstwem a porażką, między lewicą a prawicą, między rozumem a obłędem (...) między sztuką a błazeństwem, między wiedzą a ignorancją”. Dalej pisze Kołakowski – w tekście z roku 1973 – o rozpaczliwych usiłowaniach, by „zatrzeć różnicę między kobietą i mężczyzną, co tzw. ruch wyzwolenia kobiet, jak mody młodzieżowe co krok objawiają”. Tak pisał profesor Kołakowski przed ponad czterdziestu laty. I dodaje filozof jeszcze i to: „Kiedy sens sakralny ulatuje z kultury, ulatuje też jakikolwiek inny sens. Razem z zanikiem sacrum, które narzucało granice dosko-

nalenia profanum, upowszechnić się musi jedno z najniebezpieczniejszych złudzeń naszej cywilizacji: złudzenie, iż przekształcenia ludzkiego życia nie znają barier, że społeczeństwo jest w zasadzie doskonale plastyczne i że plastyczność tę i tę zdolność do doskonalenia kwestionować to przeczyć całkowitej autonomii człowieka, a więc samego człowieka zanegować”. Otóż, jak przekonuje Kołakowski, „rugowanie sacrum z życia społeczeństwa, prowadzi do zgody na gołą przemoc, despotyzm i zniszczenie kultury”. Cóż, trudno uwierzyć, by Markowskiemu czy Gdule takie diagnozy przypadły do gustu.

V Podobnie rzecz się ma ze szkicem Kołakowskiego *Szukanie barbarzyńcy. Złudzenia uniwersalizmu kulturowego*. Ograniczę się do przytoczenia jednej szczególnie prowokacyjnie brzmiącej dzisiaj uwagi. Kiedy filozof zwiadał zabytki przedkolumbijskie, zapytał podkreślającego barbarzyństwo hiszpańskich żołdaków przewodnika: „Sądziś, że to byli barbarzyńcy – ale może to byli prawdziwi Europejczycy, może nawet ostatni prawdziwi; ci ludzie brali na serio swoją chrześcijańską i lacińską cywilizację i z tej właśnie racji nie mieli żadnych powodów, by ochraniać przed zniszczeniem pogańskie bożki czy też odnosić się z estetycznym dystansem albo z ciekawością muzeologów do obiektów, które nosiły inny, a więc wrogi sens religijny. Jeśli ich zachowanie wydaje się nam oburzające, to może dlatego, że nam samym zarówno ich cywilizacja, jak nasza własna stały się obojętne?”. Na marginesie – to nieprawda, iż żaden ze znanych modnych dzisiaj intelektualistów nie jest zainteresowany odpowiedzią na postawione przez Kołakowskiego pytanie. Wszak francuski pisarz Mathieu Slama wyraził nie tak dawno przekonanie, że „tożsamość Europy to właśnie brak tożsamości i brak kultury”.

VI Zatem – jak dla mnie – Markowski i Gdula wygrali w starciu z biografem filozofa. Bo też jeśli już współcześni „modni panowie” i „panie modne” mieliby z pisarstwa Kołakowskiego skorzystać, to musieliby sięgnąć do jego tekstów z początków lat 50. XX wieku. Nie byłoby zresztą w tym nic dziwnego – znane jest wszak w modzie zjawisko retro.

Hybrydy (11)

TOMASZ BOCHEŃSKI

O matko, jak tu w czerwcu uprawiać jogging! O świcie, później jest za gorąco, wybiega się w sny, w ciężkie sny wiejskie. Z żółtej ścieżki, z małego zagajnika wylatuje się w mgłę i dym, a w środku tego siniego obłoku grzechoczą sny. Najpierw gęste krowie rojenia, kłopoty psów czymkolwiek karmionych, gdakania kończące się trzaskiem czy szuraniem, miauczenia przecięte przez poranny chłód, a w końcu wbiega się w najcięższe, w puste sny starych wiejskich kobiet. Przyspiesza się w tej chmurze konkretnej muzyki, chce się uciec spod jej panowania, a kiedy dociera się do lasu, jakby zatrzaśniało się drzwi szpitala, wtedy jeszcze uderza z tyłu jakiś zabłąkany męski sen, aż się przysiąda. Wracam, jadę do sklepu, spotykam Ryszarda, muszę się poskarżyć, krótko, bez wdawania się w sny – *ciężko się biega o świcie*. Radzi mi, biegaj w słuchawkach. Chciałem powiedzieć, dziękuję, nie chcę zagłuszać poranka, ale nie zdążyłem. *Wiedziałeś, że będą wycinać?* Pokazuje skrawek, kilkaset sosen osłaniających ośrodek zdrowia. *Tutaj, z dala od lasu, mają zaplanowane*.

Sen spada z ojca na syna, taką karę wymyślam. Ojciec drwał zasypia głęboko i puisto, chrapie jak rębak na gąsienicach, syna nawiedzać będą krwawiące drzewa i konary wrastające w plecy, będzie chciał wsunąć się pod grubą koldrę z liści, ale zawsze wylezie na wierzch. Albo inne dziedzictwo – ojciec dyrektor biblioteki, dla przyjemności czyta tylko o polityce. A syn co będzie śnić, co powinno mu wejść w sen? Kartkują mu szybko jelita, przeglądają płuca, robią dwie notatki, zapominają nazwiska. Jak on się nazywa – słyszy pytania we śnie, otwiera usta, zapomni. Bez skutku próbuje się odszukać na bibliotecznej półce. Budzi się z zakłódką języka wyrzuconą na grzbiet. I jeszcze syn wojskowego, zapyta go o koszmary. Śpi dobrze? Dlaczego? Powinien z kocem na głowie budzić się na placu apelowym. Wartownik może mieć karabin z drewna. A twojemu synowi, rzucam w swoją stronę, niech się co noc śni artykuł przepisany od innych.

Nie mogę zasnąć, jadę na spacer. Od razu widzę, że zaznaczyli, na czerwono i żółto. Drzewa noszą opaski oznaczające wiadomo co. Teraz w nocy świecą, cięć i wywózkę można zrobić nawet po zmroku. Opuszczam wzrok, patrzę pod nogi. Wszędzie w lesie białoszare spodnie od piżamy. Ciągną się nogawki pod drzewami, zbyt długie, uszyte na stuletnie drzewa, a tu rosną o połowę młodsze. Jedyna taka noc, pełnia księżyca, sosny noszą ubrania po starszym rodzeństwie. Spaceruję się po tych nogawkach jak po snach, które lekko przylegają do ziemi.

◆
Byli w ms kwadrat, tak mówi się o muzeum sztuki w Manufakturze, na oprowadzaniu kuratorskim. W największej sali odtworzono instalację Dróždza sprzed dwudziestu lat, i to było dość fajne, te tysiące kości do gry umieszczone na ścianach. Ale okazało się, że w muzeum pracują złodzieje. Nie, Julka żartuje. Tak twierdził jakiś człowiek. Przed ms2 zrobiło się zbiegowisko i to było ciekawsze niż ta wystawa. Chciałabym dowiedzieć się od Was czegoś raczej o instalacji, mówi dr Magda. To wiąże się ze sobą. Ten człowiek krzyczał, że ukradli mu dwa obrazy, a teraz, żeby zrobić nową wystawę, gdzieś je schowali albo wywieźli. Muzeum ukradło mu obrazy? Tak, ukradli, powiedział i pokazywali w muzeum tylko w określonych godzinach i za pieniądze, jego ukochane obrazy. Jeden Jaremiński, drugi Signaca. Krzyczał, że przestępcy zamykają je w więzieniu na noc. Dlaczego nie mogę się na nie gapić, kiedy chcę? Dlaczego pokazują je w tym ohydny otoczeniu setek bohomazów i złomu? A potem nas pytał, czy mamy w ms2 ulubione dzieła? Szliśmy tam pierwszy raz, skąd mielibyśmy wiedzieć. Zrozumięcie mnie, jak coś naprawdę pokochacie. Nawet zamknęli muzealną kawiarnię. Teraz wieszają tylko sztukę hotelową i dworcową, to może wisieć gdziekolwiek. Ale sztuka domowa, mój Signac, i się rozplakał. Ktoś zadzwonił po pogotowie. Może muzea powinny wypożyczać obrazy, zastanawia się Julka. Może ten pan i my także moglibyśmy wybierać obrazy na wystawę? Jak to sobie wyobrazasz, denerwuje się dr Magda. Poza tym jest przecież noc muzeów.

Przysłuchiwałem się tej rozmowie. Zamknęli kawiarnię? Tam umówiłem się z Gawroszem i usłyszałem dwadzieścia dwa rodzaje śmiechu, z ponad osiemdziesięciu. Opowiadałem, jak podlewali trawkę w zagłębieniu krzesła, taką instalację, i zrobiła się plama na parkiecie, więc wycieli trawkę z zielonego papieru i wsadzili w krzesło, wtedy wściekł się autor. Od śmiechu Gawrosza drżały antyramy, w szatni numerki bujały się na wieszakach. I jeszcze wystawiliśmy torbę z instalacji Kantora i nikt jej wstawił na miejsce przez rok, i domalowali śmy kwadraciki, nie mogłem przestać żartować. A teraz nie ma kawiarni, zasmuciłem się i mnie olśniło. Gawrosz musi go znać, zawsze przyciągała ludzi na krawędzi. Zadzwoniłem, tysiące innych znała, tego od Signaca jednak nie. Ale wpadła na znakomity pomysł, grała przecież na pogrzebach i w kościołach. Obraz wędrujący po domach! I znów Gawrosz wybuchnęła śmiechem, chyba spoza katalogu. Signac albo Jaremiński goszczeni w domu, nie dłużej niż dwadzieścia cztery godziny. Wieczorem przekazanie następnej rodzinie. Trzeba by wrócić do dawnych, zapomnianych obrządków.

Mój przyjaciel Tomek interesował się po nagłej śmierci, co jego dzieci robią z biblioteką i obrazami. Zostawił dziesięć tysięcy tomów, ciężki spadek dla trojga. Sprzedawali, co dało się sprzedać, a poniżej dychy oddawali na makulaturę. Kupowałem najcenniejsze, żeby się nie smucił, czego się nie robi dla przyjaźni. Książki, które dzieciakom czytał do snu, rozpadły się i nie miały wartości. Nie powinien się tak przejmować, sam zdążył przeczytać tylko jedną czwartą, chociaż w naszych rozmowach zmarłych, upiera się, że połowę. Dzieci wiedzą, że obrazy to jest nadal dobra inwestycja. ■



Bez rozgłosu

Więc tak się odchodzi. Bez rozgłosu, matko.
Chwile szczęścia przychodzą niepewnie i rzadko.

Ledwie oczy otworzysz, a już noc zapada.
Wiatr hula po pustych ogrodach i sadach.

Coraz więcej pytań. Coraz mniej pewności.
Za oknem drżą gwiazdy w głębokiej ciemności.

Na nic się przydały dawne horoskopy.
Coraz mocniej puchną obolałe stopy.

Ze wszystkich obietnic niewiele zostało.
Dusza na ramieniu i znużone ciało.

Więc tak się odchodzi. Od wieków tak samo.
Nie lękaj się nocy. Uśmiechnij się, mammo.

Dwa razy dwa

Dwa razy dwa jest cztery.
Nigdy nie byłem tego
tak pewny jak teraz.
Niosę przeszłość w skórzaną walizkę.
Wszystkie swoje świadectwa,
dyplomy, miłosne rozterki,
wspomnienia i blizny,
którym zawdzięczać najwięcej.

To, co miało się zdarzyć,
już się wydarzyło.
Bóg miał zawsze ważniejsze sprawy na głowie,
a ja byłem znudzony
jego wyniosłym milczeniem.
Aż zrozumiałem, że niebo jest puste
jak skrzynka na listy
w epoce maili i esemesów.

Dwa razy dwa jest cztery.
Dzień jest jasny, noc – ciemna.
Mój bagaż przybiera na wadze.
Wszystkie pytania znalazły
właściwą odpowiedź.
Nie muszę nikomu niczego tłumaczyć.
Przyczyny i skutki doszły po latach
do porozumienia.

Przypowieść o potopie

Dawniej potop przybierał na sile
czterdzieści dni i nocy.
Pochłaniał wszystko jak leci:
domy, kościoły, skrzyżowania ulic,
ruchliwe place zabaw.
Wzbudzał u ludzi zrozumiały przestach.

Dzisiaj potop ma rozmiar kałuży.
Niepotrzebna jest arka.
Wystarczą kalosze.
Noe znalazł sobie wreszcie
godne siebie zajęcie:
pracę nocnego stróża.

Milczenie

A kiedy starość wreszcie
upomni się o mnie,
cóż będę miał wtedy
na swoją obronę?

Garść wierszy,
kilka wzruszających wspomnień
i zgromadzone przez lata
zapasy milczenia.

Mój anioł stróż

Mój anioł stróż
jest umięśniony jak Schwarzenegger.
Czuję się przy nim bezpiecznie.
Mam pewność, że w razie potrzeby
stanie w mojej obronie.

Nie odstępuje mnie nawet na krok.
Razem rozwiązujemy krzyżówki,
gramy w warcaby,
podlewamy kwiaty.
Zawsze wieczorem robimy
rachunek sumienia.

Mój anioł stróż
to prawdziwy profesjonalista.
Umie pocieszyć,
ostrzec przed burzą,
udzielić pierwszej pomocy.

Jego anielska wierność
jest bezdyskusyjna.
Lubię te jego staromodne skrzydła,
gdy je rano zakłada
przed lustrem w łazience.

Sztuka wychowania

Dzieci budują z klocków
nowoczesne miasta.

Dzieci rysują patykiem na piasku
granice państw.

Dzieci nie boją się prawdy
i mają odpowiedź
na każde pytanie.

Pozwólmy im żyć
po swojemu.

Trzymajmy je z dala
od moralistów
i teologii.

Pochwała dna

Na dnie wszystko przyjmuje
właściwe proporcje.
Słowa brzmią wiarygodnie.
Kształty są wyraziste.

Na dnie każde kłamstwo
jest dobrze widoczne
jak drzewo na środku
rozległej równiny.

Dno jest wdzięcznym tematem
rozpraw o szczęściu.

Dno ma spore zasługi
dla moralistów.

Dno wyostrza widzenie.

Dno uszlachetnia.

Przeprowadzka

Pora zmienić ojczyznę.
Na mniej zużytą i bardziej wyrozumiałą.
Zwłaszcza w chwilach słabości.
Spakowałem do torby
wszystkie swoje wspomnienia.
Wciąż jednak nie wiem,
co zabrać ze sobą, a co zostawić.
Czego żałować, a na co machnąć ręką.
Moja ojczyzna traci siły i pamięć.
Z trudem powłóczy słowami,
które przestały cokolwiek oznaczać.
Mam dosyć jej wiecznych pretensji i intryg.
Brzydzą mnie jej oskarżenia
o brak patriotyzmu i małżeńską zdradę.
Dlatego podjąłem taką a nie inną decyzję.
W oczekiwaniu na środek transportu
czytam wiersze Szymborskiej i Bursy.
Moja ojczyzna próbuje mnie
w sobie zatrzymać, ale jest już za późno
na spokojny sen i na miłość
do grobowej deski.
Pora odetchnąć innym powietrzem.
Z dala od słów wypełnionych nocą.
Z dala od szczęku skrzyżowanych mieczy.

Rzecz o moich wrogach

Kocham was moi wrogowie.
Cenię waszą lojalność.
Wasze przykre słowa
są dla mnie otuchą.
Wasza gorliwa obecność
sprawia mi satysfakcję.

Mieć takich wrogów to zaszczyt.
Wiernych, sumiennych,
bezkompromisowych,
idących za mną krok w krok.
Napawa mnie szczęściem świadomość,
że zawsze mogę liczyć
na waszą obecność.

To wam zawdzięczam
największe sukcesy.
To wasza wzdarda
trzyma mnie przy życiu.
Bez was byłbym jak lustro
zwrócone do ściany.

Kocham was moi wrogowie.
Wasz gniew jest gwarancją
mojego istnienia,
dlatego dbam o was
jak o drzewa w sadzie,
byście mi służyli
długo i radośnie.

Wariacje na temat umarłych

Umarli wiedzą o życiu najwięcej.
Przychodzą do nas najczęściej nocą.
Przynoszą nowiny z zaświatów.
Ktoś właśnie zrozumiał swój błąd
po dwudziestu latach.
Kogoś ruszyło sumienie
o wiele za późno.

Umarli znają odpowiedź
na wszystkie pytania.
Zdobywają nagrody w teleturniejach.
Potrafią wymienić wszystkie księżycy Jowisza.
Wiedzą, w którym roku urodził się Hegel.
Znają na pamięć wzór na objętość stożka.
Są zawsze dobrze poinformowani.

Umarli biorą za nas urlopy
i wyjeżdżają do ciepłych krajów.
Lubią się wylegiwać na plaży.
Lubią chodzić do kina
na nocne seanse.
Nie muszą się śpieszyć.
Mają czas na wszystko.

Umarli zazdroszczą nam
smaku waniliowych lodów.
Zawsze eleganccy, starannie uczesani,
nie mogą zrozumieć naszego pośpiechu
i naszych wątpliwości.
Są bowiem rzeczy, które ich bawią do łez:
budzik, parasol, termofor, długopis,
tabletki do ssania na zgałę.

rys. Bogna Skwara



Obudziłem się tuż po wschodzie słońca. Pierwsze spojrzenie przez szeroko otwarte okno ukazało mi błękit Zatoki Biskajskiej, a wciąż mrugająca, choć nikomu niepotrzebna, latarnia morska nie pozostawia cienia wątpliwości, że jestem tu, gdzie jestem, choć dałbym wiele, aby to było Morze Sargassowe lub Ocean Indyjski. Tam z pewnością ochoczo poszedłbym do baru i zamówił English Breakfast albo kanapkę z sardynką, ale tutaj nie miałem najmniejszej ochoty na śniadanie. Szklankę napelniamy do połowy Kool Cocktailem z lodówki wcisnąłem sok z cytryny. Piłem bez pośpiechu delektując się smakiem nicości. Zrobiłem skręta z czarnego tytoniu Domingo i świat wydał mi się odrobinę lepszy niż jest w istocie. Każde złudzenie ma swój smak, jak dobry Merlot leżakujący w dębowej beczce po starej dobrej whisky lub jak pstrąg wędzony w dymie z ognia rozpalonego na gałęziach wiśni. Złudzenie jest jak flirt z rzeczywistością, chcesz za nim powędrować na oślep.

Jednak dzień nie zapowiadał się jak flirt. Przybyłem tutaj, żeby zabić Grubego. Nigdy nie myślałem, żeby kogoś zabić, choć pewnie zdarzało się rzucić, jak każdemu, *zabiję go*. Ale to nie był ten przypadek.

Gruby był, a teraz o poranku jeszcze jest, facetem niezwykle uzdolnionym. Bóg, w którego nie wierzył, obdarzył go niewiarygodnym talentem gry na skrzypcach i Bogu nic a nic nie przeszkadzało, że Gruby marnował swój talent nie wkładając ani trochę pracy w to, co robił. Wystarczyło mu, że uwielbiał siebie, choć był próżny i kochał wyrazy podziwu, które czasami towarzyszyły jego życiu. Wtedy jego dusza, której nie miał, oblesnie mlaskała. Grubas stronił od alkoholu, bo jego pusta głowa nie mogła pomieścić więcej złudzeń niż namiętne kolekcjonowanie i oglądanie komiksów, którym poświęcał całe dni i zarywając noce. Uwielbiał natomiast jeść i tu prym wiodła wieprzowina, najlepiej w zawieszistym podbitym mąką sosie, choć nie gardził dobrze wysmażonym stekiem wołowym z solidną porcją gotowanych ziemniaków z omastą. Nie wiedział, że koperek jest zielony, bo kupował tylko suszone warzywa, którymi obsypywał kartofle. Nade wszystko jednak lubił słodczyce, które pożerał bez opamiętania.

Gruby nie cierpiał kobiet, głosząc bez żenady, że prawdziwe kobiety to tylko kurwy. Wszak nie był, a teraz o poranku jeszcze jest, jedynym człowiekiem, który z konieczności czynił cnotę. Miał poczucie humoru z wyższej półki jak sztuczna inteligencja wyhodowana na literaturze obrazkowej z wyższej półki. Jego śmiech to był dobrze serwowany ersatz ku uciesze gawiedzi.

27 września 2018 poznałem Emilię. Na pikniku nad wiszącą skałą, a raczej skałą niemal pionowo spadającą do morza. Powinna być kobietą o długich perłowych włosach, ale jej włosy były proste, do ramion, krucze. Zakochałem się od pierwszego wejrzenia. Nie. Zakochałem się nieco później niż zwykle, gdy zaczęła opowiadać, a głos miała aksamitny jeśli głos może być aksamitny, a może. Opowiadała historie wysane z palca, ale takie, których mogłaby pozazdrościć Szeherezada, a ja słuchałem wpatrzony w jej fiołkowe oczy i spijałem jak pszczoła. Tak było zazwyczaj do północy. Potem do rana spisywałem wszystko, co zapamiętałem.

O wschodzie słońca chodziliśmy do baru na plażę, który był jeszcze zamknięty i na śniadanie zamawialiśmy zawsze omlet z konfiturą poziomkową, a jak byliśmy bardzo

głodni, poprosiliśmy o sardynki atlantyckie pipiripi. Pierwszy pocałunek był słony jak ocean, a czasami słodko słony, gdy padał deszcz. Nie było złudzeń, ani sztucznego miodu.

Nie było żadnego „I Love you”, nie było nic poza lekkim unoszeniem się w głąb oceanu na przekór wszystkiemu. W końcu jednak było bardzo realne śniadanie, czyli pół szklanki mrożonego Kool Cocktailu z sokiem z cytryny, a potem prosto na jarmark, gdzie wszystkiego próbowaliśmy i nic nie kupowaliśmy. Istniało bardziej coś niż nic. Całkiem znośna lekkość bytu.

Podobno natura nie znośi próżni. Pewnie więc próżnia nie znośi natury. Wszakże wydaje się, że życie nie lubi nudy. Ergo postanowiliśmy ukraść z pewnej galerii obraz. Siłą rzeczy miał jakiegoś autora, ale pewnie na odwrocie. Przedstawia pociąg jadący donikąd. Bardzo trudno namalować obraz jadący donikąd, ale nieznanemu nam autorowi się udało. Dość powiedzieć, że codziennie pociąg był trochę dalej i nic bliżej. Ja przebrałem się za siebie, a Emily przebrała się za mnie. Właściciel galerii, sypiał na ganku przed wejściem do galerii, bo przecież nikt tam nic nie oglądał ani nic nie kupował. Sprytnie zdjęliśmy obraz ze ściany, wycieliśmy płótno, a tam wkleiliśmy wierną kopię obrazu.

Różnica polegała na tym, że na oryginalne, który ukradliśmy, pociąg jechał donikąd, a na kopii, którą zostawiliśmy w galerii, pociąg stał, a przecież nie można stać donikąd. Oryginał sprzedaliśmy paserowi, którego marszand sprzedał w domu aukcyjnym za siedem milionów nowych dolarów irackich. My dostaliśmy swoje sto rubli i niezwłocznie wymieniliśmy je na dolary Zimbabwe, całkowicie incognito. Żyliśmy za to pół dnia zamawiając po trzy koktajle Kool z sokiem z cytryny.

Życie gnało dalej, a my wraz z nim, leżeliśmy na leżakach na płatnej plaży w sezonie zimowym. Przyszedł do nas stróż z butelką Rakji i powiedział, że możemy sobie gołnąć, ale jutro z rana zawiadomi odpowiednie władze i niechybnie nas przymkną. Pomyślałem, że przymknięcie, to nie zamknięcie i uczując błogi sen strażnika wychylił butelkę do końca.

W tym czasie Gruby zjadał kolejnego czekoladowego batona z otrębami, w polewie wiśniopodobnej z bogactwem wszystkich emulgatorów świata.

A świat był piękny tego roku. Zbliżała się cicha zaraza z Chin. Nie jakaś tam zwykła zaraza, ale cholera z ptasim dziobem, a miał takie kulki cierniste. Bzdura, oczywiście. Miłość nie zna granic, więc popłynęliśmy kradzioną łódką na koniec świata. Na końcu świata nie ma nic szczególnego. Jest tabliczka, że koniec świata i że strefa wolnocłowa w której można dostać Kool Cocktail, ale bez cytryny lub Rachmaninoff w wysokiej trawie.

Przekroczenie granicy nie stanowi większego problemu, po prostu przechodzisz i nie ma nic. Na tę okoliczność zrobiliśmy parę kilometrów ku Gospodzie Pod Niczym zamówiliśmy steka z jelenia z żurawiną, pokój z widokiem na morze, BIBLIĘ, KORAN, TORĘ i bukiet konwalii.

Jeżeli konwalie i bez to kwiaty miłości, to co mają powiedzieć ci, którzy mieszkają na dalekich wyspach, gdzie są tylko storczyki?

Był listopadowy wieczór. Byliśmy we Florencji i właśnie wtedy Grubas miał swój koncert. Właśnie tam, w mieście, które opisano tysiące razy, choć nawet połowa nie nadaje się

do czytania. Dzień rozpoczęliśmy od tramezzini nad brzegiem Arno, potem szwendaliśmy się po małych uliczkach, gdzie nie było wprawdzie turystów, ale smak wina był taki jakby w ogóle wino nie istniało, ale wszędzie było można kupić Stoliczną, która smakowała jak stoliczna. Tak dopłynęliśmy do wieczora nic a nic nie zwiedzając. Pierwszy koncert Brahmsa w małym kościele. Publiczności jak na lekarstwo, bo w końcu listopad i zadupie. Ale brzmiało świetnie. Grubas grał jak z nut, choć na nie nie patrzył. Znał ten kwartet na pamięć. W zasadzie wszystko znał na pamięć. Zrobimy, chcieliśmy zrobić Eleazarowi niespodziankę, ach bo Grubas miał na imię Eleazar właśnie, naszą niespodzianką była nasza niespodziewana obecność i tuż po koncercie zaprosiliśmy go do baru naprzeciwko kościoła. Był zachwycony, co wyraził mlaskaniem zamawiając słodkie cappuccino i sernik. My pozostaliśmy przy Stolicznej. Rozmowa się nie kleiła, bo kiedy Eleazar zwany przez mnie żartobliwie Izajaszem jadł, to nic nie mówił, a kiedy nie jadł, to palił, a jak palił to coś tam mówi. Palił równie szybko jak jadł, ale wyrzucając niedopałek na podłogę, wygłaszał sentencje, która brzmiała tak: jeśli ktoś wam mówi, że muzyka wymaga intelektu, to nie wierzcie, to bzdura. Chcąc podtrzymać ledwie tłące się rozmowę powiedziałem, z ktoś powiedzieli, iż muzyka jest większą ofiarą niżli religia i filozofia. Zapadła cisza. Emily przeprosiła i udała się do toalety. Wtedy Grubas rzucił spojrzenie na jej kołyszące się biodra i powiedział, że ma dobrą dupę.

Ile trzeba, żeby chcieć zabić człowieka?

Tutaj, w szpitalu, nie ma szeroko otwartych okien. Najpewniej dbają, żeby ktoś nie wskoczył i nie zakłócił nam spokoju. Na śniadanie zamawiam jajka na twardo, ale zawsze dostaję owsiankę. To pewnie taki miejscowy zwyczaj jak okropne croissanty we Francji. Potem gram w szachy sam ze sobą. Mój rywal dostaje ode mnie fory i gra białymi i zawsze wykonuje pierwszy ruch, zawsze ten sam, a ja czujnie przygotowuję się do obrony sycylijskiej, choć robię to z dużą wprawą, zawsze przegrywam. Na obiad zamawiam bażanta. Lubię bażanta, choć trudno go obrać, ale dostaję krupnik, którego nie cierpię, ale pewnie jest zdrowy. W czasie podwieczorku jest pora na widzenie, ale Emily pewnie nie może się dopchać.

Jest taka krucha. Albo nie może uwierzyć, że zabiłem Grubasa przykładając mu do tętnicy szyjnej długopis, którym spisywałem jej opowieści. Ale przecież nie dźgnąłem. Umarł ze strachu. To zresztą nie ma większego znaczenia. Najważniejsze, że zrozumiał. Potem jest kolacja i dobranoc.

Nie śpię dobrze. Idę sobie do biblioteki i czytam. Nie przeszkadza mi, że biblioteka o tej porze jest zamknięta. Jest piękna jak pusty kościół. Nie ma Boga, nie ma książek, ale kościół jest. W niedziele zawsze chodzę do kościoła. Tam spotykam Emily. Siedzi w pierwszej ławce i płacze. Nie chcę jej przeszkadzać.

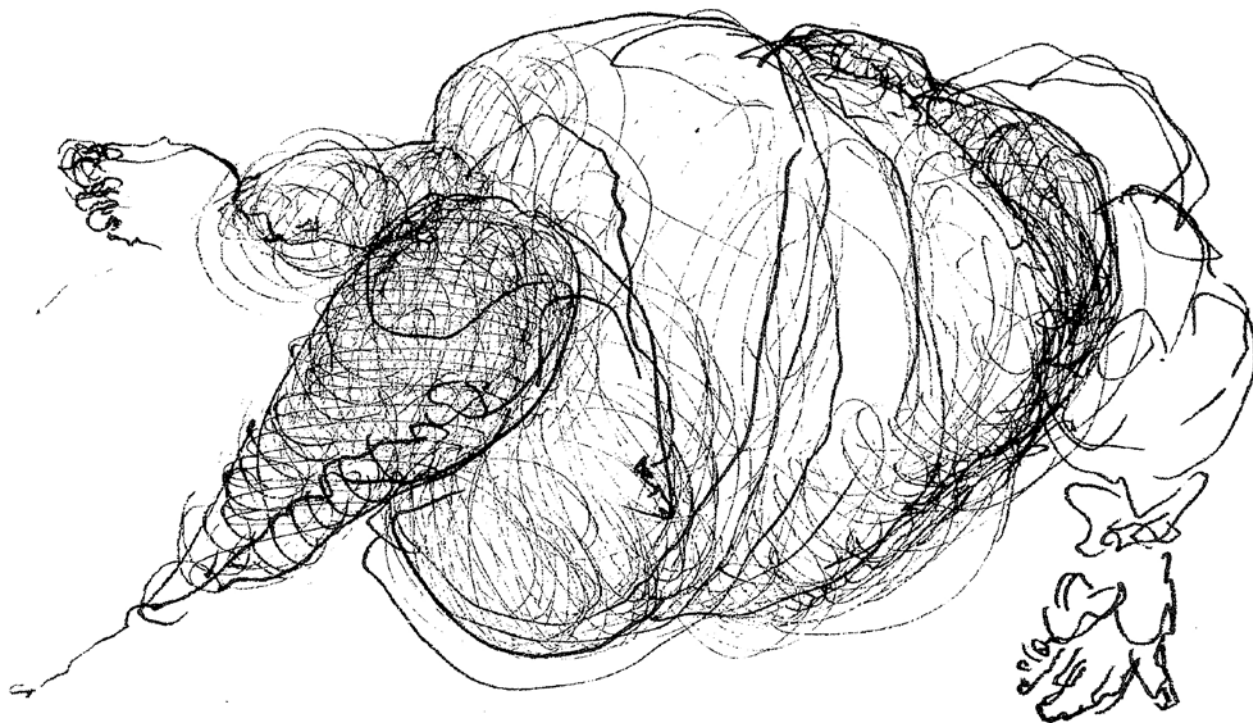
Zamówiliśmy filety z indyka z sałatką ze świeżego szpinaku i mozzarelli. W tle syczy się koncert fortepianowy na wiolonczelę i fortepian Haydna. Przez wielkie okno można było podziwiać oświetloną kopułę Il Duomo. Nie wiem dlaczego, ale zaczęliśmy rozmawiać o chciwości, a może nie tyle rozmawiać, co plotkować o naszych niektórych znajomych. Przychodziło nam to całkiem łatwo, bo oboje czuliśmy się wolni od tego grzechu. W ten sposób mogliśmy się głośno śmiać z tej przywary. Bogiem a prawdą znałem tylko jednego człowieka z krwi i kości, który był chciwy a nadto chciwy bezinteresownie. Chciał mieć, żeby mieć, najchętniej bez żadnej pracy. Ale ten przypadek przemilczałem, bo rozmowa mogła stać się nadto poważna, a przecież Florencja wzorem Medyceuszy chce śmiechu i hojności. Bez wątpienia wiedział o tym Dante, który cierpiał jak exulowie wszystkich czasów jak pewnie powiedziałby Herbert. A czy my nie byliśmy wygnańcami? Tego pytania też nie zadałem.

Noce są pełne zagadek, których nie powstydziliby się ani Sfinks, ani Sokrates. Czasami krowy pasą się wśród gwiazd opuszczając płótna Chagalla, czasami gwiazdy spadają na

ziemię z lekkim chichotem wszechświata, a czasami kochasz się z Szeherazadą lekko dotykając jej słów jakby głąskać morską pianę. Miłość jest krucha jak cienka woskowa świeca wotywna, której dogasający blask bezskutecznie woła o zbawienie. Po pasji nocy budzi się norma dnia. Wstałem,



rys. Bogna Skwara



gdy Emily jeszcze spała. Poszedłem w miasto, kiedy powietrze jeszcze było rześkie i lżejsze od samego siebie. Tuż za rogiem, w małej piekarni kupiłem drożdżówki z serem waniliowym w cieście francuskim. Ktoś mógłby zapytać jak to możliwe, że drożdżówki w cieście francuskim, ale nikt o nic nie pytał, tym bardziej, że były lekko oprószone cynamonem. Nieco dalej w trafice kupiłem narzędzie zbrodni, czyli wieczne pióro, a do tego zielony atrament, będąc święcie przekonany, że będzie doskonale mieszał się z krwią Grubasa, która najpewniej jest brudnoczerwona, a na pewno nie niebieska, choć ta ostatnia lepiej pasowałaby do soczystej zieleni. Śniadanie zjedliśmy w pokoju, bo we włoskich hotelach śniadania są nikczemne jak we Francji. Próżno marzyć o jajkach po florencku, które mogłabym jeść bez umiaru jak jajka po benedyktyńsku.

Dzisiaj w planie było Giro d'Azzurro, którego nie warto szukać, nawet w wikipedycznej powieści Dana Browna, skądinąd całkiem smakowitej. Aby dotrzeć do Giro, trzeba przemierzyć szmat drogi przeciskając się wąskimi uliczkami w kierunku Prato. W rzeczy samej Giro nie jest niebieskie, ani nawet nie przypomina błękitu paryskiego. Jest fioletowe. Tysiąc akrów wysokich krzewów o fioletowych kwiatach. Mało kto wie, że stąd pochodzi nazwa miejscowej drużyny piłkarskiej, bo przecież o Fiorentinie mówi się *Fioletki*.

Grubas nigdy nie odnalazłby się w labiryncie. Zabiłby go zapach kwiatów lub słońce w zenicie. Ale póki co żyje, choć krople zielonego atramentu zamknięte w małej fiołce wiecznego pióra odmierzają jego czas krótkotrwałej udręki. Tymczasem my bawiliśmy się doskonale. Ale też do czasu, bo kiedy zapadł zmierzch, wciąż nie mogliśmy znaleźć wyjścia. W końcu zrezygnowani, głodni i spragnieni położyliśmy się w alejce i zasnęliśmy. Pełna pasji noc bywa złym doradcą, ale po wschodzie słońca bez problemu dotarliśmy do wrót raj, jakim teraz wydawały nam się przedmieścia Florencji.

Udało nam się złapać taksówkę i poprosiliśmy o kurs do Rooster Cafe. Otwierali o dziesiątej, więc chwilę spędziliśmy na krawężniku racząc się jagodami kupionymi w pobliskim straganie. Cudownie fioletowe pocałunki były całkiem na miejscu, bo miejscowi kochają miłość. Prawie tak bardzo jak zdradę. Ale największym przysmakiem jest zemsta płynąca leniwie jak rzeka Arno, leniwie, ale nieubłagane. Myślałem, że Grubas już to przeczuwał i pocił się niemilościernie. Tymczasem jednak przyszedł czas na smak jaj po florenc-

ku czy jak kto woli po florenetyńsku. Szpinak świetnie pasował do atramentu, ale w rzeczy samej przykrywał je delikatny choć mało dietetyczny sos holenderski. Mój przyjaciel, śp. Piotr, byłby zachwycony. Może cnymi rozkoszami podniebienia, a może całkiem zgrabnym planem morderstwa, które przecież zostało już zapisane w planie gwiazd, zwalniając mnie od wszelkiej odpowiedzialności, a li tylko obligowało do zamaszystego gestu i trafienia w sedno, czyli tętnicę szyjną. Zmielełem nieco pieprzu, żeby sos holenderski był bardziej wyrazisty.

Po śniadaniu, na które bezwzględnie zasłużyliśmy, zamówiliśmy po setce zmrożonego Rachmaninoffa i szklance mrożonej herbaty cytrynowej słodzonej stewią, na co już niekoniecznie zasłużyliśmy, ale nikt nie powiedział, że los jest sprawiedliwy. Chyba nikt. Wtedy przysiadł się do nas, bez żadnego przyzwolenia młody przystojny florenetyńczyk z włosami mocno przyznanymi brylantyną. Zaoferował się jako przewodnik, ale tak naprawdę umizgał się do Emily, co robiło na niej takie wrażenie jak góra lodowa na Titanicu, dopóki się do niej nie zbliżył. Wiedząc o tym, że zazdrość jest grzechem ciężkim, poprosiłem go o chwilę na stronie, a najbardziej odpowiednim miejscem była damska toaleta. Może męska byłaby bardziej właściwa, ale była dalej. Wbiłem mu w brzuch widelec zgrabnie zwinięty ze stołu, owinałem usta całą rolką papieru toaletowego, żeby niepotrzebnie nie rzeźił, zapłaciłem rachunek przy barze, płacąc sówicie za coperto i servizio, jak to jest w włoskim zwyczaju, i oddaliliśmy się szybkim krokiem w zupełnie nieznanym kierunku. Ta śmierć nie była potrzebna, a nawet nie wiem czy to była śmierć, bo przecież to tylko brzuch. Ale jakaś sprawiedliwość musi być. Nawet taka pierwsza z brzegu. Od razu mi się nie podobał i pewnie nawet nie był Florenetyńczykiem, a przyjechał z Civitanova, co jest zupełnie upodlające jak noszenie butów Gino Rossi. Ohyda.

Wkrótce dowiemy się, o czym szumią wierzyby. Teraz, kiedy pojechaliśmy na wieś, zaczął padać rzewny jesienny deszcz. Na twarzach rozmywał się w łzy i płynął w stronę smutku i świętego spokoju. I deszcz, i wierzyby złowroźnie szumiały o nadchodzącym końcu świata. Tak było zawsze, koniec świata zawsze zbliżał się jak kroki Nostradamusa, który skradał się do spiżarni, aby uszczknąć nieco końskiej kielbasy, zagryzając kiszonym ogórkiem i popijając księżycówką. Już dawniej koniec świata błąkał się po Delfach,

gdy Pytia piła wodę ze świętego źródła Kassolis i heksametrycznie puszczała się z każdym, kto okazał się wystarczająco hojny. W tym, a może w innym czasie Manuela Gretkowska siedziała przed lustrem i farbowała siwe włosy na siwo perłowe i myślała na temat eseju o ksenofobii w Paryżu, ale w końcu się rozmyśliła i napisała list miłosny do mnie, którego treści nie mogę przytoczyć, gdyż nie omieszczała mnie zmieszać z błotem za całkiem niewinny romans z Emily, która to nie musiała farbować włosów i nie musiała nic pisać o Paryżu, bo tam właśnie utworzyłem jej Luwr o północy. Ale teraz widzieliśmy piersi z kurczaka na opłatkach olchowych, gałęziach gruszy i krzewach winogronowych. Zapowiadała się prawdziwa wiejska uczta i apolliński taniec w wysokiej trawie w strugach deszczu. *La locanda sotto una betulla romantica*.

Romano czekał na nas w Oberży Pod Srebrną Brzozą. Przyśleliśmy nieco spóźnieni, więc był już całkiem dobrze zaprawiony. Był co prawda abstynentem, ale to nie miało większego znaczenia, bo był abstynentem tylko wtedy, kiedy nie pił, czyli nader rzadko. Był Sycylijczykiem, rybakiem, rzeźnikiem i ojcem chrzestnym nieochrzczonych pieniędzy. Miał dla nas walizkę świeżo uprasowanych banknotów pochodzących z legalnej transakcji prania brudnych pieniędzy. Nie musiałem nawet liczyć, wystarczyło, że zważyłem walizkę w dłoni. Bez dwóch zdań wystarczała na tyle, aby do końca życia zajmować się tylko jónską filozofią przyrody. Jak wspominałem, byłem wolny od grzechu chciwości, ale uprawianie filozofii jest kosztownym zajęciem, o czym mówi pewne dzieło będące odpowiedzią na pisaninę Proudhona wydane w roku 1886 w Paryżu. Bogiem a prawdą nie da się tego czytać, podobnie jak innych dzieł tego autora.

Szliśmy połą drogą w stronę stacji kolejowej. Walizka była dość ciężka, a jej wydłużona rączka uwierała mnie w palce. Usiedliśmy na ławce na opustoszałym o tej porze peronie. Jeszcze ptaki nie dobijały się do naszych skroni i popijaliśmy spokój blaknącej nocy. Nasz bagaż podróżny służył nam za podnózek, a czekała go daleka droga, dużo dłuższa niż nasza. Bez pomocy czarodziejskiej różdżki wyciągnąłem z wewnętrznej kieszeni piersiówkę i pociągnęliśmy po łyku pocałunku, trochę odpłacając go zniewolonymi camelami. Nic nie zapowiadało, że cokolwiek ma się wydarzyć. Nikt nie dzwonił na sekcję, żebracy spali jeszcze, dobrze spalili w kartonach, było ciszej niż przed burzą. Dopiero daleki stukot pociągu oznajmił nam, że to już czas.

Piłat właśnie pakował walizki i zbierał się w podróż o wiele dłuższą, niż mu się wydawało. Tak, to było tutaj. Może niekoniecznie tego poranka, ale właśnie tam zakotwiczyliśmy w małym hotelu z widokiem na nic w pokoju bez widoku na cokolwiek. Jak na bogaczy przystało. Już zbieraliśmy się do snu, ale Emily zapytała, czy nie miałbym ochoty na kanapkę z owozym serem i oliwkami. Jasne, że miałem. I tak wędrowaliśmy dalej zostawiając naszą walizkę, która w tym miejscu była bardzo bezpieczna.

Po drodze chyba minęliśmy Pilota, który udręczony słynną migreną trzymając się za skronie kołysał głową ponure takt w taksówce. A może to był inny pasażer udający się właśnie na Fiumicino, który nie zdążył wypić porannego espresso? Nad miastem unosiła się lekka mgła. Czy naprawdę zawsze coś musi się zdarzyć? Przypominam sobie postać Kruka z pewnego paleoazjatyckiego mitu. Wpatrywał się w taflę wody i krzyknął *Jakże ja mógłbym nie istnieć*. A może to już ja wykrakałem.

Dość powiedzieć, że wróciliśmy do marnego hoteliku i zamiast spać podzieliiliśmy pieniądze z walizki na cztery części. Nie były równe. Były jak jesień, wiosna, zima i lato. Walizkę wyrzuciłem przez balkon, bo tuż pod nim znajdował się śmietnik. Pieniądze umieściliśmy w czterech jutowych workach odpowiednio ciemnobutelkowym zielonym, jaskrawozielonym, srebrzystym i pomarańczowym. Teraz wszystko było jasne i wyglądało o wiele lepiej. Parę bank-

notów wcisnąłem do kieszeni dzinsów, a Emily trochę więcej do swojego butikowego portfela z krokodylęj skóry. Teraz wszystko było jasne. Mogliśmy jechać dalej.

Wypożyczyliśmy quada i ruszyliśmy w stronę San Marino. Malowniczymi tokańskimi polnymi drogami ocierając się o krótkie cienie cyprysów, gdyż było dopiero południe. Emily przysypiała, a ja wspomagałem się butelką wytrawnej gruszkowej grappy. Z dużą swobodą, bo wtedy nie jeździły smętne samochody polizja stradale, a carabinieri byli zajęci ściąganiem haraczy od okolicznych restauratorów, co w jakiś sposób było litanią do madonny od sprawiedliwości społecznej, która zajmowała się wyrównywaniem dystrybucji zysków na modłę marksistowską, uwzględniając potrzeby, chęci i możliwości.

Do San Marino dotarliśmy dobrze przed zmierzchem i tym razem pozwoliliśmy sobie na zakotwiczenie w Grand Hotel Primavera, gdzie w całkiem ładnym pokoju z widokiem bez śmietnika zasnęliśmy natychmiast, mając nadzieję, że obudzimy się na późną kolację. Obudziliśmy się jednak o północy. Było za późno na kolację i za wcześnie na śniadanie, więc ruszyliśmy na spacer po niemal już opustoszałych uliczkach stolicy tego miniaturowego państwa, które słynie z tego, że specjalizuje się w praniu wypranych pieniędzy, a cała sztuczka polega na wymianie pieniędzy. Teraz jednak znaleźliśmy otwarty bar, gdzie wybór był mizerny, ale zaserwowano nam spaghetti z suszonymi pomidorami, kaparami i czarnymi oliwkami. Bez czosnku, pewnie ze względu na pocałunek. I z butelką Wyborowej podanej jak szampan. Pewnie ze względu na pocałunek.

O tej samej porze Grubas gdzieś tam wgapia gały w ekran, gdzie uciekały przed nim potwory, do których zabicia dobierał sobie staranne broń i amunicję, a nawet fryzurę. Był w siódmym niebie. Teraz było dalej od niego, dalej niż rano. Pozornie.

Po uliczkach turkotały oświetlone pochodniami wozy. Chyba tak.

Rano wymieniliśmy czerwonce na turkmeńskie manaty, które wyszły już z obiegu. Zjechaliśmy do Rimini, potem pociągiem do Neapolu, gdzie wynajęliśmy, za resztę czerwonców z pomarańczowego worka, całkiem dużą łódź motorową z szyprem. Szypra wyrzuciłem do wody po jakichś stu metrach. Na wszelki wypadek. Czekaliśmy 1100 mil morskich żegluga. Z dwoma silnikami Yamaha. Nie wiem, ile mil przepłynął Odyseusz, ale mnie bardziej interesowało dlaczego nie uległ pokusom nimfy Kalipso, co pewnie źle świadczy o mnie. Widać bogowie mieli dla mnie inne plany, bo inaczej Emily nie popijałaby teraz szklanki wódki z sokiem cytrynowym. Może jednak była czarodziejką. Kiedyś wybrałem się na Olimp, było koszmarnie gorąco, ale pokusa wypicia ambrozji na wierzchółku świata była wielka. Po dystansie, jaki dzieli Karwie od Jastrzębiej Góry, ze szlaku przegoniły mnie dzikie psy i byłem szczęśliwy, kiedy wróciwszy do Prioni zamówiłem cienką wersję gyrosu z nieszczęsną zieloną sałatą i nieśmiertelnym serem feta z puszek. Nie mniej słynnym jak sok dodoni. Do tego dostałem szklanego mętnego ersatzu wódki zwanego ouzo, mętny staje się już po dodaniu kostek lodu. Może wtedy przyszła mi na myśl, aby napisać młodzieńczą dysertację pt. *Nieobecność mitu*. No bo kto czytał Biblię, *Odyseję*, *Etykę Nikomachejską*, Jamesa Joyce'a, Prousta, Heideggera, *Księgę Henocha* od dechy do dechy. Mam nadzieję, że nie tylko ja, ale nie jestem całkiem przekonany.

W końcu dopłynęliśmy do portu przeznaczenia. To było w pobliżu słynnych wrót Posejdona. Tutaj Ruscy kupowali manaty turkmeńskie, które wyszły z obiegu. Płacili prawdziwymi rublami. Teraz należało popłynąć w stronę wysp, gdzie odkrywcy Ameryki zaopatrywali się w prowiant i wodę w dalszą podróż. Zanim popłynęliśmy, usiedliśmy przed podróżą i wypili szaloną herbatkę. Wystarczyło tutaj zostać, osiedlić się i byłoby pięknie. Ale trzeba się przekonać, czy aby gdzieś dalej nie będzie lepiej.

Niepewna przyszłość

TOMASZ SŁUPIK

24 lutego 2022 roku w historii pierwszej połowy XXI wieku będzie datą znaczącą. Zbrodnica agresja Rosji na Ukrainę i wybuch pełnoskalowej wojny sprawił, że lęk, strach, niepewność wróciły zarówno w wymiarze emocji zbiorowych, jak i indywidualnych. Okrucieństwo wojny w postaci bombardowanych miast, ludzkiej rzeki uchodźców zagościło na ekranach naszych telewizorów, w internecie, na nagłówkach gazet, gdzie tytuły krzyczały o końcu pewnej epoki, o zagrożeniu wojną, o ofiarach zbrodni wojennych (bestialstwo rosyjskich żołdaków w Buczy), postęпах armii rosyjskiej i bohaterskiej obronie armii ukraińskiej. Równolegle, gdy historia zrywa się z łańcucha a polityka szczerzy groźnie kły, pojawia się miejsce na szlachetność, gesty solidarności, ludzki odruch. Przyjęcie przede wszystkim kobiet i dzieci uciekających przed wojną przez społeczeństwo polskie i inne społeczeństwa europejskie przejdzie do historii. W pierwszych tygodniach wojny pomoc uciekinierom z Ukrainy była udzielana całkowicie spontanicznie w oparciu o dobrze sprawdzoną nie raz w polskiej historii zasadę samoorganizacji społecznej, mimo państwa lub z jego symboliczną pomocą. Zbiórki pieniędzy, żywności, ubrań, przyjmowanie Ukrainek i Ukraińców w domach były wspianymi gestami ludzkiej bezinteresowności i chęci niesienia pomocy drugiemu człowiekowi w sytuacji egzystencjalnego zagrożenia. Ten zbiorowy wysiłek przez chwilę przesłonił nam groźbę wojny za naszą wschodnią granicą, nasza uwaga była skoncentrowana na niesieniu pomocy bliźnim w potrzebie. Jednak wraz z kolejnymi miesiącami toczącego się konfliktu, mimo sukcesów ukraińskiej armii, towarzyszące temu buńczuczne zapowiedzi rosyjskiej propagandy o ataku na kraje bałtyckie, Polskę, potencjalnym konflikcie z NATO, wyrwały nas z kompulsywnego stanu pomagania ukraińskim ofiarom i skierowały naszą uwagę jeszcze w sposób niedookreślony, bardzo jeszcze mglisty na zagrożenie, jakie stwarza Rosja w naszej części świata.

Atmosfera przypomina tę z okresu międzywojennego, kiedy to w ramach popularnych w latach trzydziestych

w polskiej poezji nurtów katastroficznych, panowało przecucie, że koniec świata, jaki znamy, jest bliski, majaczy na horyzoncie, jeszcze nie znamy rozmiarów Apokalipsy, jednak tu, gdzie jesteśmy zarówno to bardzo blisko, jak i trochę dalej, po prostu przestanie istnieć. Oczywiście można powiedzieć, że dziarsko usposobiona część naszego społeczeństwa zakrzyknęła: trzeba działać, trzeba się zbroić, na forum NATO głośno krzyczyć o zagrożeniu i mobilizować naszych sojuszników do aktywności. Najpierw w wymiarze skutecznej pomocy militarnej dla Ukrainy, na drugim planie rozbudowując własny potencjał w celu odstraszania Rosji. Zresztą



w głębokiej pamięci Zachodu istnieją schematy myślowe i działania pochodzące z czasów zimnej wojny, który należy tylko uwspółcześnić i dostosować do naszych czasów. Postawa ze wszechmiar słuszna, jednak nie łagodzi ona lęków i obaw związanych z rozłaniem się wojny rosyjsko-ukraińskiej na początek na Europę Środkową. W głowach ludzi znających choć trochę historię uruchamiają się niemalże natychmiast obrazy maszerujących oddziałów armii niemieckiej w Austrii 1938 roku lub kilka miesięcy później zajmujących Czechosłowację, czy 1 września 1939 roku atakujących Polskę. W polskiej głowie majaczą powidoki: nie oddamy nawet guzika, najcenniejszą wartością w życiu narodów jest honor, Francja i Anglia to nasi wielcy i niezawodni sojusznicy, a potem polski rząd w pierwszych dniach wojny w popłochu ucieka do Rumunii zostawiając społeczeństwo na pastwę niemieckiej armii i brutalnej wojny. Wiem, historia się nie powtarza, co najwyżej jako farsa. Choć zastanawiam się jak ta wojenna farsa miałaby wyglądać.

Jednak raz zasiana niepewność kiełkuje w społeczeństwie w sposób na początku niewidoczny, by w sytuacjach potencjalnego zagrożenia przybrać rozmiar zbiorowej psychozy. Po drugiej wojnie światowej, a szczególnie po 1989 roku w naszej części świata i Europy (wyjątkiem była krwawa wojna w byłej Jugosławii w latach dziewięćdziesiątych XX wieku) nie wiedzieć dlaczego przyzwyczailiśmy się, a właściwie mimochodem uwierzyliśmy w kantowski wieczysty pokój. Teraz to już tylko będziemy się rozwijać, korzystać z pieniędzy Unii Europejskiej na modernizację i wzrost założeń naszego społeczeństwa. Handlować, podróżować, kochać się, robić kariery, fascynować się sztuką, filozofią, poezją, muzyką czy sportem. Technologia zaś przyjdzie nam w sukurs i w ramach rodzącej się na naszych oczach technoutopii, w pracy będą nas wyręczać maszyny lub sztuczna inteligencja. Nam zostanie zaś więcej czasu na samorealizację. Brzmi znajomo. Oczywiście. Przecież wypisz, wymaluj jest to realizacja postulatów oświeceniowych marzycieli, a może paradoksalnie realistów o raj na ziemi. Tymczasem salwy rosyjskiej artylerii w Ukrainie wyrwały nas z tej przyjemnej skądinąd drzemki. Przecież nie od wczoraj wiemy, że świat bywa niebezpieczny, a politykę napędza konflikt. Sto lat temu uporczywie o tym fakcie przypominał nam Carl Schmitt i jego napomnienia nic nie straciły na swojej aktualności. Jak powszechnie wiadomo u kolebki społeczeństwa obywatelskiego leży strach. To dlatego nagie, ludzkie diabły wołać żyć w państwie, rezygnując na rzecz władzy suwerena ze sporej części własnej wolności. Osiągając względny poziom bezpieczeństwa w państwie nie są w stanie zapobiec konfliktom zbrojnym między nimi. Wojny mogą mieć różne przyczyny: religijne, ideologiczne, imperialne, bywają krwawą rywalizacją o zasoby i dominację. Teraz już wiemy, że długi czas pokoju w Europie dobiegł końca. Wojna jest nie tylko obrazkiem z podręcznika historii lub prywatną, często pełną grozy, opowieścią naszych babć, czy dziadków. Ona jest realnością, która skrada się kocim ruchem, by za chwilę naprzeć wszystkie mięśnie i skoczyć. ■

Rzut metaforą

RYSZARD JASNORZEWSKI

Mimo że w istocie piłką. Rzut do zawieszono na tablicy kosza. Z miejsca lub w szalonym ruchu, zawsze z użyciem nóg, bo po odbiciu się od parkietu skacze się wyżej. Często jeden rzut odmienia losy meczu, a w wyjątkowych sytuacjach czyją sportową karierę, a nawet całe życie. Podtytuł, którym opatrzone biografie Steve'a Kerra pióra (klawiatury) Scotta Howarda-Coopera – *Od Chicago Bulls do Golden State Warriors. Życie wojownika* – jest nieco mylący. Opisano bowiem żywot nie tyle wojowniczy, ile konsekwentny, przemyślany i domysłany, a także zasilony dawką pozytywnych przykładów i szczęśliwych zwrotów.

Michael Jordan w przerwach między kwartami bawił się z dziećmi i rozdawał uśmiechy. Z dźwiękiem syreny przeistaczał się w zabiakę, który gotów był wyrwać przeciwnikowi serce, wątrobę, płuca i oczy. Kiedy szybował w kierunku kosza albo efektownie wznosił się ponad obręcz – kiedy wiedział, że trafi – wystawiał język. Pokazywał język rywalom, sędziom, partnerom z drużyny, widzom na trybunach i przed telewizorem. Był arogantem, władcą parkietu i posiadaczem największego ego nie tylko w hali sportowej, ale i na obydwu ziemskich półkulach.

Niekiedy najwięksi dostrzegają maluczkich. W szóstym meczu finałów NBA – sezonu 1996/97 – drużyna Chicago Bulls podejmowała Utah Jazz. Jedenaście sekund przed końcem meczu Jordan podał piłkę graczowi drugiego planu, rezerwowemu, który wykorzystał szansę i wykonał rzut na wagę bezcennej, mistrzowskiej wygranej. Wybrańcem był Steve Kerr, który tym samym – jak z emfazą odnotował Howard-Cooper – „doczekał się swojej nieśmiertelnej akcji”. Zdecydowanie bardziej prosto, z perspektywy trzech metrów zareagował naoczny świadek, występujący w przeciwnej drużynie Jeff Hornacek: „O kurwa, to wpadnie”.

I wpadło. Droga Kerra może nie do nieśmiertelności, lecz na pewno do gry w NBA, nie była usłana nadzwyczajnymi osiągnięciami. Zyskał co prawda status gwiazdy uniwersyteckiej drużyny Arizona Wildcats, lecz nie przełożyło się to na gorączkowe zainteresowanie osób odpowiedzialnych za nabór do najlepszej ligi koszykarskiej świata. W drafcie 1988 roku został wybrany przez drużynę Phoenix Suns w drugiej rundzie, z numerem 50, co wróżyło nienadzwyczajny kontrakt i meczowe ogony. Po Suns skorzystał z Kerra w funkcji rezerwowego obrońcy Cleveland Cavaliers i Orlando Magic, ale był właściwie anonimowy w koszykarskim światku. Mimo wszystko coś zauważyli wło-

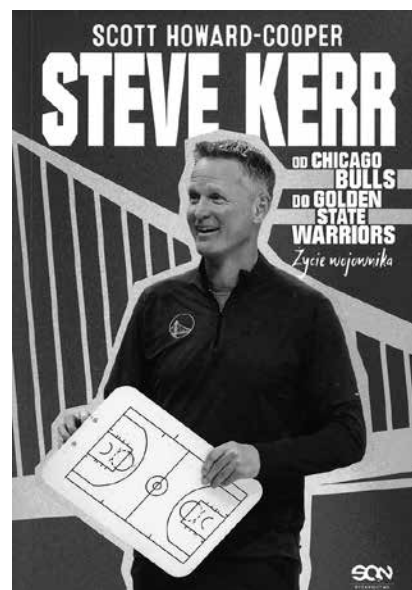
darze Chicago Bulls, którzy zatrudnili Kerra w piątym roku jego profesjonalnej kariery.

Nie było żadnej euforii. Niechciany gdzie indziej rzemieślnik podpisał zaledwie roczny kontrakt, za minimalne w NBA wynagrodzenie (150 tysięcy dolarów). Akurat Jordan ogłosił, że kończy karierę. W praktyce jedynie zawiesił na półtora roku, ale Kerr skorzystał na nieobecności arcymistrza, grając wiele minut i poprawiając swe indywidualne wyniki. Do tego zbudował bardzo dobre relacje z Philem Jacksonem, szkoleniowcem „Byków”, wizjonerem i twórcą potęgi drużyny. Ciekawie i niewątpliwie profetycznie scharakteryzował postać Kerra fizjoterapeuta Chip Schaeffer: „Ten koleś umiał myśleć. I to w branży, w której myślenie jest towarem deficytowym”. W tym konkretnym wypadku myśląco nie stało się ani nagle, ani przypadkowo.

Koszykarz to syn arabisty Malcolma Kerra, rektora Uniwersytetu Amerykańskiego w Bejrucie, zamordowanego w 1984 roku. Steve urodził się w Libanie i większość dzieciństwa spędził na Bliskim Wschodzie, pobierając jakiś czas nauki w Kairze i ucząc się przy okazji szacunku do kulturowej odmienności. W lidze NBA, gdzie roilo się od talentów wywodzących się ze społecznych nizin, Kerr nie wyróżniał jednak wyłącznie rodowodem. Nieustannie analizował, oglądał i podglądał, rozmawiał, czynił notatki. Już na uniwersytecie „grał w koszykówkę z inteligencją godną szkoleniowca”. W Chicago Bulls pogłębił znajomość profesji. Zarówno jej kontekstów technicznych czy taktycznych, jak i psychologicznych.

Po powrocie do Bulls Jordana „każdy trening był jak wojna”. Niekiedy jak uliczna bijatyka, w której odpuścić znaczyło okazać słabość i brak charakteru. Jednocześnie jednak drużyna była jednością, a gdy szwankowała atmosfera, korzystano z różnych, także mało konwencjonalnych metod. Wszystko działało się przy akceptacji Jacksona. „Jak wielu trenerów w NBA – pytał retorycznie Kerr – powiedziałoby jednemu ze swoich młodych zawodników, że ma iść do klubu i najebać się z Dennisem Rodmanem?”. Luz i dystans samego Kerra podkreślał skrótowiec wymalowany na butach – „F.I” – czyli mieć wszystko gdzieś (zwrot „Fuck It” da się, oczywiście jeżeeli ktoś ma taką potrzebę, przetłumaczyć bardziej skrupulatnie).

W Chicago Kerr ujawnił talenty i kompetencje pozasportowe. Wyręczał w medialnych powinnościach liderów drużyny, umiejętnie i ciekawie dzielił się informa-



cjami zza kulis i sprawnie bronił stanowiska klubu (czy „organizacji”) przed dziennikarzami. Udzielał się medialnie również po odejściu z Bulls, jako zawodnik San Antonio Spurs. Po zakończeniu kariery komentowanie koszykówki stało się na kilka lat jedynym zajęciem Kerra, ale w rzeczywistości epizodem (czy może prologiem) przed decyzją powrotu do NBA w charakterze zrazu dyrektora (menedżera) generalnego Phoenix Suns, a później szkoleniowca Golden State Warriors. W tym drugim klubie, wciąż w roli trenera, pracuje po dziś dzień. Jako zawodnik Kerr zdobył pięć tytułów mistrzowskich w NBA. Nie zawsze jednak był graczem mającym znaczący wpływ na sukces drużyny. Bezdiskusyjnym osobistym triumfem są cztery inne triumfy w lidze – zdobycze zespołu, który prowadził podczas rozgrywek, samodzielnie dobierając członków sztabu i koszykarzy, wykonawców oryginalnych schematów gry.

Howard-Cooper doprowadził narrację do kresu (przegranego przez Warriors) sezonu 2019/20. Następne, nieopisane w książce lata okazały się mieszaniną zwycięstw (z czwartym tytułem w 2022 roku) i porażek (z brakiem awansu do play-offów w tocącym się wciąż sezonie 2023/24). Autor biografii twierdzi, że co jakiś czas Kerr ma sobie coś do udowodnienia. Wszystko jednak wskazuje, że udowadnia bez niebezpiecznych odruchów, że pragnienie wygrywania nie doprowadziło do nieuleczalnej obsesji. Być może już dawno pojął, że akceptowanie przegranej to najważniejszy mecz życia. ■

Scott Howard-Cooper, Steve Kerr. Od Chicago Bulls do Golden State Warriors. Życie wojownika, przeł. Michał Rutkowski, Wydawnictwo SQN, Kraków 2023, s. 366.

Koszt dokładności

ANDRZEJ JARCZEWSKI

Drżysz humanisto, gdy korektę swoich tekstów powierzysz inżynierowi! Ten na pewno skontroluje jednostki wszelkich miar i po raz tysięczny ujawni błędy w przekładzie amerykańskich bilionów na polski. Sprawdzi też dokładność sum niedokładnych danych, a także iloczyny, ilorazy i procenty, o których już się pisało w odcinku VI.

Ale, drodzy humaniści, drżycie... nie-mocno. Misją korekty nie jest wytykanie błędów, lecz sprawianie, by coś trochę gorszego stało się trochę lepsze. Na dobry początek odcinka przytoczę *Wiersz z banałem w środku*.

nie bój się chodzenia po morzu
nieudanego życia
wszystkiego najlepszego
dokładnej sumy niedokładnych danych
miłości nie dla ciebie
czekania na nikogo

przytul w ten czas nieludzki
swe ucho do poduszki
bo to co nas spotyka
przychodzi spoza nas

Wiersz księdza Jana Twardowskiego rozślawił Mieczysław Szczepniak genialną interpretacją piosenki „Spoza nas”. Prawie wszystko w tym tekście potwierdza się w naszym życiu. Wszak nie musimy bać się *wszystkiego najlepszego*. Na pewno aż tyle nam nie grozi, bez obaw. Łatwiej o *nieudane życie, czekanie na nikogo* i o... *miłość nie dla ciebie*. To przyjdzie samo.

Ale pozostaje jeszcze – wytłuszczona przeze mnie – **dokładna suma niedokładnych danych**. Dlaczego autor sięga do arytmetyki? I dlaczego każe nam nie bać się tej dokładnej sumy? Ano dlatego, że jest poetą, a nie doktorantem, któremu poetyzować nie wolno.

Potęga pięciu groszy

W PRL-u najlepsza (czytaj: przez długie lata jedyna) miętowa pasta do zębów kosztowała niezmiennie 3.05 zł, czyli trzy złote i groszy pięć. Nigdy nie kupowało się dwóch past naraz, więc problem owych pięciu groszy stawał zawsze twardo na sklepowej ladzie. Zwykle kładłem tam dwie dwuzłotówki, a sprzedawczyni rugała mnie, że znów każę jej męczyć się wydawaniem reszty. Podobnie na pocztce. Prowadziłem ożywioną korespondencję i często chodziłem na pocztę nadać list polecony, ale znów: zawsze tylko jeden list naraz, a znaczek na taki list przez kilkadziesiąt lat kosztował 1.55 zł.

Pocztą to nie warzywniak. Tu nie ma żartów z pięciu groszy. Nie masz? Nie nadasz! Chyba że poczekasz, aż ktoś przyniesie akurat pięć groszy i będzie czym wydać resztę. Nie było w tym nawet wymuszenia, bo panie na pocztce nie przyjmowały napiwków.

Za to używały sobie na biednym

nadawcy, ile włożyło. Wiedziały, że całą kolejkę mają po swojej stronie, a zbieształy uczeń nie ośmielił się odpowiedzieć nie tylko z obawy, że po godzinie stania nie zostanie obsłużony. On naprawdę czuł się winny: „znowu zapomniałem o tych przeklętych pięciu groszach”!

Niekiedy wiązało się to z przeżyciami wręcz traumatycznymi, gdy pani z okienka, nie szczędząc komentarzy, długo szukała owych pięciu groszy reszty najpierw w pojemniku na bilon, później – z uprzejmości – w prywatnej portmonetce, a następnie u koleżanki. Brr! Cała kolejka dawała do zrozumienia, że winny temu nie-szczęściu petent nie powinien nawet zapaść się ze wstydu pod ziemię, bo to za mała kara. Takiego to wystrzeżić w kosmosa!

Po kilku podobnych doświadczeniach obliczyłem niedokładną sumę czasu, poświęconego w ciągu roku na tak dokładne poszukiwanie i wydawanie pięciogroszówek. Gdyby to w całym kraju przeliczyć na roboczogodziny – wyszłoby siedemdziesiąt siedem milionów i pół, a to znów przekłada się na trzy tysiące siedemset pięćdziesiąt cztery etaty, potrzebne w PRL-u tylko do obsłużenia pięciogroszowych końcówek. A bywały też końcówki trzy – i siedmiogroszowe. Ile to wymagało etatów, kalkulatoru?

Obalić PRL!

PRL należało obalić ze względu na te pięciogroszowe reszty i parę innych drobniagów. Zadanie zostało wykonane i od razu zyskaliśmy tysiące rąk, które można było skierować do sensownej pracy. Szybko jednak się okazało, że tej pracy za bardzo nie ma. Jak w tej sytuacji ratowała się pocztą? Sprawdzam kwoty, wypisane na uzbię-ranych w III RP dowodach nadania listów poleconych. Kwerenda przyniosła wyniki szokujące. Otóż po denominacji za prawie wszystkie przesyłki pła-ciłem po kilka złotych, kilkadziesiąt groszy i koniecznie pięć groszy na końcu! Przez 30 lat po roku 1994 ceny zmieniły się wiele razy, a ja mam dowód, że wytężonej pracy pocztowców nad kolejną wersją cennika zawsze towarzyszyła główna wytyczna etatowórcza: od każdej zbyt okrągłej ceny odejmij pięć groszy!

Oto najpopularniejsze opłaty, odno-

owane w kolejnych latach na zachowa-nych kwitkach: 2.85; 3.35; 3.45; 3.65; 3.75; 3.95; 4.15. W roku 2014 najtań-sza przesyłka ekonomiczna w gabary-cie „B” kosztowała równo 5.95. Rewel-ka! Gdybym nie sprawdził na kwitku – bym nie uwierzył. Jeżeli taka sama przesyłka ważyła więcej niż 350 g, ale mniej niż 1000 – płaćłem 6.95. Wy-liczylili to z dokładnością do drugiego miejsca po przecinku. I odjęli 5 groszy!

99 groszy na idiotuff

W czasach Gomułki zamiast jednego jajka, które na targu kosztowało dwa złote, mogłem nadać list polecony za 1.55 zł i jeszcze nie tylko starczyło na znaczek za 40 groszy na widokówkę, ale wracałem do domu z całą pięcio-groszówką reszty w kieszeni.

Sprawdzam koszt nadania najtań-szej przesyłki ekonomicznej po kolejnej dekadzie, czyli w roku 2024. Znaj-duję... 4.90! Zaskoczenie. Czyżby za-pomniano dodać lub odjąć 5 groszy? Nie. Zgodnie z duchem inflacji – odej-muje się teraz groszy 10, a nawet 20! Za najtańszy priorytet polecony zapła-cę 9.80 zł, czyli 8 jajek dużych po zło-ty dwadzieścia, a tych po 65 groszy – cały mendel. Tak rozwierają się noży-ce między kosztem usług bankrutu-jącej poczty, a kwitnącymi biznesami producentów jaj.

Dla pła-cących kartą nie ma to zna-czenia, ale – jak widzę – gotówka wciąż pozostaje w użyciu, zwłaszcza na targowisku. Z kolei w hipermar-ketach (i w aptekach) ceny lubią się kończyć 99 groszami. Wszyscy wie-dzą, że to jest haczyk na idiotów, ale nie obrażają się, nawet jeżeli idiotami nie są. Tylko niektórzy żądają ko-rekty i gotowi są ten jeden grosz do-płacić. Ale cóż znaczy wołanie korek-tora na puszczy!

U fiskusa i w wielu innych urzędach wciąż zalegają sympatyczne, a nawet symptomatyczne złogi jedynie słusz-nych idei cenotwórczych niezawodnie wypróbowanych w PRL, choć sam ów PRL na cenotwórstwie się lekko pośli-znął, ale znów nie dotyczyło to jajek, lecz raczej kurczaków tudzież wiepr-zków i to w całych półtuszach.

Sprawdzam teraz inne ceny i dochodzę do fascynujących wniosków, ale przed-stawię je dopiero za miesiąc, bo wła-snie nadchodzi... koniec odcinka. ■

Skłócenie z życiem

WOJCIECH LIPOWSKI

Najpierw był hotelowy korytarz, potem drzwi do pokoju numer 500. Za drzwiami nieskazitelną przestrzeń obszernego salonu z ogromnym tarasem za oknami, następnie pierwsze wrażenie mieszczańskiego spokoju, stabilizacji wyższych warstw, harmonii i satysfakcji, jaką można czerpać z udanego życia. To wszystko tylko przez chwilę, którą przerwie trzaśnięcie drzwi, pojawią się oni, pierwsze wrażenie prysnie pod naporem wzajemnej nienawiści, a z okrucieństw, co posypały się na ziemię, każdy z gości tego domostwa ułoży sobie psychodramę pełną niepokojów, upokorzeń, rozstań i powrotów, mniej lub bardziej subtelnych presji uczuciowych, oszustw i zwyczajnego strachu przed jutrem. Od tej pory rozpocznie się opowieść o pokruszonym szczęściu, małżeństwie, które kolebie się na wodzie niczym balia i nie może, nie chce dopłynąć w jakieś bezpieczne miejsce.

Nic tu nie zmyślamy. Spotkaliśmy się z Agnieszką i Darkiem w prawdziwym katowickim hotelu, do którego zabrał nas reżyser i autor tekstu „intymnego spektaklu hotelowego” *Godej do mie* Robert Talarczyk. Wielkie szczęście mają Agnieszka Radzikowska i Dariusz Chojnacki, bo to dla nich specjalnie została wymyślona i napisana ta historia. Przeplatanka emocji, wrzeń, psychologicznych gier, podwójnych strategii, nieustannej dialogiczności po polsku i śląsku, bo język to osobny bohater tej sztuki. No i bliskość. Takiej bliskości aktorów w teatrze widzowie nie doświadczają często. Małżeński dramat na wyciągnięcie ręki, w którym trzeba wziąć udział, bo inaczej się nie da. Konieczność zespolenia z opowiadaną historią, zagłębienia się w świat dwojga zranionych, skłóconych ludzi, co z wolna osuwa się ciągle poczucie winy i nieustanne wyrzuty sumienia.

Bohaterowie opowieści skreślonej przez Roberta Talarczyka podzielili swój świat na dwie części, dosłownie i w przenośni. Dwa niepodległe byty, dwie egzystencje osobne, ale pozostające w relacji, która napędza tę skomplikowaną człowieczą maszynę. Psycholożka i prawnik, na górnych szczeblach, dobrze ustawieni, pod każdym względem starający się utrzymać swoje

status quo, badający puls własnej kondycji psychicznej przy pomocy upokorzeń, w pozornie chłodnych bezosobowych rozmowach, ale na gruncie doświadczeń smutnej codzienności.

Godej do mie to niekończąca się gra, w której każde z dwojga staje się figurą różnych życiowych spraw, prób odnalezienia sensu w bolesnych doświadczeniach, ale bez sensu ostatecznego, bez odpowiedzi na pytanie o sedno i cel wszystkich traum, które doprowadziły Agnieszkę i Darka nad krawędź rozpaczy. Martwy czas spadł na nich nieoczekiwanie, życie po stracie dziecka w wypadku samochodowym, uległo przesileniu, bo któreś nie znalazło się we właściwym miejscu o właściwej porze. Śmierć jako możliwość stała się doświadczeniem nie do wytrzymania. W spektaklu Talarczyka upływ czasu, który niczego nie leczy i nie przynosi pogody, ma wyjątkowe znaczenie. Reżyser żongluje nim, jak gdyby próbował uświadomić każdemu z osobna, iż powrót do minionego niczego nie załatwia. Cóż z tego, że Agnieszka wydaje się, że zaraz pójdzie z synem na spacer, a Darek pogada ze swymi zmarłymi sztykującymi się do wieczery. Co z tego, że wykrzyczy błagalne *godej do mie*, skoro nie doczeka się tak potrzebnych słów ze strony żony. Usłyszy zaledwie: „nos już ni ma, bo nie umiesz przyjąć winy”. Czy w języku można odnaleźć podwaliny bytu, oprzeć się nieszczęściom, prze-

ciwnościom złego losu? Czy powrót do śląskiej godki, źródeł małej ojczyzny obojga, scali te potłuczone kawałki małżeńskiej egzystencji?

W oskarżycielskim szaleństwie swojej mowy Darek czyni użytek z tego, co dostępne w bolesnym doświadczeniu, po to, by zranić Agnieszkę, onieźmiała od miotanych w jej stronę zarzutów. Mało tego, widzowie zostają wciągnięci do tej porażającej gry. Pytania, szarpanie strun emocji, niejednego wyprowadzą z równowagi i nie wiadomo, jakie reakcje wywołają kolejne sceny z tego małżeńskiego życia. Taki porządek kompozycyjny sztuki uzupełniony o elementy improwizacji to chyba najciekawsze doświadczenie dla odbiorcy tego spektaklu. Narracja konsekwentnie próbuje przybliżyć nas do obszaru wiedzy dostępnej tu i teraz z konsekwencjami całej tej operacji. Wydaje się, że wśród założeń dramaturgicznych znalazło się przekonanie, że w świecie ludzkich przeżyć, mimo wszystko dążymy do ustanowienia pewnego porządku pośród nieszczęść, obojętności świata i rzeczy, które nas otaczają.

Talarczyk dotarł w swym tekście do istoty dramatu, którego doświadczają nasi bohaterowie. Stało się tak, bo oboje uznali, że ich historia, tragiczne przeżycia czynią z nich zasadę wszystkiego. Im bardziej zanurzają się w odmęty cierpienia i chaosu, coraz bardziej wierzą, że są wszystkim, bo



fot. Przemysław Jendroska



rozumieją, przeżywają autentyczniej, prawdziwiej niż inni. Są całym światem. Pytanie czy zrozumieli, czy tylko umieścili się w doświadczeniach, unieruchomili porządek własnego istnienia.

Agnieszka i Darek z ucieczki od odpowiedzialności uczynili strategię działania. Cierpienie i ból uśmierzają doraźnymi zdradami, odejściami od ustalonego porządku rzeczy, oskarżeniami, pod którymi tli się potrzeba bliskości, czułości, tak potrzebnych słów drugiego człowieka. Narzędziem staje się język. Znakomicie aktorom wyszło to przechodzenie z polskiego w śląski i odwrotnie. Czujemy, że może właśnie godka wyciągnie ich z otchłani, przywróci do życia, zwiąże jak kiedyś pewnym, mocnym węzłem. Zresztą, czy musi to być język śląski? Przecież godej do mnie wypowiedzieć może każdy w takim języku, jaki jest mu najbliższy. Ważne, zdają się mówić twórcy spektaklu, aby szukać porozumienia, zmierzać do spotkania, prawdy, wyrażenia siebie w sposób najbliższy każdemu z nas. Płaszczyznę porozumienia może budować każde słowo, two-

rząc rzeczywistość istniejącą na nieco inny sposób niż tylko językowy, fundując znaczenia, które ostatecznie przybrać mogą formę istoty bytu, umożliwić dotarcie do jego sensu. Może stanie się nim w tym wypadku słowo prawda.

Miłość do śląskiej ziemi nie jest łatwa, nie stanowi przywileju. Darek z obszernego tarasu pokazuje nam swą ojczyznę, którą kocha, ale która jest także przekleństwem pełnym stereotypów. Najsłynniejsze, czyli modro kapusta i familoki, czy hałdy nie wystarczają do opisu tej przestrzeni, niewiele o niej mówią czyniąc w jego głowie zamęt. Gdy odrzuci i zniechęci się tym wszystkim zrozumie, że bez tego nie będzie już w stanie dalej żyć. Podobnie jak żona, która bronić się będzie przed tą jego lokalnością, rozumiejąc, że chodzi o coś więcej ludziom stąd, może o to, co kryje się w tak wieloznaczeniowym słowie godność.

Nie pisalibyśmy o tym wszystkim, gdyby nie aktorstwo Agnieszki Radzikowskiej i Dariusza Chojnackiego. Napisać mistrzostwo to nie napisać w zasadzie nic. Zagrali, nie wystą-

pili przed nami, ale zagrali ludzi, którzy potrafili wypowiadać i nazywać emocje. Nazwać nienazwane, kilkoma zdaniem czy milczeniem wyartykułować sens, odnieść się do istoty życia. Snując opowieść o nieobecności sensu, gubiącego się pośród niechcianych słów, dotykali miejsc najczulszych. Nie bardzo wiadomo, jak to czynili, czy za sprawą zadawanych nam pytań, czy tylko znaczących gestów i spojrzeń, że ludzie wokół zaczęli grzebać we własnych doświadczeniach, ranach. W pewnym momencie ta wspólnota przeżyć stała się czymś oczyszczającym dla każdego. Nieoczekiwanie ich osobista historia przyczyniła się do ocalenia innych, poznania prawdy o sobie, co jest jednym z warunków uwolnienia od cierpienia i egzystencjalnego niepokoju. Czy to aktorstwo, czy może dialogiczna sprawa obecność?

Ile kontekstów odnaleźć przy tym można w historii dwojga ludzi uwięzionych w luksusowym pokoju z widokiem na współczesne Katowice. Jaką naprawdę podróż odbywamy zaglądając niemal w każdy kąt tej wyizolowanej przestrzeni? Czy nie prowadzi ona przypadkiem w najbardziej mroczne zakamarki człowieczej duszy? Nie stanowi prefiguracji każdej prywatnej historii? Nie ma znaczenia, co wydarzy się później, mimo że na jednym ze stolików na złożenie podpisów czekają dokumenty rozwodowe. To tylko pretekst, element gry zainscenizowanej z wirtuozerią, nic więcej. Wszystko po to, żeby się dowiedzieć w końcu czegoś ostatecznego, pewnego w życiu. Podobnie pytali Albee, Williams czy Bergman. Bohaterowie tego ostatniego w słynnych *Scenach z życia małżeńskiego* kochają przecież na pograniczu nienawiści, odrzucenia.

Realistyczny obraz z życia codziennego pewnego śląskiego małżeństwa to nie tylko subtelna historia przyczyn porażek, klęski ich związku, to przede wszystkim próba przepracowania traumy, powrotu do najważniejszego miejsca w życiu, poszerzenia wiedzy o własnych doświadczeniach, wyjścia z zamętu, w którym przyszło im żyć. Nadzieja na pojednanie, powrót do poprzedniego życia, choć okupiony bólem i cierpieniem przyniesie jednak ukojenie. Bo w końcu jak pisał Conrad mimo różnych okoliczności „nigdy nie przestajemy być sobą”.

Godej do mie
Intymny spektakl hotelowy
Tekst i reżyseria Robert Talarczyk
Pokaz w Hotelu Diament Plaza
w Katowicach
17 maja 2024





Ja to ktoś inny? Inny to ja?

WERONIKA GÓRSKA

Jaki prosty byłby świat, gdyby ludzie mieli zbieżne potrzeby i poglądy, nie trzeba by im tłumaczyć, co myślimy i czujemy, ponieważ doświadczają dokładnie tego samego, zawsze przyznają nam rację, a czasem nawet rozumieją bez słów! W takim świecie konflikty, kłótnie, wojny, rywalizacja zostałyby zastąpione porozumieniem, harmonijną współpracą i rozwojem. Któż z nas, dorosłych, nie ulega czasami takiemu złudzeniu? Nie dziwi zatem, że doświadczają go również mały chłopiec, bohater sztuki Jarosława Murawskiego *Inny*. Spektakl miał premierę w Teatrze Lalek w Bratysławie przed czterema laty, natomiast w tym roku został po raz pierwszy zagrany w Polsce, w katowickim Teatrze Lalki i Aktora Ateneum, w reżyserii Tomasza Maśląkowskiego.

Czy faktycznie życie pośród własnych klonów okazałoby się łatwiejsze, przyjemniejsze, bardziej twórcze? Bohater *Innego*, grany przez Michała Skibę, znajduje się w takiej właśnie sytuacji i szybko przestaje mu się ona podobać. Jak tu na przykład zachowywać na boisku, kiedy obie drużyny składają się z samych „ja”? Komu podać, a komu odebrać piłkę, skoro wszyscy zawodnicy wyglądają identycznie? Do której bramki strzelać? A co z Julką, szkolną sympatią? Jak można fascynować się dziewczyną, która wygląda i zachowuje się jak lustrzane odbicie? Jak tu pocałować... samego siebie? W mitologii greckiej Narcyz zakochał się we własnym wizerunku, ujrzanym w wodzie, nie potrafiąc dostrzec piękna w otaczającym go świecie i ludziach. Bohater *Innego* czuje się natomiast coraz bardziej zrytowany obcowaniem z bliźniaczymi braćmi i siostrami.

Szczególnie trudna okazuje się relacja z dorosłymi, którzy przejęli jego cechy charakteru i zasady postępowania. Pani z matematyki upierająca się, że jeden plus jeden to jeden. Rodzice awanturujący się, że zupa niesmaczna, skończył się transfer Internetu i że nie znoszą sprzątać. Jak tu się od takich dorosłych czegoś nauczyć, znaleźć w nich oparcie? Jak tu się buntować przeciwko nim, skoro oni już to sami

zrobili? Jak pozwolić samemu sobie na ignorancję czy roszczeniowość, widząc – niczym w lustrzanym odbiciu! – jak bardzo takie zachowania okazują się uciążliwe dla otoczenia? Może pora nauczyć się przyznawać do błędów? A także wyrażać w grzeczniejszy sposób emocje, potrzeby, upodobania? Czy jednak zmiana samego siebie sprawi, że również inni dojrzeją, zweryfikują własną postawę?

W świecie składającym się z samych sobowtórów nieuchronnie musi dojść do stworzenia nowego „ja”, wyróżniającego się z tłumu. Owszem, akt ten zostanie skopiowany przez resztę grupy, jednak każdy i każda dokona go w sposób zindywidualizowany. Sztuka Jarosława Murawskiego mówi o szukaniu własnej tożsamości, tworzeniu jej ponieważ na wzór innych, ponieważ w opozycji do nich, a ponieważ poprzez odkrywanie nowych, odległych od zero-jedynkowych rozwiązań. Pokazuje również, że harmonijna współpraca i rozwój są możliwe nie w zunifikowanym społeczeństwie, lecz wśród ludzi, którzy posiadają różnorodne twarze, ciała, osobowości, doświadczenia, umiejętności i wiedzę, lecz są otwarci na dialog. W takim środowisku możliwe jest wzajemne inspirowanie się, niebędące bezrefleksyjnym naśladownictwem, jak również spieranie się z zachowaniem zasad kultury i szacunku. Spektakl przekazuje te ważne treści w sposób zrozumiały dla młodej publiki, lekki, zabawny oraz daleki od nachalnego dydaktyzmu.

Podziwiam aktorów, którzy potrafią grać dzieci naturalnie, bez przerysowania cech uznawanych za typowe dla młodego wieku czy mówienia przesadnie cienkim głosem. Wydaje mi się to szczególnie trudnym zadaniem w przypadku mężczyzn. Zespół Teatru Ateneum na szczęście posiadał tę sztukę. Mimo wysokiego wzrostu i męskiej urody, już po kilku minutach obecności na scenie Michała Skiby, uwierzyłam, że ma on dziesięć lat, typowe dla tego wieku potrzeby i dylematy oraz że otaczają go rówieśnicy i rówieśniczki.

Na pochwałę zasługuje również prosta, lecz bardzo pomysłowa scenografia Michała Dracza. Wszystkie postacie, poza głównym bohaterem, noszą na twarzach papierowe maski z jego groteskowo uśmiechniętą podobizną. Chłopiec i cała jego klasa są ubrani w granatowe, szkolne mundurki, rodem z PRL, co podkreśla unifikację. Myślę, że efekt zaniku cech indywidualnych wzmocniłby brak podziału na chłopięce bluzy i dziewczęce fartuszki, zwłaszcza w kontekście relacji z Julką, szkoda zatem, że twórcy nie zastosowali takiego rozwiązania. Główny element scenografii stanowią trzy ramy, przypominające lustrzane, które podkreślają konfrontację z własnym wizerunkiem, możliwość przyjrzenia się sobie cudzymi oczami, z różnych perspektyw. Podczas scen rozgrywających się w szkole ramy pełnią funkcję ławek. Natomiast fragmentom rozgrywającym się w pokoju głównego bohatera towarzyszy łóżko, krzesło oraz plakat Spidermana, również mającego jego twarz. Ten prosty zabieg podkreśla, że chociaż pragniemy widzieć w swoich idolach jakąś część siebie, to zależy nam również na tym, by się od nas różnili, posiadali odmienne doświadczenia, umiejętności, strategie rozwiązywania problemów, bo tylko w taki sposób mogą wesprzeć nasz rozwój, zainspirować, pomóc wytyczyć i osiągnąć nowe cele.

Spektakl *Inny* polecam całym rodzinom. Mimo że pokazuje świat z perspektywy małego chłopca, to przekazuje treści ważne dla osób w każdym wieku. Wszak nie tylko dzieci, ale również – a może przede wszystkim – ich rodzice i nauczyciele powinni pamiętać, że różnic można się pięknie. To właśnie indywidualizm oraz jego poszanowanie świadczą o naszym człowieczeństwie. ■

Jarosław Murawski *Inny*
Reżyseria Tomasz Maśląkowski
Teatr Lalki i Aktora Ateneum w Katowicach
Premiera 16 marca 2024

1920. Wenn Fürst und Volk...

Paweł Jazowy to sie lubił chwōlić. Chwōlił sie przed tymi, kierech niy znōł i chwōlił sie przed tymi, co jich już dobrze znōł. Kōždy we wsi pawłowe chwōlōnczki umiōł na pamiyńc, bo przy tym rosprawianiu lubiōł sie tyż fest powtōrzać. Jak jakō lajera, kierō durś wygrywō ta sama melodyjō. Yno niy gupio gōdōł, niy fandzolił czy po czy, ōpowiadōł ō dalekich krajach, wymyślatych maszkietach, trudach życiō i cudach różnistych, kiere widziōł. No, ale kebyście musieni słuchać setny rōs ta samō historyjō, to by sie i Wōm zmierzło.

– A gōdōłech Ci Alois, jak zech musiōł pić woda ze kałuży nad Sommōm? – pytōł sie Paweł.

– Gōdōłżes Paul – ōdpowiadōł Alois Sztorc, chop kiery miyszkōł we polach, trocha dalij ōd wsi, a bliżyj już Wisły, zaś ze Pawłem wracōł co niydziała ze kościōła.

– Tōż już Ci wszyjsko przekłōdōm bo niy dōsz wiary – zaczął Paweł guchy na abszlagi.

Paweł był guchy na abszlagi, ale tyż trocha prziguchawy skuli larma harmatowego. Ōd siyrpnia 1914 roku przez sztyry lata był kanoniyrem we Feld Artillerie Regiment nr 57, tōż miōł prawo gorzij słyszeć. Ku prōwdzie kōždy we wsi, kiery wrōcił ze wojny słuch miōł felerny bes te ciōngle larmo. Ōd harmat, ōgnia zaporowego, huraganowego, fojerwalcōw, abo MGōw ludzie na frōncie gupli, dostōwali jakijś niymocy we łepie, tōż jak kiery yno gorzej słyszōł, to miōł cufala i pierōńskie szczyści. Harasimowy synek sie kolybiōł we przōd i do zadku, Jōzik Franek niy spōł, a ryncie sie mu czynsly keby u nōjwiyńkszygo pijōka, zaś starego Mendzla zarōs ze ōkopu do Rybnika wywiezli. Tōż Paweł miōł prawo sie chwōlić i powtarzać co przeżył, bo beste historyje lepij mu sie robiło, jakoś tak weselij, keby sie mōg wygōdać ıla wlezie i kōmu sie yno dō.

Kōždy, kiery niy znōł łōnczkiego papłōka piyrw ōdwiędzōł izba, kaj Paweł pokōzywōł palcem ōbrōz.

– Wenn Fürst und Volk sind treu vereint, schlägt unser Deutschland jeden Feind! – czytōł na głos wymalowane gotykem słowa na ōbrōzie, kiery wisiōł na ścianie.

– Podziwecie sie jak mie Wiluś napisōł za ta całō moję wojennō udrynka. We podziynce za ōpowōge – gōdōł frechownie i kryncił funs we tym samym czasie.

Kōždy kiwōł łepōm, bo taki ōbrōs we wsi miōł yno ōn. Ku prōwdzie, żōdyn inkszy niy mōg mieć, bo Paweł swōj kri-

gsprajs trocha sōm pozmieniōł. Zetuningowōł. Tam, kaj na ōbrōsku było dōwnij zdjynicie cysōrza Wilhelma II, Paweł wekleił swoji własne ze Francyi, na kierym stoi przy harmacie. Paradny, biōły, kirasjerski mundur pruskigo korpusu gwardyi ze epoletami, fantsznurem i kupōm medali, zamiynił sie na artyleryjski bateldres farby feldgrau Obergefreitera, zaś zōcne i hyrskie wejrzenie ze wielkim funsem stanyło sie uciysznym ze funsikim i ryncami zepritymi na boki. Tak to se Paweł uznōł, że jak już mō mieć geszeft ze Berlina, to musi go mieć po swojemu. Tyn skryty kajzer abo szpaśny Paul miōł we izbie towarzistwo, bo wisiōł zarōz przy papiyrzu. Zdō sie, że Pius X był tyż tukyj niy bes powodu, bo Paweł, jak yno kōńczył kajzerowo ōsprōwka, zaczął chwōlynie aniyłskie skiż drugigo ōbrōska.

– Dejcie wiara, że tu zaś mi sōm papiyrz napisōł, aże keby kiery u nōs we chałpi umrzilł bes namaszczyńiō to i tak mō ōdpust zupełny i bydzie zbawiony na wieki wiekōw amyn – gōdōł, robił znak krzyża i paczōł na wyrch, keby chciōł dojrzeć niybo bes sufit, siano na gōrze i dach.

Pius X miōł pierōńskie szczyści, bo keby Paweł posiadōł jakie zdjynicie, kaj stoi we ministrantowej sutaneli za bajtla, tōż pewnikiem by już było przilepiōne. A tak to nietykalnie i bes lynku ze uniysionōm rynkōm ku błogosławiyństwu wisiōł se przy zakrytym Wilusiu. We pawłowej izbie wisiōł tyż jak w kōzdej łōnczkiej chałpie nad lyżem po strōnie chopskij Jezusek, a babskij Marijka, ale tymi malunkami sie niy chwōlił, tōż kōždy wiedzioł skuli czego tukyj wiszōm. Świynte malunki we izbach łōnczkich chałp były do rykaniō i dziynkowaniō za to co sie mō. Tōż Paweł na kōzłym kroku dziynkowōł jim za rajōm: Pōnbuczkwowi, Jezuskowi, Marijce, Piusowi X i pōru jeszcze świyntym skiż tygo, aże sie nim ōpiykowali bes sztyry lata wojny. Dziynkowōł, aże wrōcił we jednym kusku. A przede wszyjskim żywy, bo ōsiemdziesiyńciu piyńciu inkszych łōnczan takigo cofala niy miōło. Gōdōł, aże umiōł robić śmiyrтка za błōzna, bo jak był małym synkiem to jej rōs uciek spod kosy.

– Siednijcie sie i słuchecie fest pozōrnie, bo drugi rōs niy byda gōdōł – zaczął swoję najdluższō ōsprōwka. Było to kole 1885. Jak zech miōł dziesiyńc lōt, to mie ōjciec wysłōł do ujka Lorynca, kiery sōm miyszkōł przy Pszczynie. Latoś my mieni świnobicie i cza mu było zanieś leberwusztu, pōra żymlōkōw i inkszych wiepszkowych szmakołykōw. Tōż wracōł zech po cimoko, bo mie tam u niygo zeszo trocha, a szel zech bes pola coby pryndziej sie we chałpie pokōzać. Oma gōdali mi żebych niy łaził przy stōwkach, jak sie już cima robi, bo mie jakie mecheche chyci abo utopiec spiere, no ale kiery mody posłuchō starzikōw.

Żōdyn. Hań dōwnij to my sie yno bōli tego szczygōnia Kurzicowego, co wciepōł całō jałōwka do beczi, ale niy wassermanōw. Ze nych to my se yno śmiechy robili abo przeżywali zielōne ōbiboki. Był zech pierōńszczok, ale przy brudkowym stōwku, po drugij strōnie, kaj rosly fest stare wyrzby zobōczył zech takō szpetnō baba, ubranō we biōły mantyl i plyjd, kierō mi padze żebych prziszeł ku niyj bes lōd na wodzie, aże prziszeła na mie pora. Przeżegnōł zech sie ze trzi razy, splunōł bes lewe ramie i gipko uciyk, a ōna mie rykła na kōniec, że i tak mie chyci, a piyrw chyci moję familijō. Spomniōł zech se ta diōbło motyka już po żyniaczce na swojim, chyba ze piytnōście lōt pōźnij. Piyrszego maja ze mojom my wracali furōm ze Zōbrzyga, a szōstego już zech Hadwiga chowōł. Tōż jak nic śmiyrтка mie pōmste robiła. Diōblica – zaciskōł piyńsci i zymby ze złości. Bezma ta samō śmiyrтка ze brudkowego stōwku widziōł Paweł dwa razy już we Francyi. Stōła we mgle fest daleko i cosik gōdała ku niymu ci-

Fot. z kolekcji Tomasza Bieńka



Grupa niemieckich żołnierzy z okresu I wojny światowej w oczekiwaniu na posiłek, o czym świadczą trzymane przez nich otwarte menażki i niezbędniki

cho i niyklarownie. A co jom wypacził, to za kōždym razem we chałpi we Łonce kie-
ryś umiyrōł. Ojciec Jōzef zemrził we 1915,
a drugō baba Francka we 1917 roku. Tōż
pōźnij wolōł juź nikaj w dal niy paczeć.

– *Mōg żech bes tyn stōwek iść ku niyj za
bajtla, to by ōni pawnikiem durś żyli.*

We wsi niy yno ōn widziōł śmiyrka na
wojnie. Kōždy jom spotkōł, słyszōł abo
czuł, ale niy kōždy ō tym wiedziōł. Michoł
Nierzōnd juź we marcu 1915 na ōstatkach
zapōr ze sztacheldrōtu po bojach ō berg
Lorette, kaj ōbwisaly sztapele umarlokōw.
Nymcōw, ale tyż biōłych Francuzōw i ko-
lorowych Negrōw. Jedne bes rynkōw, inksze
bes łepōw abo same kuski miynsa i kości.
Gōdōł, aże z dalyka to widziōł, keby jakō
baba czyrwone prani wieszala na sztachetach,
yno tam kaj wisieć miōły koszule i galoty, to
wisialy ōszkliwe poszarpane ciała.

Zaś Jōzef Stalmach, kiery służył we Fußar-
tillerie Bataillon nr 158 ōpowiadōł, że zimōm
1916 roku na barzōłach Polesia słyszōł babski śpiwy cōłko
noc. A niy była to zwykłō zimowō noc yno takō, kaj ze mro-
zu pynkały rube na ci metry dzewa. Rano, tam skōnd do-
chodziły te piykne melodyje, trefili na dwa plutony ruskie za-
marzniynte na kamiyn. Kōždy synek siedziōł se we ōkopie
blank biōły i kōždy miōł niewinny uśmich na twarzy. Keby
im kto słodkigo bōmbōna dōł na ōstatek abo akurat nucił co
na spani. Bydōki. Tōż człowiek niy wie kaj go śmiyrć spotkō.

I właśnie tymu Paweł swoich historyji niy ōpowiadōł yno
przed tymi, kierzi byli tak jak ōn we Armii Kajzera i tak jak
ōn przesził piykłō wojny. Niy musiōł, bo kōždy miōł prawie
jednakie abo genau te same.

Z tymi siadōł we gospodzie u Brudka, kaj abo szeptali po
niymiecku, abo siedzieli blank cicho, keby makiem zasiōł.
Kōždy spominōł bez słōw swojō cizykō wojennō droga i pił
za tych, kierzi z tyj drogi niy wrōcili. Bez żōdnej gōdki pili
gorzōła. Wszyjscy, jak na byfel z kieluszkim we prawej ryncie.
Yno Michoł Pokorny lewōm, bo prawōm ōstawił pod Verdun.

¹ Kiedy książę i narōd będą wiernie zjednoczeni, nasze Niemcy
pokonajā kōżdego wroga.

1915. Jechōteś na kole, a nazōd na dwōch

Michoł leżōł na trōwie, a na blank modrym niybie widziōł yno
trzi mode myszōłowy, kiere w łufcie krynciły wielki kōła abo
stōły bes ruchu jak we ōbrōsku. Jak jedyn zastygōł, to dwa sie
krynciły, zaś jak dwa sztopowaly, to piyrszy zaczynōł szkry-
flać podniybne aureole. Keby je kto zaprogramowōł do tego
lōtaniō abo szkōlił kajś we skryciu.

Ō takich rōżnistych i dziwackich trefieniōch we dōma
u Michoła sie gōdało, aże sōm wymyslate i cyrkuśne. A gōdała
tak piyrwej jygo ōma Zofija. Kury, kiere niy niōsły jajec były
dycki wymyslatymi, a szpōki co ōbżarły chałpa Kyrzczōw ze
wōpna były zaś cyrkuśne. Tōż terōs na te ptōkowe lōtanie niy
mōg inakszyj we duchu pedzieć jak wymyslate i cyrkuśne
tańcowanie.

– *Genau jak we dōma* – uśmiychnōł sie pod nosym.

Genau jak we dōma było utramyntnie gōdanym zdaniem
Michoła ōd pōru tydni. Jak yno tukyj stanyli we kwiytniu
1915 roku cōłkōm kōmpaniōm, łaził uśmiychniynty ōd ucha
do ucha. Bo ōkolice małej alzackij ōsady Bollwieller pierōn-
sko spōminaly Michołowi jygo ślōnskō Łōnka. Trōwa rosła



Gdzieś za pierwszą linią frontu. Humory dopisują, co widać na tym ewidentnie pozowanym zdjęciu.

tukyj takō samō, woda płynyla po rantach i we strumykach
takō samō, a i luft wōniōł podobnie. Tōż kedy słyszōł ptōka,
to ryczōł, aże jeruna to przeca szkowrōnek gynau jak u nōs we
wsi, kiery piyrszy ślatuje na wiosna juź we fybruarze. Widziōł
wyrzbowe bazie gynsto zarastajōnce kraj rzeki La Thur, to
fandzolił wszyjskim, aże takie pra rosnōm tyż we Łonce, przy
miedzy ōd raszkowickigo lasu ku łōnckij grobli. We kōmpa-
niji znōli wszyjscy Michoła aus Lonkau, ale juź po leku znōli
tyż michołowōm wieś, bo ōpowieści niy było kōńca.

– *Herr Oberjäger, erzählen Sie mir von der Grenze am Fluss* –
prosił za kōżdym razem mody szczylec Otto Normann, z kie-
rym łōnczan łaził na spōłne patrole. A Michoł gōdōł durś to
samo i tak samo, zaś Niymiec słuchōł ze takim sōmym sku-
piyniem. Jedyn spōminōł i gōdōł coby niy myśleć ō wojnie,
a drugi tego słuchōł, coby tyż za duzo niy głōwkować ō tym,
kaj je. Takō antywojennō terapija cuzamen do kupy.

Oberjäger Michael Czervinski, kapral kōmpaniji rowero-
wej, we kierej nōjwōżniyszym było umiyc dobrze szczyłać
i jeszcze lepij rajzować na kole, ōpowiadōł swojemu wojkowi
ō Łonce ze wylkōm frajdōm i jeszcze wyynkszōm fantazyjōm.
A gōdōł co mu yno na jynzyk ślina ciepła i co se spōmniōł.
Piyrw ō rzece Wiśle i granicy, kierō podzieliła jednakich ludzi
genau jak tukyj rzeka Ren. Ślōnzoki we Nymcach, sześ me-
trōw wody, a po drugij Ślōnzoki – Cesaroki ze Austro–Wyn-
gier. Byli sōmsiōdami, kierzy rōs se fest przōli, a inkszym ra-
zym wadzili ō kōždy kusek miedzy. A wadzić sie było ō co, bo
rzeka swoji koryto zmiyniała dōwniej bezma kōżdej wiosny,
dodajōnc pōra metrōw zymi jednym abo drugim.

– *Genau jak we ōkopach synek, żōdnygo ordnundu, yno u nōs
rychtowala to woda, a tukyj artyleryjō tłucze sie jak złe piwo
we brzuchu* – dodawōł ze powōgōm na twarzy, coby modzik
sie niy rozmarził za wiele przy tym rosprowianiu.

Na drugō strōna ze wsi można sie było piyrw nōjgipcej
dostać nō barkōm, kierōm szterowōł wolny ōd roboty dla
ksiynia pszczińskiego chop ō mianie Przewoźnik. Gōdali
we wsi, że dōwno tymu te Przewoźniki ōstoły frajszolcyna-
mi za wyretowani gipko i po cichu fest wōżnygo posła cze-
skigo, kiery tukyj musiōł sie stracić, coby po głōwnych trak-
tach żōdyn go nie spotkōł. Otto zaś, kiery w życiu widziōł
yno kusek drogi do roboty na grubie Kruppa ze swoij Kap-
peskolonie we Bochun, słuchōł ze ōtwartym pyskiem i kryn-
cił łepōm we prawo i lewo z niywiarōm. Ślōnsky raubitierzy
goniōncy czeskich ponōw na wyngierskij w tyn czōs ziemi
pszczińskiej tōż miszōng i bery bojki, kiere cizykō modymu
synkowi było połapać. Prōwdziwe historyje, a keby naszkry-
flane we jakim marchenbuchu.

Dalij Łōnczan gōdōł tyż ō grencauzerach ze wsi, kie-
rych koprchy żarły po nocy we krzōkach przy rzece, bo



Tak zwana „armata gulaszowa”, czyli kuchnia polowa. Amatorska fotografia wykonana przez jakiegoś żołnierza z niemieckiej armii lat 1914-1918

musiyni wachtować granicy przed przemytnikami. Te jich dōwne wachty spōminały jednako te tukyjsze: cima, zima i wszyndzie woda. Yno we Łōnce po ciyżkim dienscie kōzdy wracōł do chałpy i familiji, a tukyj do zaśmiyrdniyntych lepianek, kaj babe i dziecka można było se yno na zdjynćiu ōbōczyć abo we śnie.

– *U nōs same pōmpōnie wysrani jak prusko rzić, tōż ōni tu na szmugiel lōtali, a cało wieś spać niy mogła, jak sie szczyłali miyndzy sobōm. Spać tyż niy mōg stary Gruszka, kiery miyszkōł blisko wody. Yno niy ōd larma flintowego, a wielości wypitej gorzoły. Jak naprany szpacyrowōł przy rzecie, to go sztrażnicy bes pomyłka poszczylili. Do kōńca życiō fandzolił, że po cimoku piechty łażenie to diōbła kuszyni, ale gorzołę pił durś, bo yno takō jej wielość we krwi bezma go uretowala. Toż pōznij chopy we wsi tyn gorzōlkowy zwyk wzieni na powōge, a baby na zgorszyni. Coby niy było, to przeca wojaczka i gorzōłka majōm sie ku sōbie – spōminōł głośno.*

Zaś na kōniec ōpowiadōł, jak na drugo strōna Wisły mostem we Goczōlkowicach przejeżdżōł na swoim nowiutkim kole marki Seidel&Neumann w kōzdo sobota na tańce wyprawiane przez Koło Macierzy we Zōbrzygu. Wyrychtowany, wōniajōncy, ze akuratnie wypucowanōm nawet ketōm i błyszczōncymi już z fest daleka szpajchami.

– *Na zajdlu bił zech rekordy pryntkości bes tyn most cudōw – chwōlił sie dumny jak pōw. Most cudōw niy ōd cudōw lycznicznych, czy inkszych śwyntnych przypōdkōw ōzdrowiyn miōł taki miano we Łōnce, yno prawie bes rajzowani po nim na kole. Bo w Łōnce koło niy było ani polskim rowerem, ani niemieckim Fahrrad, yno akurat kołem. We cysarskim Zōbrzygu gōdało sie jak u Polōków, tōż jak Michōł przejeżdżōł bes granica na lōnckim kole, to wracōł na polskim rowerze.*

– *Jechōłēs na kole, a nazod na dwōch – śmiōł sie za kōzdy razym niy wiadomo, czy bardzij ze swojij historyji, czy ze Otta, kiery nic niy kapowōł, a jedyne co spaniyntywōł z cōłkiej tyj gōdki to wielość wypiedzianego słowa koło. Rachowōł Niymiec we łepie, że koło, kiere mō dwa koła, tōż to razym czy koła, a niy dwa. Nic jymu tu niy paśiło. Ciyżki jynzykowy wic yno na ślōnski rozum.*

Michōł fest lubiōł te patrole po ōkolice. Ze modym Ottem, kieremu sie gymba niy zawiyała ōd ciōngłych pytań abo sōm jak palyc rajzowōł na kole, abo łaził piechty. Podziwiōł w tyn czas alzackie landszafty pełne już piyrszych przepowiedzi wiosny. Chociōż na topach Wogezōw czymōł sie durś śniyg, to tukyj ōszkliwa zima straciła sie jak kamiyn we wodzie. Bes to w duchu bliżyj mu było ku lōnckij chałpie, a i może bliżyj ku kōńcowi woj-

ny. Takōm miōł nadzieje. Tyrōs chociōż miōł nadzieja, bo dwa miysiōnce wcześnij był bes żōdnej wiary, że udō mu sie wylys z tygo żywym. We śniygu po kolana, we sakramenckim mrozie, rōs na kole abo piechty ze cōłkim regimentem zdo-bywōł, abo na zmiana brōnił bergu Hartmannsweilerkopf.

Lubiōł patrole, ale jeszcze bardzij lubiōł wachty we krzōkach, genau jak lōnczy grencauzerzy przy Wiśle. Siedziōł po cichu i wachowōł, keby żōdyn francuski szczylec niy wywōniōł piyrszy sztelnungōw i pōzycyi wojsk niemieckich, a jak już by fuksem abo dziwackim trefem wywōniōł, to coby było to jygo ōstatnim w życiu co zōbōczy. Spōminōł se w tyn czas, jak za bajtla zakopywōł sie w kopie siana przed braćmi i choby pierōn po pierōnie żōdyn go znōłēs niy umiōł. Niy ruszōł sie do cimoka, a pōznij fest hyrski ze swojij niywidzialnej skrytki wracōł do dōm. Genau jak tyrōs. Yno

bes siana, a w gynstych krzōkach siby, kierō

już zaczyna puszczać piyrsze pōnki krył sie w besruchu. We ciymnozielōnym wojskowym mantlu, kiery ze przodku i po kapsach miōł czerwōnōm lamōwke maklemburdzich jagrōw, ślywōł sie perfekt ze bordowymi gałyziami i ziyłonymi pōnkami. Siba robiła tukyj wyborby tarnung. Siedziōł tak blank cicho i ōglōndōł. A hań kole, kokot fazan co rusz przistōwōł, dźwigōł na sztorc wszyjskie piōra i głośno ryczōł ko–koro, fazanowo kura zaś yno szkrobała we ziymy, niemrawa na te jygo mynskie podchody. Ale kogut uparty jak ōsiōł, nie dōwōł za wygranōm. Dalij swoje jak we transie. Jedyn paradnie pokōzywōł wszyjskie swoji atuty, a drugi udawōł, że mō to kajś. Prōwdziwe zolyty.

Do rantu pełnygo wody po ōstatnim dyszczu śleciały sie tyż czōrne jak tera kosy, wyposzczōne po zimie i spragnione niy tak kōmpieli, keby tustych glist, kiere po dyszczu piyrszy rōs zaczynny wylazić niemrawo ze ziyymi. Kosy wadziły sie przy tym głośno i kradły jedna drugij co lepsze kuski. Wybuchła bes to małō ptasiō wojna, kieriej z wyirchu, ze wysokiej topoli przyglōndała sie sōjka. Kosowe larmo szterowalo jōm podarymnie, a przeca to ōna była ōd larma w lesie, alarmōw ō niybespiycznystwie i głośnych dźwiynkōw. Toż na te haje zaczyna tyż swoje gwizdy, coby cōłko ōkolica wiedziōła, że tukyj sie ōdprawiō diōbelskie harce.

Twardy jak skała i zaprawiony we wojaczce Oberjäger Michal Czervinski aus Lonkau ze uśmiychem na gymbie i płaczkami we ōczach ōglōndōł te cuda przyrody, a widziōł to wszyjsko akuratnie i ze nōjmyńszymi ōsobliwōściami. Przeca umiōł siedzieć cicho. Widziōł wszyjsko, yno niy wycelowanōm we siebie z dalyka francuskōm gywere Berthier model Tonquinos, kieriej głośny szczał przegōnił i kosy, i sōjke, i fazany. Te ōstatnie niskim flugiem uciekły robić zolyty kajś indyzy. Woda we rancie stōła w bezruchu, a pōra glist uszło z życiem. Sōjka niy dōła rady za wczas ōstrzec ōkolicy, bo sama poleciała gipko w bespiyczne miyjsce.

Tyrōs Michōł leżōł yno na trōwie i pacził we niybo na mode myszōłowy, kiere w lufcie tańcowały abo gōniły sie w berka niypōmne na szczyły karabinowe. Niypōmne na świyże dziury po artyleryjskich salwach pełne dymu i wody, na ryki i stynkaniō wojokōw wołajōncych swoji baby, matki i Pōnbōczka litościwego, na całe te ludzki, żōdnymu niepotrzebne utarczki.

Myszōłowy lōtały keby ōczarowane, cyrkuśne i wymyślate bo ze inkszego, lepszego świata.

– *Cōłkie szczyści, że tukej je genau jak w dōma – pomyślōł i zemrził.*

„Śląsk” jeleniogórski (od marca 1946 do lipca 1948)

HENRYK GRATKOWSKI

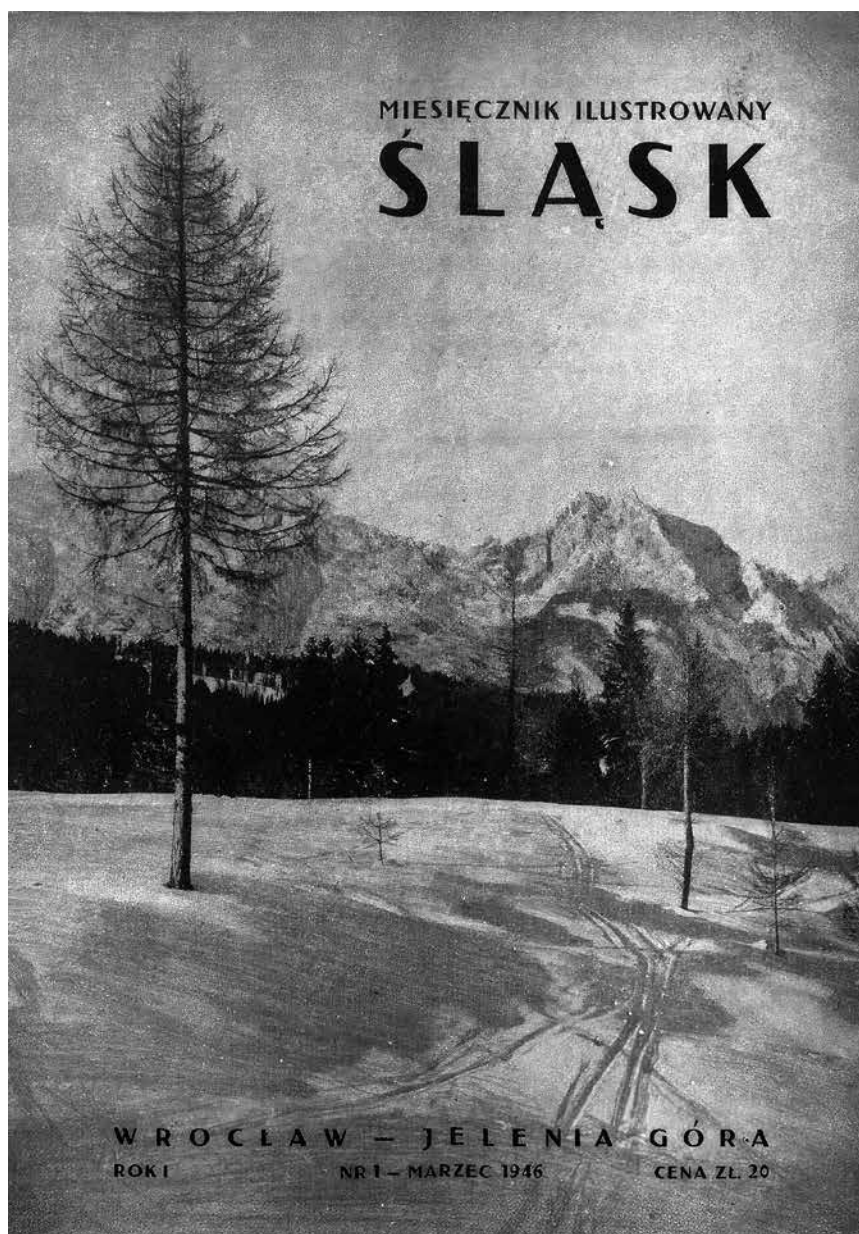
Jak wyeksponowałem to w tytule szkicu, od marca 1946 do lipca 1948 r. wychodziło w Jeleniej Górze, choć w metryczce redakcyjnej zawierało także adres wrocławski, pismo „Śląsk” pod tą samą redakcją naczelną, co „Nauka i Sztuka”¹. Redaktorem działu literackiego był prezes Jeleniogórskiego Oddziału ZZLP Edward Kozikowski. W składzie redakcji znajdowali się także Kazimierz Majewski, archeolog z Wrocławia oraz Ludwik Skórzak, specjalista z zakresu kultury Orientu, obaj związani zawodowo z Uniwersytetem Wrocławskim. Pełna nazwa pisma brzmiała: „Śląsk. Miesięcznik Ilustrowany” (dalej stosuję oznaczenie ŚMI).

Współpracownikami tego „Śląska” (na potrzeby niniejszego szkicu możemy poczynić uwagę, że to taki „Śląsk” przed naszym współczesnym „Śląskiem”) było szerokie spektrum naukowców, polityków, działaczy kultury, pisarzy, poetów. Wśród badaczy – historyków, językoznawców, historyków literatury – wymienić należy (poza redaktorem naczelnym – Stefanem Kuczyńskim), Stanisława Kulczyńskiego, Tadeusza Mikulskiego, Witolda Taszyckiego, Stanisława Kolbuszewskiego, Stanisława Rosponda, a spośród pisarzy i krytyków – Jana Sztudyngera, Edwarda Kozikowskiego, Wacława Mrozowskiego, Wojciecha Dzieduszyckiego, Jana Nepomucena Millera. Publikowali tu też tacy autorzy, jak: Janina Ender, Roman Grodecki, Zdzisław Gierowski, Julian Lewański, Krystyna Sieradzka, Kazimierz Piwowski, Karol Stojanowski, Anna Strzelecka, Karol Maleczyński, Alfons Szyperski.

Przegląd treści wybranych numerów pisma da pojęcie, nieco subiektywne – jak każdy przegląd o rozmiarach mikroskopijnych wobec przedsięwzięć monograficznych, o jego problematyce, randze naukowej i publicystycznej. Numer pierwszy (1/1946), marcowy, zawierał następujący zestaw artykułów: Anny Kutrzebianki *Źródła i charakter kultury wsi śląskiej*, S. Kuczyńskiego *Bitwa pod Legnicą*, T. Mikulskiego *Pod złotą gęsią* (o pobycie Słowackiego we Wrocławiu; szkic wielokrotnie przedrukowywany), K. Piwowskiego *O polskości Śląska na lewym brzegu Odry w czasach nowszych*, W. Taszyckiego *Śladami języka polskiego na Śląsku*. Treść numeru dopełniał dział zatytułowany *Postacie śląskie*, w którym zaprezentowano Świętą Jadwigę Śląską

(tekst Anny Strzeleckiej) oraz Jerzego Samuela Bandkiego (artykuł pióra Heleny Waniczkówny). Ilustracje w tym numerze pojawiały się sporadycznie, w zasadzie tylko w tekście Kutrzebianki, były to: szkice przedstawiające dziewczynkę w stroju ludowym z powiatu dobrodzieńskiego, kościółki i chaty drewniane, dom z bali z terenów południowej Polski i Dolnego Śląska, podpisane dwoma nazwiskami „według Wasylewskiego”, „według Klappera” (dzięki zamieszczonej na końcu bibliografii „Ważniejsza literatura”, bez trudu dodajemy Wasy-

lewskiemu imię Stanisław, a Klappero- wi Joseph; źródła to publikacje z okresu przedwojennego). W materiale ilustracyjnym domykającym treść numeru, redakcja usiłowała pogodzić trybut płacony państwowemu mecenasowi z interesem regionu, z wykazaniem, że to tereny atrakcyjne pod względem wypoczynkowym i rehabilitacyjnym: materiał umieszczony pod zachętą do odwiedzania uzdrowisk dolnośląskich, zdrojów, stacji klimatycznych i charakterystycznych dla okresu powojennego sanatoriów przeciwgruźliczych, zapowiedzia-



ny na pierwszej stronie jako „Korcza-
wo (pow. jeleniogórski), ośrodek wypo-
czynkowy Prezydium Rady Ministrów”,
opatrzone zostały zdjęciami i sprawozda-
niem z pobytu w tym ośrodku marszał-
ka Michała Roli-Żymierskiego.

W podwójnym numerze 3–4 (maj-
czerwiec 1946) znalazły się wspomnie-
nia prof. Stanisława Kuczyńskiego (rek-
tora Uniwersytetu i Politechniki Wro-
cławskiej) *Dzień 10–11 maja we Wrocławiu*,
esej Bolesława Olszewicza *Wertując
stare książki i mapy* (o polskości Śląska),
część druga artykułu Witolda Taszyckiego
Śladami języka polskiego na Śląsku, z ko-
lei Tadeusz Mikulski kontynuował cykl
Spotkań wrocławskich, tym razem po-
święcając uwagę Wincentemu Polowi.
W tym numerze pojawiły się dwa boga-
to ilustrowane artykuły historyka Karo-
la Maleczyńskiego *O polskiej myśli histo-
rycznej i historykach polskich na Śląsku*
oraz wybitnego językoznawcy Stanisława
Rosponda *Bezcenna ojczysta księga Ślą-
ska* (to metaforyczne określenie spisu
nazw geograficznych, tekst skrzy się od
anegdota² z zakresu onomastyki lokal-
nej). W cyklu zaś *Postaci śląskich* został
przedstawiony przez Andrzeja Jochelso-
na Nankier (własc. Jan Kolda herbu Ok-
sza, pochodzący z Kamienia na Brynicą,
dzisiejszej dzielnicy Piekar Śląskich), bi-
skup krakowski (1320–1326) i wrocław-
ski (1326–1341). Wprowadzono też do
pisma dział *Kronika*, z którego warto od-
notować wybrane wiadomości o teatrze
jeleniogórskim. Podano tu rejestr sztuk
wystawionych od początku funkcjonowa-
nia tej placówki oraz skład trzydzie-
stoczteroosobowego zespołu aktorskie-
go. Znaleźli się w tym gronie znakomici
artyści i twórcy, a wśród nich Stanisław
Bryliński, Kazimierz Dejmek, Stefania
Domańska, Adam Hanuszkiewicz, Igna-
cy Machowski, Stanisław Tubielewicz, Je-
rzy Walden (dyrektor teatru). Kierow-
nictwo literackie spoczywało w rękach
Edwarda Kozikowskiego, a kierowni-
kiem muzycznym był Adam Markie-
wicz. Widzimy w tej trupie późniejsze
gwiazdy pierwszej wielkości aktorstwa,
reżyserii i dyrektorowania w teatrach.

W numerze 5–6 (lipiec-sierpień 1946)
tekst o *Najstarszych zabytkach polskich
we Wrocławiu* napisała Maria Majewska,
o *Osadniczej działalności chłopów śląskich
w 16 wieku* – Franciszek Kącki, z kolei
prof. prof. S. Kolbuszewski i T. Mikul-
ski przybliżyli czytelnikom osobowo-
ści dwóch Polaków związanych ze Ślą-
skiem: ks. Andrzeja Gałkę z Dobczyna
i Felicjana Faleńskiego. W cyklu *Posta-
ci śląskich* zostali zaprezentowani: Brat
Benedykt, średniowieczny franciszkanin
z Wrocławia, zwany (zgodnie z pocho-
dzeniem) Polakiem, oraz dziewiętnasto-
wieczny kapłan i znawca pszczelarstwa
ks. Jan Dzierżon. Ten pierwszy, to czło-
nek papieskiego poselstwa do chana ta-
tarskiego, gwardian klasztoru franciszka-

nów w Krakowie i jeden z postulatorów
kanonizacji św. Stanisława, a być może
uczestnik ogłoszenia tego aktu „uznania
świętości” w Asyżu w 1253 r. W tym nu-
merze pojawiły się też wypowiedzi eks-
ponujące polonika śląskie w literaturze,
nazewnictwie i – szerzej – w języku. To
prace: Ludwika Łakomego *Skąd pocho-
dzi nazwa „Śląsk”? Zdzisława Hierow-
skiego Drogi literatury śląskiej*, Alfonsa
Szyperskiego *Jeszcze o chrztałach topogra-
ficznych*. Hierowski omówił syntetycz-
nie wkład polskiej literatury do wiedzy
o dziejach Śląska od początków XIX
wieku do powstania II Rzeczypospolitej.
Padły takie nazwiska wybitnych działa-
czy, jak: Józef Lompa, Paweł Stalmach,
Karol Miarka, pisarzy – talentów samo-
rodnych, jak Jan Kubisz, Jerzy Probosz,
Walenty Krzyszczyk, Jan Jakub Kowalczyk,
Emanuel Imiela. Pochód zamyka pre-
zentacja znakomitego prozaika Śląska
– Gustawa Morcinka oraz przedwojen-
nych poetów – Pawła Kubisza, Edmun-
da Osmańczyka, Wilhelma Szewczyka
i Jana Baranowicza.

Numer 10 z grudnia 1946 r. zawierał
m.in. artykuł Jana Reychmana *Polski po-
emat o Sudetach i Dolnym Śląsku z połowy
19 wieku*, którego to poematu autorem
był Bogusz Zygmunt Stęczyński (1814–
1890)³. W tekście zamieszczono obszer-
ne fragmenty tego nieogłoszonego dru-
kiem poematu, odnalezionego jako frag-
mentu depozytu złożonego w Muzeum
Tatrzańskim przez Witolda H. Paryskie-
go⁴ wśród pamiątek po zmarłym w 1936
r. badaczu Tatr i Podhala, malarzu i au-
torze przewodnika po Tatrach, Stanisła-
wie Eliaszu Radzikowskim. Przytoczmy
zatem za autorem fragmenty bezpośred-
nio odnoszące się do regionu jeleniogór-
skiego. Czytamy więc o zamku Chojnik
(modernizując tu interpunkcję i ujedno-
licam system wielkich liter):

*Tu książę Bolko Pierwszy, gdy niegdyś
polował,
Strudzony, w leśniczego domku zanocował,
A za podany chętnie z mlekiem kawał chleba,
Uznawszy, że nowego mieszkania tu trzeba,
Wymurował obszernie ten zamek wysoki,
Który i teraz jeszcze rozdziera obłoki...*

O samej Jeleniej Górze i pobliskich
Cieplicach znajdujemy taki passus:

*Była tu głucha cisza, same tylko lasy,
W których Bolesław Pierwszy, król polski
polował,
Po zaroślach i bagnach najczęściej bobrował
I strzelił do jelenie, a jeleni zraniony,
By ocalić swe życie, uszedł w dalsze strony.
A król, pędząc za śladem, w nieznanej
przypadzie
Zobaczył leżącego jelenia na wodzie,
Który, mocząc swą ranę, by się zagoiła,
Lecz strzała w ciężkiej ranie głęboko utkwiała,
Osłabiony, nie mogąc się wydobyć, chciwie
Poglądał na mordercę swego litościwie.*

*A król polski, uczuwszy ciężkie swe sumienie,
Zadumał się boleśnie, że biedne stworzenie
Czyniło mu wyrzuty, iż – panując czynnie –
Wygubiał owo plemię żyjące niewinnie.
Zbliżając się do niego przez moczary lśniące,
Odkrył pełny radości te źródła bijące.*

[ŚMI, 1946, nr 10, s. 4]

W tymże numerze „Śląska” znalazł
się też obszernie omówienie losów le-
gendarnego szesnastowiecznego ry-
cerza, obrońcy polskości na dalekich
południowo-wschodnich kresach oj-
czyzny, starosty w Barze i Trembowli,
który karierę rozpoczął na dworze
króla Zygmunta Starego, był także za-
ufanym królowej Bony, namawiał stany
śląskie do przyłączenia się do Korony
Królestwa Polskiego. Władysław Pocię-
cha w tekście *Śląski bohater Bernard
Pretwicz*, opatrzonym mottem z *Kro-
niki polskiej* Marcina Bielskiego: „Pa-
mięci od nas wszech Polaków godny”,
pisał m.in.: „Już z końcem XVI w. krą-
żyły różne legendy o Bernardzie Pre-
twiczu. Opowiadano o nim, że stoczył
70. zwycięskich bitew z Tatarami, na-
zywano go «murem ziem podolskich»,
«biczem i postrachem Tatarów», po-
równywano go z Achillesem, Attyłą,
Hannibalem.” [ŚMI, 1946, nr 10, s. 12]
Artykuł został opatrzony 25. przypisa-
mi i bibliografią zawierającą 13 pozycji,
w tym także z literatury obcej (ro-
syjskiej i niemieckiej). Rycerz Bernard
Pretwicz (ur. ok. 1500 na Śląsku, zm.
w 1563 w Trembowli), herbu Wczele.
Tym samym herbem ozdobił Henryk
Sienkiewicz swego Zagłobę z *Trylogii*.

W numerze 2–3 z maja-czerwca 1947
r. znalazł się artykuł dra nauk medyc-
nych, pisarza, tłumacza, a co istotne,
stałego mieszkańca stolicy Karkonoszy
– Jerzego Kolankowskiego pt. *Wpływ
Wita Stwosza na średniowieczną rzeźbę
śląską*, ilustrowany fotografiami dwu
rzeźb z końca XV wieku zdobiących
zabytki dolnośląskie („Tryptyk świni-
nicki” i „Ołtarz skrzydłowy z kościoła
Bożego Ciała we Wrocławiu”). Poza
tym cały numer był poświęcony został
sprawom gospodarczym (tu m.in. ar-
tykuł Krzysztofa Jeżowskiego *Przemysł
Dolnego Śląska*) oraz administracyj-
nym. Znajdujemy tu prezentację orga-
nizacji Urzędu Wojewódzkiego i kró-
kie sprawozdania poszczególnych refe-
ratów funkcjonujących w wydziałach
tegoż urzędu. Warto przytoczyć frag-
ment o dokonaniach *Referatu Literac-
kiego*: „Na terenie Dolnego Śląska znaj-
duje się Oddział Związku Zawodowe-
go Literatów Polskich w Jeleniej Gó-
rze. Liczy on 15 członków, wśród nich
wielu wybitnych literatów [...]. Obok
Związku istnieje w Jeleniej Górze Klub
Literacki, który jako komórka organi-
zacyjna Oddz. Dolnośl. Zw. Zaw. Lit.
Pol. urządza odczyty, wieczory autor-
skie⁵ i zebrania dyskusyjne, nawiązuje

kontakty z młodzieżą szkolną, udziale opieki i poparcia młodym literatom” [ŚMI, 1947, nr 2–3, s. 2].

W tymże numerze pisma, w cyklu *Postacie śląskie*, Helena Waniczkówna przedstawiła biogram dra nauk medycznych Józefa Rostka (1859–1929), działacza społecznego i animatora polskiego ruchu narodowego na Śląsku.

W numerze 4–5 (lipiec-sierpień) z 1947 r. czytelnika humanistę z pewnością zainteresują przynajmniej dwa teksty: bogato ilustrowany (aczkolwiek nadal monochromatycznie, jedynie okładka, na której wydrukowano cztery herby największych miast Śląska: Wrocławia, Legnicy, Świdnicy i Opola była wielobarwna): *Zarys historii gotyckiego malarstwa książkowego na Śląsku* Hanny Pieńkowskiej oraz szkic historyczny *Piastowie na Śląsku* pióra dra Tadeusza Przypkowskiego – znanego później historyka sztuki, jednego z najwybitniejszych w światowej skali gnomoników (znawców i konstruktorów zegarów słonecznych), urodzonego i osiadłego w słynnym Jędrzejowie. Cenzus naukowy potwierdził habilitację w Polskiej Akademii Nauk.

Ostatni prezentowany tu numer „Śląska” ma spektakularny charakter, gdyż zawiera materiały związane z Walnym Zjazdem delegatów Związku Zawodowego Literatów Polskich we Wrocławiu w dniach 17–19 listopada 1947 r. Znalazły się tu utwory literackie uczestników oraz charakterystyki życia literackiego na Dolnym Śląsku. Z zamieszczonych tekstów poetyckich wymienimy wiersze Edwarda Kozikowskiego (Jelenia Góra) – *„Śląsk” mi się rzekło...* oraz *Carpaccio*, Jana Sztaudyngera (Szklarska Poręba) – *Kapela, Maćkowa gruszo... i W zaczarowanych dolinach...*, Wacława Mrozowskiego (Wałbrzych) – *Wspomnienie i Nocą na Chełmcu*, a z fragmentów prozy: *Brat Anny Kowalskiej* (Wrocław), *Odwrot Wojciecha Żukrowskiego* (Wrocław), *O chłopcach i o Jezusku Frasobliwym...* Pawła Szumilasa (Wałbrzych), *Dwa kręgi piekła* Stefana Łosia (Wrocław), *Czworonożny królewicz* Aleksandra Szury (Wrocław), *Odarpi zabija morsa* Aliny i Czesława Centkiewiczów (Jelenia Góra). Z eseistyki zamieszczono opowiesć Tadeusza Mikulskiego o Klementynie z Tańskich Hoffmanowej i jej związkach z Wrocławiem (*U ciotek wrocławskich*). Numer dopełniły informacje syntetyczne: o ruchu literackim – autorstwa Juliana Lewańskiego, o *Wrocławskim sezonie teatralnym* 1946 oraz o *Muzyce we Wrocławiu* – Wojciecha Dzieduszyckiego, o warsztatach plastyków wrocławskich – Tadeusza Lutogniewskiego, o pracy wrocławskiej rozgłośni Polskiego Radia – Tadeusza Banasia.

Trwający dwa i pół roku okres wydawania jeleniogórskiego „Śląska. Mie-

siężnika Ilustrowanego” zaowocował ponad 130 artykułami (łącznie ok. 600 stron), poświęconymi sprawom historii oraz współczesności tych ziem. Tematy historyczne odnosiły się głównie do piastowskiej proveniencji regionu oraz do pobytu w nim wybitnych Polaków. Opisano więc obecność u wód i w Karkonoszach – m.in. Marysieńki Sobieskiej, Fryderyka Chopina, Kornela Ujejskiego, Wincentego Spala, Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, Juliusza Słowackiego. Tematy współczesne dotyczyły żywotnych kwestii gospodarczych, w tym – w szczególności – odbudowy kraju, wznawiania działalności zakładów przemysłowych, rolnictwa, organizacji służby zdrowia i uzdrowisk, rozwijającego się od podstaw życia kulturalnego, sportu i turystyki. Bogaty też był dział literacki, wypełniony głównie pracami członków tutejszego oddziału Związku Literatów Polskich. Zjazd delegatów ZLP we Wrocławiu (1947 r.) uczyniono numerem specjalnym.

Nie oznacza to, że w regionach – jeleniogórskim, lwóweckim, lubańskim, zgorzeleckim – nie pojawiały się jeszcze inne inicjatywy wydawnicze. Funkcjonowały tu, zazwyczaj inspirowane przez nowe władze tych powiatów, tygodniki lub dwutygodniki. Ale miejscem wydawania tej prasy była z zasady stolica województwa (RSW „Prasa” Wrocław), natomiast materiału dostarczali korespondenci miejscowi. Tak więc do połowy lat pięćdziesiątych funkcjonowały okresowo takie pisma, jak: „Głos Jeleniogórski”, „Gazeta Lubańska”, „Echo Bolesławieckie”. Efemeryda było pismo tygodniowe „Znad Kwisy”, wydawane staraniem władz miejskich Gryfowa Śląskiego. Problematyka tych pism odpowiadała potrzebom życia codziennego reprezentowanych ziem. Poza standardowymi informacjami o sprawach gospodarczych, kulturze, oświacie i sporcie gazety zawierały blok informacji politycznych – ogólnokrajowych i wojewódzkich, podawanych zgodnie z obowiązującą linią „utrwalania władzy ludowej”, jakkolwiek dopuszczano i teksty polemiczne, ale tylko dotyczące spraw regionalnych.

Społeczeństwo miasta i powiaty Jeleniej Góry wciąż myślało o własnym magazynie tygodniowym, niezależnym, także finansowo, od Wrocławia. realne warunki do realizacji tego zamierzenia wystąpiły dopiero po odwilży 1956 roku. Na rok 1958 przypadły uroczystości 850-lecia stolicy Karkonoszy. Wówczas to (3 kwietnia) ukazał się pierwszy numer wychodzącego do dziś⁶ tygodnika „Nowiny Jeleniogórskie”.

Przypisy

1 Miesięcznik „Nauka i Sztuka” redagowali prof. prof. Julian Krzyżanowski (znakomity historyk literatury pol-

skiej, folklorysta, badacz kultury ludowej, autor monografii i edytor) i Stefan Maria Kuczyński (historyk, mediewista, wybitny znawca epoki Jagiellonów i autor powieści historycznych, także dla młodzieży). Pismo ukazywało się, jako jedno z pierwszych po wojnie czasopism naukowych, od października 1945 do września 1948 r. Rzecz interesująca, zeszyt pierwszy, październikowy nosił numer 7. Szkic ten jest zmienioną i rozszerzoną wersją fragmentu obszerniejszej całości: H. Gratkowski: *Ruch wydawniczy i literacki w regionie jeleniogórskim (1945–1960)*. W: *Media w regionach – regiony w mediach*. Red. M. Ursel, A. Woźny. Jelenia Góra 2013, s. 243–271).

2 Prof. Rospod relacjonuje przykłady podane przez Edmunda Osmańczyka w „Dzienniku Polskim”, m.in. o trzykrotnej zmianie i trzykrotnych bałmutnych uzasadnieniach tych zmian nazwy miejscowości Kędzierzyn (przywołuję tu jeden tylko wariant): „Otnp. sprawa Kędzierzyna (między Raciborzem a Opolem) ochrzczonego na Kandrzin. W podręcznikach szkolnych niemieckich spłodzono następującą bajeczkę o germańskim pochodzeniu nazwy: «Ludzie na widok pierwszej kolei żelaznej, biegnącej z Opola do Raciborza, widząc parowóz bez koni zawołali: 'kann der ziehen!', a pasażerowie słysząc to, nazwali miejscowość Kandrzin», a niejeden mały Kędziora, o kędzierzawych, jasnych włosach musiał słuchać tych wypocin niemieckiego nauczyciela.” (ŚMI, 1946, nr 3/4, s. 28–29).

3 Zob. biogram pióra Stanisława W. Wiśniewskiego „Polski Słownik Biograficzny” (Kraków 2006, t. 43/4, z. 179).

4 Zofia Radwańska-Paryska i Witold Henryk Paryski są m.in. autorami wielokrotnie wznawianej *Wielkiej encyklopedii tatrzańskiej*, ich wspólna mogiła znajduje się na Cmentarzu Zasłużonych na Pęksowym Brzysku w Zakopanem.

5 W innym numerze w sprawozdaniu *Życie Literackie w Powiecie Jeleniogórskim* znajdujemy taki zapis: „W tym czasie powstaje w Jeleniej Górze Klub Literacki, który zajmuje się organizowaniem odczytów i wieczorów literackich. Przez zaiszną Salę Konferencyjną Teatru Miejskiego w Jeleniej Górze przewinęli się w okresie kilku miesięcy w charakterze prelegentów literaci i uczeni: Jerzy Andrzejewski, Marian Ruth Buczkowski, Paulina Czernicka, prof. Konrad Górski, Alicja Iwańska, Stanisław Kaszycki, Jerzy Kolankowski, prof. Stefan Kuczyński, Ludwik Łakomy, prof. Tadeusz Mikulski, prof. Zygmunt Mysłakowski, prof. Bolesław Olszewicz, Stefania Podhorska-Okołów, Wilhelm Szewczyk, red. Kazimierz Wyka i inni.” [ŚMI, 1947, nr 10. s. 62]

To bies jada? Tobie zjada? Tobie siada?

JERZY PASZEK

Odpowiedzią na te dziwne, niespodziewane i nieco niesamowite pytania jest pewnie stwierdzenie: TO BIESIADA! Ale czy na pewno? U czytelnika grubej powieści Vladimira Nabokova *Ada albo Żar* (*Ada or Ardor*) mogłaby tak samo dobrze powstać sugestia inna, a mianowicie taka: TO BIES I ADA! Bo wszak sam autor łączy tytułową Adę z piekłem („ad” po rosyjsku), a w angielskim imieniu Bess dostrzega diabełkę – „biesa”. Moje pomysły pięciokrotnego (bo jeszcze może zaistnieć fraza: TO BIESI [się] ADA) zrekonstruowania sensów polskiego zdania (To biesiada.) wywodzą się prawdopodobnie z gry słów Aleksandra Puszkina, narzekającego, iż zmuszono go do wygnania gdzieś w Besarabii (czytał to ‘bies Arabii’). Ale prawdziwym moim natchnieniem tego eseju (czy dziś nie powinniśmy mówić o „zapłonie”? a tutaj może „zapiętym łonie”?) jest skromna libella Krzysztofa Bartnickiego pod nie tak skromnym na-

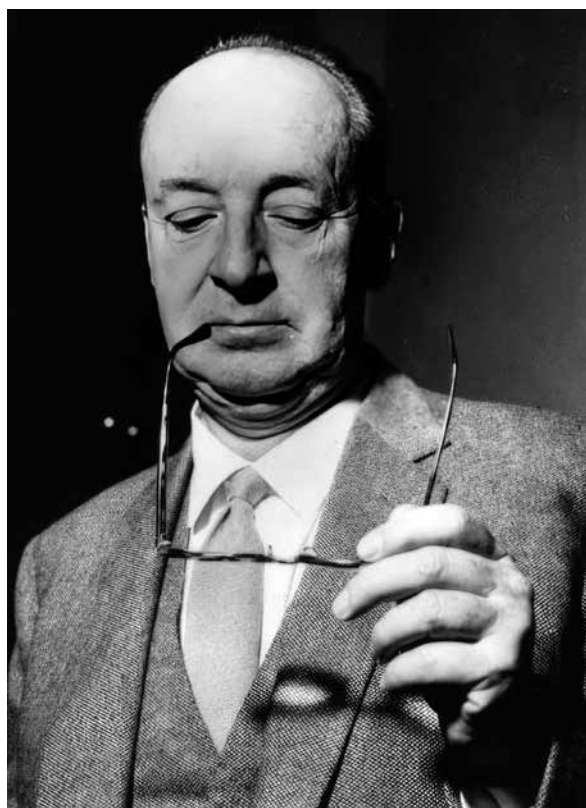
główkiem *Sad zapięty. Krótka antologia przekładu* (Łódź 2023, s. 82 + nlb. 2).

Otóż pierwsza część tytułu ma kilkanaście (sic!) alternatyw, wariantów i opcji semantycznych! Postaram się je tutaj zasygnalizować: 1. Sad za pięty, 2. Sadz a pięty, 3. Sadza pięty (2 x rzeczownik), 4. Sадza pięty (czasownik + rzeczownik), 5. Sad za Pię, ty! (Pia to imię żeńskie, po łac. ‘pobożna, uczciwa, oddana’), 6. Sадza Pię, ty?, 7. Sadz a Pię? Ty!, 8. Sad za ”pi”? Enty?, 9. Sadz a „pi”? Enty?, 10. Sадza „pi”. Enty (raz „sadza” tu byłaby rzeczownikiem, a zaraz potem [nr 11] czasownikiem). 12. Sад za pięty. A aluzja do *Sadu rozstajnego* Bolesława Leśmiana? [Leśmiana zacytowano na s. 10.] A nawiązania do *Pana Tadeusza* („Był sad.”) i sonetu *Dobranoc* („pierś [...] zapięta”)? Także skomplikowana i semantycznie zawężłona jest moim zdaniem aluzja do *Sonetów krymskich*, noszących tytuły: *Bakczysaraj* oraz *Bakczysaraj w nocy* w 5-wersowym „skrótce” sonetu pt. *Bajraktaraj w nocy* (s. 39; nb. w encyklopediach pojawia się Bayraktar Mustafa Pasa, a dziś mamy tureckie drony, bajraktary; tu kalambur: baj + rak + ta + raj), gdzie tylko w dwu linijkach od czuwam bliskie spotkanie ze wzorcem, wykreowanym przez poetę romantycznego. U Mickiewicza mamy: „Rozchodzą się z dżamidów pobożni mieszkańce, [...] Srebrny król nocy dąży spocząć przy kochance”. U Bartnickiego: „Rozchodzą się z modlitwą pospieszni mieszkańce, [...] Padyśkach nocy zdąży spocząć na kochance” (s. 39). Jest to fragment tłumaczenia wiersza Adama Mühl-Tupalskiego z języka białoruskiego [zob. tytuł oryginału: *Malitwa upała i narod puscjeje*], bo dane biograficzne mówią: „Adam Tupalski (1798–1855), białoruski poeta, tłumacz Anio-

ła Szlązaka, podróżnik (jako A. Mühl)” (s. 39; istotnie wieszcz w 1831 roku miał paszport z takim nazwiskiem). W ukazanym naśladownictwie widoczny jest wpływ języka rosyjskiego w składni „spocząć na kochance” zamiast – jak u Mickiewicza – „spocząć przy kochance”.

Do drugiego wersu („Odgłos kuranu w nagłej zgubi się choronże”) sam tłumacz dodaje przypis, próbując skojarzyć „kuran” z Koranem, kurantami, kurhanem, a nawet kuractwem! A może jest to kalambur (jak „malitwa” = „ma Litwa”), wskazujący na czas akcji: „ku ranu”? Trudniej rzec coś o sensie rzeczownika „choronże”, boć to nie jest chyba źle zapisane słówko „chorąże”? Lepiej dla zrozumienia kontekstu byłoby, gdyby ten neologizm oznaczał „gorączkę” lub jakieś inne „lonże” i „alonże” (np. coś o horrorze!). W trzeciej linijce tekst „Zaraz skończy się lotem rozbinowem ‘Boże!’” powinien jakoś zbliżyć się do wersu Mickiewicza: „Zawstydziło się licem rubinowym zorze”, a moim zdaniem jest to aluzja do końcowego dystychu *Bakczysaraju w nocy*: „Budzi się błyskawica i pędem farysa / Przelatuje milczące pustynie błękitu”. Wtedy mielibyśmy bowiem symetrię ostatniej linijki z piątym wersem Bartnickiego: „Przelatuje milczące skrócenie sonetu” oraz aluzję do lotu Ikara, kończącego się głębinowym rozbić (utonięciem w wodzie), równoległym do zagubienia się farysa w piaskach pustynnych. Majaczy tu kalambur-karambol: rozbić + głębinowe = rozbinowe. A w tle „rubinowe” kolory krwi.

W jaki sposób Adam Mickiewicz ukrywa się w onomastycznej frazie Adam Mühl-Tupalski? Skąd niemiecki młyn? Gdyby czytać niepoprawnie germańskie „mühl”, nie przez „i”, lecz „u”, to błyska w oddali nie tak bezsensowne multi [multum] palski, gdzie „palski” byłoby „polski” (w wymowie wschodniosłowiańskiej) lub mól tu polski? Ponoć babka poetki nazywała się Tupalska (Tupolska); bez tej wiedzy: na przedzie oczywiste „tupanie”! Nie bez aluzji do frazy „tu panie”. Kalambury, jak widać, pokrętnie kropnięte (mój anagram)! Jest to tak samo wykrętne, jak motto wzięte ze słów Ewy Jareckiej: „Nie śpię, bo nie umiem za dnia” z roku 2023. Czy wyimek ma sugerować



Vladimir Nabokov

całonocne, „harenowe”, zapasy miłosne padyszacha? Nie wiem, bo nie znam poetki i poetki Jarockiej.

Nawiązanie do Anioła Szlązaka owocuje w *Sadzie zapiętym* 17 4-wersowymi lirykami, tłumaczonymi z niemieckiego. Są to wiersze głównie religijne, czego przykładem niech będzie *O naśladowaniu* (*De imitatione*): „Głóg jest królem, choć mróz / Nie chce pokłonu dać. / Z drzewiny syn patrzy: / Z obłóczyn ojca ma” (s. 33). Jeśli cały cykl, noszący tytuł *Wieczyste wojny uciechanie* [ucinięcie lub koniec uciechy, „nieuciecha”], ma za motto słowa Barbary Gruski-Zych z roku 1989: „nade mną / dzban pełen ognia” – pewnie mowa o metafizycznych klimatach poety i poetki – to zupełnie serio wskazano tu adres bibliograficzny cytatu z 1. linijki: biblijna Księga Sędziów, rozdz. 9, werset 14 (w Biblii Gdańskiej: „I rzekły wszystkie drzewa do ostu: Pójdź ty, króluj nad nami”). Natomiast leksem „obłóczyny” łączy ze sobą obłóczyny (ceremonia przywdziana habitu zakonnego) i neologizm, dotyczący obłoków (u Lindego: obłoczno, obłoczny; ale również obłuczyć = ‘obłąkiem obwieść’). Andrzej Bańkowski dodaje rzeczownik obłocznik (demon mieszkający w chmurach). Jest to kalambur oksymoroniczny, tak jak łac. sacer i sacrum (‘święty’, a zarazem ‘potępiony’, ‘świński’). Obłóczyny bowiem to sfera niebieska (niebiosy; habit) i szatańska (demon z chmur, obłoczny). A jeszcze są tu połączone dwa wyrazy: obło [przysłówek od „obły” – ‘jajowaty’] i czynny.

Tom Bartnickiego jest przemysłnym biegiem myślenia oczu czytelnikowi poprzez stałe przemieszanie prawdy i zmyślenia. Okazuje się, iż tworzyłem i producentem może być przemysł przekładowy, translatoryjne laboratorium. Bo ciągle da się snuć baśnie z 1001 nocy, opowieści Szecherezady, gdzie raz bohaterka objawia się jako „Su-cha-re-ze-da” (s. 81), a kiedy indziej prowadzi do *Siekierzady* Edwar-da Stachury. W „Słowie końcowym” zamieszczono przemowę do żołnierzy, czyli tłumacz (jak przypuszczam), gdzie finał brzmi: „Milczycie? Więc już się chyba **zapnę**... Co? Nie? W *górze serca*. Może zrobimy tak. Znajdę wśród wad dziesięć dobrych wierszy – przeżyjecie. *Zamknij się i tłumacz*. Liczę do dziesięciu. // Mer-ten-Hortis, kapitan (**wstanie na pięty**). // Tytuł od tłumacza, wapno od drzew, **odpięciu** wżwyz” (s. 82). Czyli odczuwamy nawiązania do tytułu tomiku: „zapnę”, czyli ‘zamknę’, ‘będę zapięty’; kapitan „wstanie na pięty”, bo jest „napięty”; tłumacz liczy „od pięciu” do dziesięciu, marząc zapewne o „odpięciu” zapiętego, zcałowanego sadu...

Aleksander Bronikowski, wspominany w *Księgach Jakubowych* Tokarczuk, w batalistycznej prozie omawia bitwy „czarobów” [carskich Arabów? czarowników arabskich?] ze „znużonymi nieustanną zertwą [ofiara] szarmadów” (s. 41), któ-

rzy mogli być noma-dami lub żeglarzami z armad obcych (szalonych? szarmanckich?). Jeden z bohaterów, Jawszach, magor Orsu, nie przejmował się tym, że konfiskowano mu to, „co miał **nagar-bione**” (s. 5). Komputer poprawia tekst, żądając tu epitetu „nagrabione”, lecz nie wie, że w tle widać garby wielbłądów: „majątek, którym można obciążyć wielbłądy” (s. 42). Inny kalambur (w nim litość lub srogość, od przymiotnika luty) zawiera celne, choć dwuznaczne zawołanie: „Bijcie mocno, miejcie **lutość**!” (ib.). W wierszu Czecha Pierka Bezruszki pojawiają się wersy o losie pobitych ludzi: „Pół tysiąca zumościli, / A choć więcej ukościli, / Śmiemy żyć [...]” (s. 63). To też są kalambury-karambole, o których pisał Julian Tuwim. Zamiast zamorzyć, mamy aluzję do utopienia pod mostem, zamiast zakosili, mamy aluzję do oskórowania do kości. A w tle: umościł – ugościł i ukościł; ukościł – zamknęli w kościele...

Akcenty śląskoznawcze: Konrad Nieszewski (Białoszewski?) w *Mojrach Śląskich* powtarza na s. 51 i 52 dystych: „Proszą nas w **szale**. Z **zgryzgotem** pierwsza / Zjeżdża na hale. Proch wita pył”. Nie muszę w tym miejscu (w „Śląsku”) tłumaczyć ekwiwoku zdania „Proszą nas w **szale**!”. A drugie podkreślone słowo swój sens zawiera w skojarzeniach: zgryzota, hurkot, gulgot, chargot, szwargot, furgot, hurgot, szurgot i dygot. Jak na jeden kalambur-karambol „poszkodowanych” jest wielu, czyli tych, którzy mają zdecydować, co poeta (tłumacz) chciał powiedzieć! Ten tłumacz-poeta jest już zahartowany w wykreowaniu setek kalamburów w trakcie przekładania poematu prozą Joyce’a na język polski. Nie będę się nawet starał, by te wywody kontynuować, bo – jak powiada Schulz – tarzałbym się i tarzał, aż bym się starzał i postarzał (co już mi nie grozi, bom sędziwy!).

Postaram się przejść do innej beczki (deserowej i wytrawnej). Polszczyzna, jak widać z moich dociekań, umożliwia kreowanie nieskończonej ilości kalamburów! Podobnie jest z palindromami, czego dowody dawał prof. Tadeusz Morawski. Gorzej z pangramami, których nie mamy nawet 50. Nie mówię już o kwadratach magicznych, 7 – lub 8-literowych. Pier-



Krzysztof Bartnicki

szy polski tzw. „ośmiotysięcznik” zaprezentował Krzysztof Oleszczyk („Kreol”) w „Szaradziście” z roku 1973. Były tu takie hasła: SASAYAMA (miasto jap.), AMARASIT (miasto Mauretanii), SALAMINA (miejsce boju Greków z Persami), ARAKANIN (mieszkaniec krainy w Birmie), YAMANAKA (miasto jap.), ASINAROS (rzeka w pobliżu Syrakuz), MINIKOWO (dzielnica Poznania), ATANASOW (bułg. kompozytor). Następny himalajski wy-czyn był autorstwa Andrzeja Szewczyka („Szewca”): KAMATARI (jap. kancelerz), AGAMEDOS (syn króla Erginosa), MAKAROWO (miasto ros., koło Mag-nitogorska), AMAPANIN (mieszkaniec krainy braz.), TERASINO (miasteczko koło Wołkowyska), ADONIRAM (bibl. zarządca Salomona), ROVINARI (rum. miasto), ISONOMIA (równość obywateli, termin Herodota). Widoczne jest, iż język polski (jak i inne słowiańskie) ma swoiste reguły genezy i ewolucji leksykalnej, powodujących rzadkość 2-lit-erowych – złożonych z samo – i spółgłoski – ciągów sylab. Inaczej jest w mowie Japończyków, stąd nazwy miast i ludzi w cytowanych kwadratach magicznych. Gdy powstaje superpolski kwadrat, to albo mamy w nim archaizmy (UGOTO-WAN), albo neologizmy (ROSOWATO). Oto taka krzyżówka, którą wykreował Stanisław Sobolewski („Esse”): KUBA-TURA, UKALEGON (bohater Home-ra), BABIMOST (miasto w woj. lubu-skim), ALIGATOR, TEMATOWA, UGO-TOWAN, ROSOWATO, ANTRANOL. Ciekaw jestem, czy Sztuczna Inteligen-cja coś podobnego wymyśliła?

Weronika Maszczyk, bohaterka powieści *Mrok Hannowaldu*, to prawdziwy człowiek rozumny. Na każdym kroku udowadnia, że należy do istot myślących. O jej bystrym intelekcie świadczy to, że mijając bezwiednie miejskie budynki, nie robi tego bezmyślnie. Nawet ślizgając się wzrokiem po krajobrazie za oknem autobusu „jej umysł na bieżąco weryfikował widok przetworzony wzrokiem z tym, który zarejestrowała w pamięci”. A jest zgrabna, ma kształtną głowę i „ciemne, piwne oczy”. Dzięki swojej urodzie na spotkaniu z poznanym przypadkowo mężczyzną nie ulega jego urokowi, myśląc o nim obojętnie. Wyjątkowa przenikliwość sprawia, że „w myślach prowadziła analizę treści wiadomości otrzymanej z kancelarii adwokackiej”.

Weronika na ogół nie traci głowy, bo potrafi „zauważyć przytomnie”. W ogóle kobieta ta poza tym, że myśli, również „kojarzy, wnioskuje, weryfikuje, analizuje, docieka, rozpoznaje i dedukuje”. I ta ostatnia umiejętność jest jej szczególnie potrzebna – nie tylko w pracy – jest dziennikarką pisującą teksty o zasłużonych w historii postaciach i miejscach, ale i do wykrycia mordercy niemieckiego adwokata, który przyjechał w tajemniczej sprawie do pałacu w Rybnej, gdzie współcześnie znajduje się hotel. Nieoczekiwanie zbieranie materiału do artykułu o rodzie Koszyckich, byłych właścicieli pałacu, zamienia się w śledztwo.

W ten sposób Kamil Łysik, tarnogórski publicysta, który zadebiutował jako pisarz powieścią kryminalną, zerwał z gatunkowymi schematami. Nie dzielny oficer dochodzeniowy policji, nie prywatny detektyw ani prokurator czy adwokat, ale skromna dziennikarka jest główną bohaterką jego kryminału *Mrok Hannowaldu*. Żurnalistka jako śledcza okazuje się kompletną fajtłapą, a zabójcę i motyw jego czynu wykrywa jej redakcyjny kolega, żyjący w dobrej komitywie z policjantami, ledwo obecnymi w narracji Łysika.

Sama zagadka kryminalna wymyślona przez pisarza początkowo nie odbiega od klasyki gatunku. Ktoś znajduje trupa w krzakach, ktoś drugi ginie, spadając ze schodów. Trzeba odnaleźć zabójcę i doszukać się przyczyn zbrodni. Niby nic ciekawego, ale jednak Łysik, wykorzystując lokalne dzieje, tworzy interesującą intrygę. Historia hrabiowskiego, odnalezionego po latach, bękarta, aczkolwiek nieco wydumana, udanie łączy ze sobą wątek sensacyjny z historycznymi dociekaniami. Mało tego wskazuje na umiłowanie przez autora prywatnej ojczyzny.

Urodzony i mieszkający w Rybnej, obecnie dzielnicy Tarnowskich Gór, Kamil Łysik już jako publicysta dowiódł, jak bliskie są mu rodzinne strony, publikując monografię miejscowego pałacu Koszyckich, gdzie mieści się ośrodek kultury muzycznej, hotel i restauracja. Jednak w debiutanckiej prozie dopiero rozwinął wątek umiłow-

Śmierć bękarta hrabiego

KSIAŻKI

RYSZARD BEDNARCZYK



nia ojcowizny, ujawniając swoją górnośląską mentalność. Chwilami można nawet odnieść wrażenie, że akcja kryminału jest pretekstem do ukazania splątanych, tragicznych losów Górnoślązaków. Poglądy autora ujawnione w narracji niczym specjalnie nie odbiegają od już znanych, stereotypowych deklaracji i wyrażają poczucie górnośląskiej odrębności silniejsze od świadomości przynależności do narodu.

Postawa szczególnej łączności z tragicznymi losami społeczności prywatnej ojczyzny widoczna jest w wypowiedziach fikcyjnych postaci Franciszka Kampki i Otylii. Ich opowieści i życiorysy są typowym odzwierciedleniem przeżyć związanych z powstaniami śląskimi, folkslistą, powojennymi sowieckimi wywózkami. Przepojone nieszczęściami wspomnienia składają się na to, co zwykło nazywać się tragedią górnośląską czy gordyjskim węzłem górnośląskim. „Po wojnie wziyni mie do lagru w Lasowicach. Prowadził go polski Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Panowały w nim fatalne warunki”, narzeka Franciszek.

W kreowaniu takich postaci przejawiają się w powieści, podobnie jak we fragmentach odautorskiej narracji, poglądy prozaika. I widać w tych narratorskich wtrętach wyraźną niechęć do wszelkich działań polityków w sprawie Górnego Śląska. Nie potrafi bądź nie chce Łysik doszukać się w politycznych decyzjach żadnych korzyści dla jego małej ojczyzny. Niedobre były bratobójcze walki Górnoślązaków podczas powstań, podział terytorialny wynegocjowany w Wersalu, wcielanie do Wehrmachtu, sowieckie wysiedlenia i przymus pracy. Istotne dla poglądów prozaika jest uznanie niemiecko-polskiego konfliktu narodowościowego za szkodliwy dla autochtonów, nieakceptujących żadnej kulturowej tożsamości poza górnośląską.

Jednak uwaga pisarza skupia się w powieści nie tylko na przeszłości, ochoczo opisuje również teraźniejszość Tarnowskich Gór. Z satyrycznym zacięciem drwi z uczestników rautów i koncertów w skomunalizowanym pałacu w Rybnej. Pokpiwa z bywalców kultowych lokali w mieście, a sporo z opisanych postaci ma realnie istniejące prototypy. Miejsca, w których bywa Weronika, pod piórem Łysika wyglądają jakby wyjęte z turystycznego przewodnika, podszytego niezamierzoną reklamą.

Umiłowanie bliskich autorowi stron przejawia się też w słownictwie opowieści, przetkanej gwarowymi zwrotami i słowami, co ma sens w przypadku dialogów, ale szpikowanie narracji dialektyzmami jest przesadną manifestacją własnego światopoglądu. Z tego powodu język powieści przypomina bliżej nieokreślony argot, zwłaszcza że Łysik ma skłonności do jego udziwniania. Zarówno podczas charakterystyki bohaterów, opisów zdarzeń, krajoobrazu czy architektury tworzy tasiecowe frazy pełne dziwnych i banalnych porównań, w celu zapewnienia literackości dzieła, co odnosi skutek odwrotny od zamierzonego „wilę, ale mocno nadgryzioną zębem czasu i młotami dzierzonymi w dłoniach estetycznych bęcwałów”. Wprawdzie w czasach po rewolucji językowej w polskiej prozie można by od biedy uznać te narracje za przejaw „żywego języka”, choć bliższe są kiczowatej mowie wolnorynkowej literatury. Zamiast poetyckiej kreacji mamy do czynienia z brakiem estetycznej i słownikowej poprawności.

**Kamil Łysik, *Mrok Hannowaldu*.
Wydawnictwo Emocje, Kraków
2024, s. 297.**

W *Wprowadzeniu* do leksykonu *Kresowianie na Górnym Śląsku* prof. Stanisław Sławomir Niciejka napisał, iż dzieło to jest odpowiedzią na wołanie społeczne, domagające się „stworzenia wydawnictwa encyklopedycznego o Kresowianach, którzy po roku 1945 tworzyli historię Śląska”; i że powstanie dzieła jest aktem sprawiedliwości oddanej po latach ludziom, którzy rzucony przez wydarzenia historyczne na tę ziemię, współtworzyli tu naukę i kulturę, wyższe uczelnie i odbudowywali administrację oraz codzienne życie po zniszczeniach wojennych. Spotkać ich można było we wszystkich przestrzeniach społecznych i wszędzie zaznaczali swą obecność w sposób znaczący i bardzo wartościowy. Namysłem badawczym objęto cały Śląsk, przemysłowy, Opolski i Dolny, a więc obszar ogromny, jednak tak wędrowali ekspatrianci – przez Bytom, Gliwice, Katowice, Opole, Wrocław, zmagając się z wieloma trudnościami, często z niezrozumieniem, a kiedy indziej wzruszającą serdecznością.

Leksykon jest zamierzeniem ambitnym, wielotomowym, tom pierwszy zawiera 144 hasła biograficzne i 15 haseł przedmiotowych, kolejne woluminy są zapowiedziane. Wymagał on nie tylko lat żmudnej, mrówczej pracy, ale też dużego zaangażowania, by nieraz z zatartych dokumentów, wyblakłych fotografii, z trudem zdobywanych dokumentów życia osobistego, pieczołowicie, jak najdokładniej odtworzyć losy ludzi boleśnie przez historię doświadczonych. Pokazać wygnańców, zmuszonych do opuszczenia ojcowizny i często na nieznanym wcześniej „łędzie” (by użyć określenia Kornela Filipowicza) budować nowe życie i wrastać w tu-tejszą społeczność. Kompletowanie źródeł, ustalanie terminologii, struktury haseł i zakresu przestrzennego i czasowego, szperanie po antykwariatach, docieranie do archiwów domowych, było więc zadaniem odpowiedzialnym i żmudnym, a czasem wymagało intuicji niemal detektywistycznej. Trzeba stwierdzić z uznaniem, że zarówno konstrukcja całości, jak i hasła opracowane są na najwyższym poziomie pod każdym względem.

W leksykonie znalazły się hasła osobowe i przedmiotowe. Zaczniemy od przedmiotowych, nie sposób tu scharakteryzować wszystkich. Najbardziej urzekające są

Ekspatriantom w hołdzie

KSIAŻKI

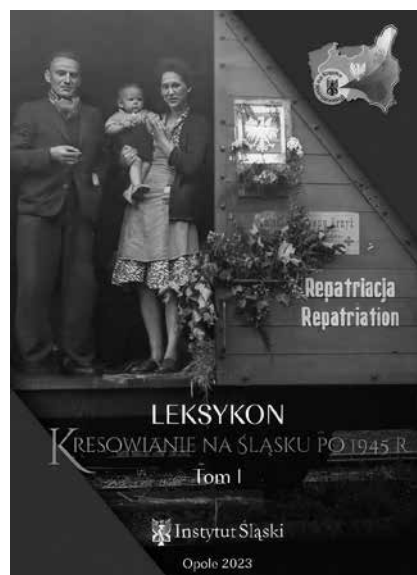
KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

Madonny Kresowe, ukazujące dzieje obrazów Maryi, które przywędrowały wraz z wygnańcami po roku 1945 do śląskich świątyń. Hasło uzmysławia, że wygnani w dramatycznych warunkach z ojcowizny, zabierając tylko to, co mieli najcenniejszego, przywieźli też różne przedmioty kultu, a w tym 143 wizerunki Bożej Rodzicielki. Autorki hasła – Maria Kalczyńska i Weronika Pawłowicz – piszą, że to właśnie one „pozwalaty oswoić odmienny kulturowo teren”. Jest to temat absolutnie godzien książki. Imponuje hasło *Teatr i Kresowianie w życiu teatralnym Śląska*, opracowane przez Barbarę Maresz z wielkim znawstwem i erudycją, uświadamiające, że wysoki poziom realizacji teatralnych na Śląsku i rozmach, z jakim działały tu „siedziby Melpomeny”, zawdzięczały właśnie artystom z Kresów. I wreszcie – choć wspomnieć trzeba o *Kuchni kresowej*, napisanej ze smakiem przez Martynę Leszczyńską (szkoda, że nie ma przepisu na kołduny).

Hasła osobowe przywołują mnóstwo znakomitych nazwisk, znajdziemy tu więc świetnego laryngologa Tadeusza Ceypka, dermatologa Tadeusza Ludwika Chorażego i twórcę śląskiej pediatrii Artura Chwalibogowskiego. Jest Adam Didur, Krystyna Feldman, Mieczysław Klimowicz, Roman Lutman i Wanda Rutkiewicz, Ireneusz Opacki i Maria Pawłowiczowa, w końcu ks. Michał Rękas, genialny matematyk Hugo Steinhaus, Stanisław Wasylewski i wybitny poeta Adam Zaga-

jewski. Przywołano tę sporą reprezentację nazwisk po to tylko, by ukazać, jak wielka rzesza wybitnej, twórczej inteligencji przybyła na Śląsk, decydując w sporej mierze o jego obliczu umysłowym i wnosząc ferment kulturalny. W te biografie wpisane jest też wrastanie w nowe środowisko i tworzenie nowej wspólnoty z miejscową ludnością, jak również trauma sięgająca często drugiego i trzeciego pokolenia. Uświadamia leksykon jeszcze jedno, że bez tej wiedzy nie można tworzyć rzetelnej historii Śląska.

Autorzy wstępu – Maria Kalczyńska i Krzysztof Kleszcz – stwierdzili: „Materiałna spuścizna przodków oraz związek duchowy i emocjonalny osób o rodowodzie kresowym splotły się po 1945 r. z rodowodem ziemi śląskiej. Dzięki trwałości związków tożsamościowych osób i instytucji, rozumianych jako pamięć kulturowa, wpisuje się ona w ciągłość polskiej historii i tradycji”. Jest gorącym pragnieniem czytelnika, aby kontynuacja tego zamierzenia, rangą przypominającego *Encyklopedię powstań śląskich*, przebiegała bez zakłóceń, „przywracając dorobek cywilizacyjno-kulturowy dawnej Rzeczypospolitej” idącym pokoleniom.



Kresowianie na Śląsku po 1945 r. Leksykon, tom I, praca zbiorowa pod redakcją Krzysztofa Kleszcza i Marii Kalczyńskiej, przy współpracy Barbary Maresz i Joanny Hytrek-Hryciuk, Instytut Śląski, Opole 2023, s. 375, ilustr.

„Smykać się” ma aż trzy znaczenia. Po pierwsze: włóczyć się, pętać, łazikować; po drugie źle się prowadzić i po trzecie: chodzić na przyjęcia, w gości. Wydaje się, że Zbigniew Rokita w swojej najnowszej książce zatytułowanej *Odrzania. Podróż po Ziemiach Odzyskanych* nawiązuje do wszystkich trzech konotacji. Po pierwsze wywiedziona od Odry Odrzania jest zbiorem krain geograficznych, dla których aktem założycielskim były decyzje polityczne podjęte po zakończeniu II wojny światowej, włączające ją w obręb polskiej jurysdykcji i pozwalające na zasiedlenie jej po opuszczeniu przez Niemców. Rokita traktuje ową przestrzeń bardzo rozległą, włączając w nią Prusy Wschodnie czy Wolne Miasto Gdańsk, a kluczem do niej czyni pamięć, którą tak definiuje: „to oparta na faktach baśń, a ja jestem reporterem i nie piszę o fikcji, ale piszę o fikcji, o subiektywnej prawdzie, którą tamci ludzie mi opowiadają i do której mają prawo”. „Tamci ludzie” to oczywiście mieszkańcy Odrzania – Odrzanki i Odrzanie, ci zwykli, których spotyka przypadkowo, i ci, którzy Odrzanią zajmują się zawodowo, chociaż jej nowej nazwy nie znają.

Co interesujące, sprawia ona pewien kłopot także w zapisie. Wprawdzie Jan Holoubek w blurbie umieszczonym we wkładce poprzedzającej stronę tytułową reportażu napisał: „Zbigniew Rokita jest prawdziwym odkrywcą Odrzania – krainy, o której miałem nikłą wiedzę, mimo że w niej wielokrotnie byłem”, ale owo podwójne „ii” nie jest wcale takie pewne, bo: „Wiąże się z poczuciem rodzimości czy obcości wyrazu, a także wymową postaci mianownika”. Podwójne „ii” oznaczałoby zatem wyczuwalny element obcości względem nadodrzańskiej krainy, nie tak, jak w przypadku Gdyni, czy Słupki. Na marginesie dodajmy, że sama „Odra” jako nazwa i źródłosłów „Odrzania” ma nieco tajemniczą, prawdopodobnie indoeuropejską proveniencję, kryjącą w osobie pierwiastki wilgoci, wody, płynięcia. Powyższa dygresja językowa nie jest od rzeczy, bowiem to on – język – nazywa, czyniąc swoim, a nawet swojskim i wielokrotnie Rokita zwraca na to uwagę, przytaczając nazwy niemieckie i polskie miast Odrzania, jak pary Brelslau i Wrocław czy Szczecin i Stettin, które symbolicznie pozwalają zachować ciągłość pamięci, tak naturalną w przypadku kraju nad Wisłą, a tak trudną po „odzyskaniu”, ponieważ: „W Odrzaniu [...] na ciągłość będzie sobie trzeba zasłużyć, ciągłość wymaga nie tylko ułożenia puzzli, ale i puzzli zdobycia. Tymczasem w Odrzaniu na razie nie wiadomo, czego nie wiadomo, białych plam jest więcej niż w Wiślanii, sama Odrzania jest białą plamą, odpalimpsestowanie tego marasu zajmie im sporo czasu. W ten sposób kończy się odrzańskie PRL-owskie średniowiecze i rozpoczyna odrzański renesans – odgruzowywanie przedwojennej starożytności tych ziem. [...] Odrzanie muszą teraz wykonać spory wysiłek, aby przekroczyć uświęconą upadkiem III Rzeszy i przybyciem tu pierwszych osadników granice roku czterdziestego piątego, sprawdzić czy wszechświat istniał na sekundę przed Wielkim Wybuchem”. Ironiczno-sarkastyczna barwa tonu

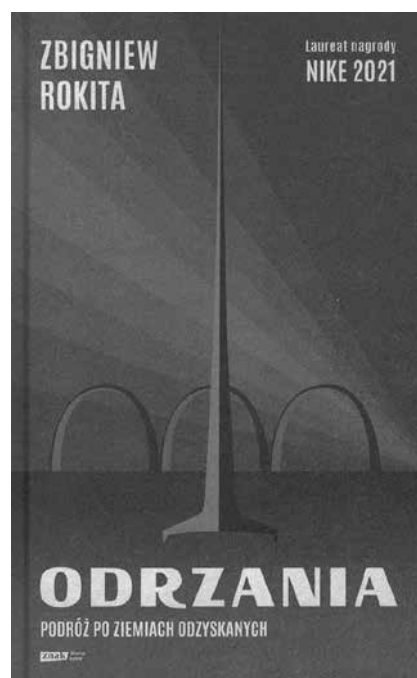
Smykając się po Ziemiach Odzyskanych

KSIAŻKI

naszego włóczącego się po lubuszczyźnie wędrowca wskazuje, że zaczyna on „źle się prowadzić”, będąc z dala od tzw. politycznej poprawności. Pyta o napisy wystające spod prowizorycznych tynków, przysiadła na wyzierających spod ziemi niemieckich nagrobkach, śledzi konkursy na „bohatera stulecia”, a przy okazji stawia także diagnozę Wiślanii zauważając, że: „Polacy marynują się w nacjonalizmie bez względu na to, jaki ustrój akurat obowiązuje”. Pyta, idąc do mieszkańców Odrzania w gościnę (trzeci aspekt smykania się).

Z miliona faktów, obrazów, wspomnień wyłania się podstawowa cecha odrębności mieszkańców owej krainy – niepewności. Kiedy miast Odry na reporterskim szlaku Rokity była Kłodnica, mieszkańcy Górnego Śląska sportretowani w *Kajś* z pewnością niepewni nie byli, nawet, kiedy próbowano im ową pewność zabrać. To raczej nad ich głowami przetaczała się historia i nie wiadomo było, w którym państwie następnego dnia się obudzą. W Odrzaniu jest inaczej. Niepewność gości tam do dzisiaj. Widać ją, jak zauważa reportażysta, w podejściu do Niemiec po roku 1989 r., w nieustannych zbliżeniach i oddaleniach, w zrywaniu ciągłości i jej przywracaniu. Sam pamiętam wakacje w Świeradowie Zdroju na początku lat siedemdziesiątych i pożar jednego z domów. Zapytani przez ojca miejscowi – dlaczego nie gaszą pożaru? Odpowiedzieli lakonicznie i z zaśmiechem – Panie, mało tu domów?

Włóczymy się, łazikujemy w czasie i przestrzeni razem z autorem. Razem, bo bliskość jest podstawową cechą reporterskiej poetyki Rokity. Niczego nie zasłania, pozornie nie czeluży (bo jednak oglądamy to, co nam pokaże), narracja toczy się wolno, niemal sennie w porównaniu z *Kajś*. Jednak tam reporter był u siebie, a tutaj odkrywa „obce krainy”, co przydaje mu nieco odmiennego typu wrażliwości i uważności.



PIOTR SKOWRONEK

Nie tylko „bliskość”, czy charakterystyczne dla tego gatunku relacje świadków wymieszane z autopsją i lekturą artefaktów składają się na podróżniczo-historyczny charakter reportażu „by Rokita”. Ów rodzaj twórczości, o którym Mariusz Szczygieł napisał, iż w nim *Fakty muszą zatańczyć* (2022) ma jeszcze jedną istotną cechę. Otóż autor *Odrzania* na użytek własny i nasz zaopatruje narrację w definicje. Dwie z nich wydają się tutaj niezmiernie istotne, mają bowiem cechę pryzmatów, przez które oglądamy penetrowany teren. Mam na myśli ojczyznę i historię. Pierwsza pojawia się w takim oto ujęciu: „[...] dla Niemców istnieją dwie ojczyzny. Pierwsza to prywatny hajmat, krajobraz duszy, nasze pierwsze smaki, obrazy, dźwięki. I to z tą małą ojczyzną będziemy jeździli po całym świecie. Druga to ojczyzna ideologiczna, faterland. Ona dołącza do naszej duszy później – za sprawą szkół, urzędów, kościoła. Ta druga ojczyzna w przeciwieństwie do pierwszej może się zmienić. Istotą ojczyzny małej jest nakładanie się na siebie przez wieki kolejnych warstw. (...) A ojczyzna duża, ideologicznie jest abstrakcyjna i skonstruowana odmiennie. Jest oparta na zwycięstwach i porażkach, wrogach i sprzymierzeńcach. Tu ważne jest miejsce, a tam naród”. A historia? „Tymczasem historia taka jak ją sobie wyobrażam, nie istnieje – pisze Rokita. Są fakty. Fakty plus interpretacja historyka to historia. Historia plus opowieść to pamięć. Gdy na co dzień mówimy o historii, wydaje nam się, że mówimy o faktach, a tak naprawdę mówimy o pamięci”.

Zbigniew Rokita, *Odrzania. Podróż po Ziemiach Odzyskanych*, Wydawnictwo Znak Literanova, Kraków 2023, s. 320.

Do sięgnięcia po *Wmartwychwstąpienie* Olgerda Dziechciarza zachęca już sama okładka, zaprojektowana przez Agnieszkę Sitko. Na czarnym tle widnieje szpara w drzwiach, a w niej fragment jasno oświetlonej podłogi i ściany. Kiedy patrzę bez okularów, z odległości powyżej metra, szpara zamienia się w świecę. Czy to właśnie światło, które rzekomo pojawia się na końcu tunelu, kiedy balansuje się między życiem a śmiercią? Tylko dla czego to, co się w nim ukazuje, jest takie banalne, nieefektywne? Gdzie się podziały anielskie chóry i rajske krajobrazy? Czyżby okazały się kolejną – nomen omen – ściemą, bo nie ma żadnego Edenu, a po zgonie – fizycznym bądź duchowym – następuje albo nicość, albo reinkarnacja nie w wyższą, lecz w dokładnie taką samą formę istnienia, co dotychczas? Może właśnie świadomość, że wstąpić można w martwość, do sąsiedniego pokoju albo na piwo, a nie w żadne niebo – po śmierci czy za życia – stanowi prawdziwe oświecenie?

Z rekomendacji Marty Podgórniki na odwrocie okładki dowiaduję się, że Autor „zarazem przeżywa, wyżywa się i wzywa do czegoś, czego wszyscy boimy się i pragniemy. Literacko świetne i diablo przemyślane studium dojrzałości i dojrzałego buntu, pełne odniesień do kultur wyższych i niższych, dżgające czytelnika w najczulsze miejsca, lecz zawsze – z oldskulową, męską czułością”. Również notka biograficzna, umieszczona na skrzydełku, okazuje się nietuzinkowa. Olgerd Dziechciarz skromnie wymienia zaledwie trzy spośród licznych publikacji poetyckich, prozatorskich i historycznych, wręcz nazywa się „historykiem niepraktykującym”. Przywołuje za to liczne zawody, które wykonywał i które z pewnością poszerzyły jego literacką perspektywę – redaktora czy wystawienika w galerii, ale również tragarza, stróża, ogrodnika. Informuje, że jest urodzony i nadal żyje, nie podając dat ani miejsc.

Zaintrygowana, otwieram *Wmartwychwstąpienie*. Szczególnie mocno wybrzmiewa cykl „kryzysowy”. Doświadczają go wieki średnie i późne, tożsamość, rzeczywistość i cywilizacja. Duże słowa, duże sprawy. Pisząc o nich, łatwo popaść w truizm albo kaznodziejstwo. Autor broni się przed tymi pułapkami (auto)ironią oraz językową sprawnością. Chętnie stosuje apostrofę, lecz trudno stwierdzić, czy podmiot liryczny, używając zaimka „ty”, toczy dialog z samym sobą, z przyjacielem, z całą generacją? Zapewne każda odpowiedź będzie po części prawdziwa. „Kryzysowe” wiersze stanowią rozliczenie z „radikalnych wyborów, które okazały się drogami do / bezpiecznych przystani”. Pojawia się potrzeba korekty własnej tożsamości, a poniekąd wyparcia się tej zdezaktualizowanej: „Będzie trzeba wró-

Obumieranie złudzeń

KSIAŻKI

cić / do poprzedniej strony. Odczytać na nowo to, co stare / Wstawić przypiśy i z każdego rozdziału wyrwać kilka / kartek”. Jednak mimo pracy nad sobą (a może tylko nad wizerunkiem?), nie sposób odnaleźć poczucia sensu, drogowskazu religijnego bądź światopoglądowego, który w łatwy i bezpieczny sposób ułatwiłby życie: „Ogołoczone z bałwochwalstwa święte dzieło / okaże się pustym naczyniem. Z braku innych pomysłów / na życie wprowadzony będzie ten najgłupszy” (*kryzys wieków średnich*). Co prawda, „można oszukiwać, ale wtedy gra / może być niewarta świeczki, a chcielibyśmy i świeczkę, i ogarek” (*łatwizna*). Bohater wierszy, jak rasowy egzystencjalista, dumający nad tym, że egzystencja poprzedza esencję oraz że każdy wybór może zniweczyć poprzednią tożsamość, jest prerażliwie samotny: „Weź się w garść – mówią ci, którym zwykle / się powodzi (...) / nikogo nie poruszy twoja nędzna klęska, chyba / że wykażesz się rozmachem” (*kryzys wieków późnych*). Pyta retorycznie, za piosenką Republiki, o umarłych (fizycznie bądź mentalnie) przyjaciół (*kryzys tożsamości*). Zastanawia się nad sensem sztuki, która ma szansę zaistnieć tylko przez „moment, gdy / ludzie znów zechcą czytać poezję i szukać w niej tego / czego nigdzie indziej nie znaleźli”, lecz w tej krótkiej chwili wyzwala czytelników z pogoni za bogactwem oraz z bezrefleksyjnego podążania za autorytetami, sprawia, że pragną „nosić na rękach / nie tylko kajdanki i złote zegarki” (*poezja*). Tęskni za naiwną młodością, gdy słowa były jeszcze żywe, niosły z sobą ważne znaczenia, a „o jakie treści chodzi, wiedzą ci, którzy z nich wyrosli” (*treści*).



WERONIKA GÓRSKA

Jedna rzecz mi w tych wierszach zgrzyta i utrudnia „wczucie” się w nie – patriarchalna perspektywa. Postrzeganie kobiet (również dzieci) nie jako współtowarzyszek, doświadczających – przynajmniej w niektórych aspektach – podobnych rozczarowań i dylematów, lecz jako Innych: „Trwa handel dziećmi / kobietami, za to mężczyźni wzięli w jasyr tłuste korporacje” (*zmyłka*); „Zimni ludzie / tak mają, że w kontakcie z gorącym uczuciem stają się jeszcze / bardziej zimni (...) / Ich kobiety są ślepe i dlatego nie płaczą. Ich dzieci / są szpotawe i nieodgadnione” (*nie ma mnie*); „Będzie wtedy można czytać książki nocą i bawić / się z damami w gry dla dorosłych; a z dziećmi będzie wieczny spokój” (*treści*); „Kobiety rodzą piękne rzeczy – a mężczyźni im zazdroszczą / Mężczyźni są specjalistami od spraw brzydkich: brzydko żyją, brzydko mówią / odrobinię mniej brzydko się starzeją” (*martwe sezony*). Nie, nie przeszkadza mi pisanie przez pryzmat własnej płci, lecz uwiera postrzeganie ogólnoludzkich doświadczeń jako wyłącznie męskich oraz powielanie stereotypów. Bliższe było mi postrzeganie świata zaprezentowane w tomie *Martwe i ozdobne* Marcina Zagadło, również wydanym w Instytucie Mikołowskim – próba wejścia w dialog z kobietami i dziećmi, szukanie w nich zarówno tego, co odmienne, jak też tego, co tożsame z męskim podmiotem lirycznym. W poezji Marcina Zagadło widzę „męską czułość”, a w poezji Olgerda Dziechciarza – wyłącznie oldskulowość. ■

Olgerd Dziechciarz, *Wmartwychwstąpienie*, Instytut Mikołowski, Mikołów 2023, s. 44.

Ze starych i nowych przyokazyjek (7)

MAREK PIECHOTA

Cisza jest przystanią

mojej Małgosi

brzmieniom i znaczeniom
nie ufaj bez granic
jedni słowa cenią
inni mają za nic

jedni sensy warzą
by nowe powijać
a drudzy potwarzą
ważą się zabijać

jedne słowa ranią
leczy dobra mowa
cisza jest przystanią
znużonego słowa

winien być domknięty
zamysł rozpoczęty
ileż to ja wierszy
pisałem dla pointy

Tarnowskie Góry, na „Walentynki” 2019 r.
[Z cyklu „Olśnienia Tobą, Małgoś” XII]

O wyższości polskości nad niepolskością

Ciesz mi ten rym: „Polak mądr po szkodzie”:
Lecz jeśli prawda i z tego nas zbodzie,
Nową przypowieść Polak sobie kupi,
Że i przed szkodą, i po szkodzie głupi.
(Jan Kochanowski, pieśń V *Ksiąg wtórych**)

Głupota nie może być przeszkodą –
Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie Zamość!
Gdybym okazał się mądry przed szkodą,
Utraciłbym tożsamość.

Tarnowskie Góry, 1 sierpnia 2021 r.

* J. Kochanowski: *Dzieła polskie*. Oprac. J. Krzyżanowski.
Warszawa 1972, s. 282.

Panie starszy, dwie łyski! (1)

*Tullamore DEW honey*¹

Pierwszy łyk: już w chwili onej
słońca błysk na plaży w Coney
Island – migranta pociecha,
Bohemian Rhapsody echa
słyszać, woń *bohemian honey*...

Tarnowskie Góry, 17 czerwca 2023 r.

*Blacks irish whiskey*²

Haust pocztowym mknę gołębiem,
niesie podniebieniu głębię
smaku, nie przestraszy flaszki
czerni, co spaja przesąd laszy³
z piekłem, a tu niebo w głębie⁴.

Tarnowskie Góry, 17 czerwca 2023 r.

1 *Tullamore D.E.W. Honey Liqueur. Irish whiskey with natural bohemian honey*. Oczywiście, ALKOHOL spożywany w ilościach nieumiarkowanych, ZAWSZE SZKODZI, często uzależnia, zatem należy go stosować wyłącznie do degustacji. Alkohol zawsze – *white, red, black* – / stosuj bezpiecznie jako lek.

2 *Blacks irish whiskey, triple thread, (three cask blend)*.

3 Gdyby nie wymogi rymu obowiązujące w limerykach, mógłby się tu pojawić bardziej podniosły, epicki epitet (z półki z patosem) – 'lechicki'.

4 Zwrot stanowczo nadużywany jako nazwa restauracji. Razi w stolicy, bo zbyt karczemny, ale na prowincji – jak najbardziej.

Medialny pseudohimalaista

Pewien monter miał zadyszkę,
butlę z tlenem wziął (za „dyszkę”).
Piszą o gościu i geście,
że „stanął na Evereście”,
a on nazwał tak sprzęt – zwyżkę.

Tarnowskie Góry, 17 lipca 2023 r.

Doping dozwolony

Jarał się teatrem Jaracz,
płacąc zdrowiem Muzom haracz
za niepospolity talent;
w zamian zyskał ekwiwalent –
sława działa jak dopalacz.

Tarnowskie Góry, 1 marca 2024 r.

Bałamutki o wyższości jednego nad drugim (1)

Szampiony i pieczarki

Przy straganie w dzień targowy
włączyłem się do rozmowy⁵,
bez pardonu i bez trybu,
o wyższości polskich grzybów
nad „byle czym” z Europy.
Pretekstem był wysyp kurek,
a ja taką mam naturę
jak Słonimski – bywam przeciw⁶,
już brzęczą harfy eolskie⁷,
kurki – grzyby arcypolskie,
już Świętej Trójcy Okopy,
już ’przedmurze’ i Maj Trzeci,
z Polski, z Polską, jeszcze z polska,
nadto ’słoń a sprawa polska’⁸...

Więc wtrąciłem, że: „Mam stare
uprzedzenie do pieczarek;
w kulturowej, zbędnej wojnie
poliglotyzm *ego muska*,
gdy wymówisz je z francuska⁹,
smakują jakby dostojniej”.

Włączył się pan w okularach
ciemnych: „Chcę się zgodzić z panem,
bo pieczarki rosną w pieczarach,
szampiony zrasza się szampanem.
Znacznie mniej zaś rozpowszechnione
jest przekonanie, że przed sprzedaniem
myje się je, nim się je zje, w szamponie”.

Inny rozmówca mi uświadomił,
że to czeska odmiana jabłoni
krzyżówka odmian ’Golden Delicious’
i ’Koksa Pomarańczowa’
(nie wymyśliłby tego Karl Dedecius –
odbija mi się echem „co ty pleciesz”,
ale przecież Gregor Mendel był Czechem!)
i powinienem wiersz napisać od nowa.



Tarnowskie Góry, 26 czerwca 2023 r.

5 Niemal całą tę introdukcję zawdzięczam opanowywaniu na pamięć w dzieciństwie wierszy Jana Brzechwy.

6 Aluzja do tytułu książki Moniki Ładoń: „*Bardzo proszę pamiętać, że ja byłem przeciw*”. *Studia i szkice o Antonim Słonimskim*. Katowice 2008, ogłoszonej w redagowanej przeze mnie serii „Historia Literatury Polskiej”.

7 Instrument strunowy greckiego boga wiatrów Eola, ceniony w dobie romantyzmu, instalowany w ogrodach, a powiew atmosferyczny wydobywał przypadkowe dźwięki. Dziś na RODOS (Rodzinne Ogródki Działkowe Ogrodzone Siatką) zastępują je ’łamacze ciszy’ z Dalekiego Wschodu – drewniane, bambusowe i z metali różnych.

8 Kłaniam się tu ironicznie naszej dziewiętnastowiecznej myśli narodowej i składam hołd poczuciu humoru pierwszej wśród kobiet i jedynej dwukrotnej noblistce Marii Curie-Skłodowskiej, która opowiedziała rozleglejszą anegdotę ze zbioru ’Anglik, Francuz i Polak’, z użyciem tej właśnie frazy podczas zebrania Międzynarodowego Komitetu Współpracy Intelektualnej Ligi Narodów w 1921 r., nieco później Stefan Żeromski umieścił ją w *Przedwiośni* (1925), w innym zresztą kontekście; https://pl.wikipedia.org/wiki/Słoń_a_sprawa_polska – (dostęp 26.06.2023). Ot, *éléphantiasis à la polonaise – political uncorrectness*.

9 *Champignon* – monumentalnie i apokaliptycznie zarazem brzmi w zestawieniu: *champignon atomique*. Adam Mickiewicz w *Panu Tadeuszu* zbieraniu grzybów poświęcił koniec księgi II (*Zamek*) i początek III (*Umizgi*), uwzględniając iście epopeiczną paletę gatunków jadalnych i niejadalnych. Z korespondencji wieszczą dowiadujemy się, że rozróżniał smak rydzów lozańskich i paryskich (zbieranych w lesie Fontainebleau przed wyjazdem do Konstantynopola), ale zawsze tęsknił do tych nadniemeńskich, do których zbierania zachęcała pani Telimena. Jest Mickiewiczowski opis grzybobrania niewątpliwie perłą opisowości romantycznej.

Obrazy powietrzne

GABRIELA GANCARZ-STASIAK

!stotnym momentem był okres pandemii – to wtedy ma swoje początki tzw. rozdział „powietrzny” w twórczości artystki. Izolacja, niepewność, potrzeba oddechu pełną piersią mocno wpłynęły na działalność Styrylskiej. Ten wymuszony czas wyciszenia, skupienia się na sobie i swoich potrzebach zaowocował zwróceniem się w stronę natury i dosłownego „bujania w obłokach”. Płótna wypełniły się konstelacjami chmur, układów powietrza sprowadzanymi do abstrakcyjnym przedstawień, ale z typowymi dla stylu artystki realistycznymi dodatkami fragmentów fotografii, geometrycznymi wstawkami, czy przełamującymi płaszczyznę płótna precyzyjnie malowanymi ptakami w locie. To seria pełna lekkości, oddechu, ale też silnej potrzeby swobody. Czas skupienia się na sobie zaowocował także równoległym cyklem dzieł zatytułowanych „Inside look” – bardzo medytacyjnych kolaży malarskich, które w moim odczuciu są kwintesencją stylu artystki.

Powtarzający się motyw oka spoglądającego z płótna to nie tylko uważne spojrzenia na odbiorcę dzieła, ale spojrzenie w siebie i próba poukładania puzzli własnych wrażeń i myśli w harmonijną całość.

Aktualne lata w twórczości artystki to zapis ulotności momentów. Sztuka Styrylskiej nie ma charakteru publicystycznego, nie komentuje bieżących wydarzeń – autorka jest daleka od zabierania głosu w palących sprawach, raczej stoi z boku i skupia się na własnych odczuciach, radościach, przyjemnościach, zabawie formą, eksperymentami plastycznymi. To sztuka bardzo kobieca, ale nie wojująca.

Jeśli wpisuje się w jakiś aktualny trend, to z pewnością jest to malarcka praktyka uważności, osiągnięcie umiejętności spokojnego reagowania na świat, akceptacji i wewnętrznej analizy, koncentracji na tym co tu i teraz. Jej sztuka zatrzymuje ulotne wrażenia i po prostu sprawia przyjemność wizualną. Znając osiągnięcia artystki na przestrzeni lat widzę i czuję, że jej prace przeszły od krzyku do szeptu...

INSIDE LOOK – przez dziurkę od klucza

„Inside Look” – to seria obrazów, które są kontynuacją kolażowej serii prac na papierze o znaczącym tytule „Harmony”. Cykl ten polega na stworzeniu poetyckiej wizji metafory ludzkiego życia. Kolaże, zbudowane z elementów abstrakcyjnych, tworzą jedną kompozycję. Natomiast każdy z elementów abstrakcyjnych symbolizować ma wielowątkową egzystencję jednostkowego życia. Piętrzenie się elementów kompozycji, nierealność i surrealistyczny wymiar układów i form jest więc artystyczną próbą zilustrowania złożoności i niezwykłości ludzkiego losu. W serii „Inside Look” świadomie nawiązuję do poprzedniego cyklu „Harmony”, utrzymując charakterystyczną budowę układów kompozycyjnych a jednocześnie poszukując w tej ekwilibryście harmonii i lekkości.

„Inside Look” to dużo bardziej etiudy malarskie, inspirowane zarówno estetyką modernizmu, minimalizmem jak i japońską ikebana. Geometryczne formy przeplatają się z realistycznymi elementami portretowymi takimi jak oczy i usta. Moim założeniem było ukazanie świata niejako przez dziurkę od klucza. Obrazy z serii „Inside Look” są próbą wejścia w nasz osobisty świat, przede wszystkim w świat emocji, który z natury rzeczy jest intymny, skryty i najbardziej wrażliwy na zranienie. Te niepowtarzalne układy form są metaforą radości, smutków, niewysłowionych często uczuć i impresji. Są to w pewnym sensie artystyczne dzienniki malarskie – zapisy rozpoznawalnych emocji dostrzeżonych w twarzach nieznanym mi osób.



fol. Julia Pażyk

Joanna Lola Styrylska

Absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, Wydziału Grafiki (2006) i Wydziału Malarstwa – Pedagogika Artystyczna (2008). Stypendystka Ministra Kultury i Sztuki oraz Prezydenta Miasta Krakowa. Laureatka nagrody Grand Prix Salon Sztuki BWA Tarnów. Malarka i graficzka. Maluje, ilustruje, projektuje, czasem uczy – dzieląc się swoją wiedzą i doświadczeniem. Inspirowana przez naturę, jedność człowieka i przyrody oraz ich wzajemne połączenie. W projektach, cyfrowych jak i klasycznych – malarskich, wplata elementy inspirowane światem przyrody. W swojej twórczości skupia się na obserwacji koloru, bliska jest jej kapistowska koncepcja malarstwa. Prezentowała prace na licznych wystawach indywidualnych i zbiorowych, a jej prace znajdują się w znamienitych kolekcjach sztuki na całym świecie.



Joanna Lola Styrylska, *Inside look X*,
akryl na płótnie, 2023



Joanna Lola Styrylska, *Inside look*
XIV, 30x30, akryl na płótnie, 2023



Joanna Lola Styrylska, *Migracje Duszy*, 100x110 cm, akryl i olej na płótnie, 2024



Joanna Lola Styrylska, *Oddech IV*, 50x50 cm, akryl na płótnie, 2020



Joanna Lola Styrylska, *Return to forever*, 100x110 cm, akryl i olej na płótnie, 2023



Joanna Lola Styrylska, *Materia Czasu II*, 110x110 cm, akryl na płótnie, 2023



Joanna Lola Styrylska, *Inside look Złota Jaskółka*, 40x50 cm, akryl na płótnie 2023

Klarnecistka pisarką

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



Chyba nie wypada mi mówić od jak dawna znam Katarzynę Marczak. Powiem tylko, że to jedna z najmiłszych i najmądrzejszych osób, które miałem zaszczyt poznać i które do dziś szanuję i podziwiam. Życie jej nie oszczędzało – wiele przecierpiała, musiała ciężko walczyć z jego przeciwnościami, nieobce jej są ból, frustracja, nawet rozpacz. Jednakże na przekór wszelkim tragediom oraz rozczarowaniom zachowała pogodę ducha, ufność do świata, a także twórczy optymizm. Jej kariera jest przykładem jak można sobie (po)radzić w zmieniającej się prędko rzeczywistości nie popadając w sztampowość, unikając – zawsze nieświeżych – konwencji, tworząc za to dzieła oryginalne, istotne, potrzebne.

Kasia, bo tak się do niej zwracam, urodziła się i wyrastała w Krakowie. Od wczesnego dzieciństwa wykazywała uzdolnienia muzyczne, a przede wszystkim dość niezwykłą muzyczną ciekawość, która zaowocowała wyborem trudnej drogi wiodącej ku interpretacjom najnowszych utworów. Studiowała w krakowskiej Akademii Muzycznej uzyskując magisteria w klasach klarnetu i teorii. Już wówczas zajmowała się poważnie wykonawstwem Nowej Muzyki jako członkini założonego w 1993 Ara Ensemble, grupy związanej ze środowiskiem skupionym wokół śp. pianisty i kompozytora Adama Kaczyńskiego (1933–2010), założyciela legendarnego Ensemble MW2 (o czym za chwilę), który w krakowskiej uczelni wykładał współczesną kameralistykę. Z inspiracji i pod kierunkiem Kaczyńskiego liczni, w większości młodziutcy, muzycy przyjęli nie lada wyzwanie gry dzieł nowych i często jeszcze nieznanych. Ryzyko wielkie, ale jakże przyjemne.

Ara Ensemble, w którego skład wchodził oprócz Kasi flecistka Renata Guzik, skrzypek Marcin Kmiecik, wiolonczelista Marcin Bielawski oraz pianista Sławomir Kokosza, to przykład niewykorzystanej szansy. Grali wszystko, łącznie z grafiką muzyczną, która moim zdaniem jest pożyteczną szkołą treningu wyobraźni, intuicji, fantazji i zmysłu interakcyjnego kreowania formy. Błyszczeli w utworach minimalistycznych, ale także bardzo złożonych. Zespół był na najwyższym międzynarodowym poziomie, wyróżniano go na konkursach w Polsce i zagranicą, m.in. w Warszawie i Düsseldorfie, z powodzeniem występował w kraju, Danii, Holandii, Niemczech i Szwajcarii – taki projekt powinno się było popierać oficjalnie, wspierać finansowo i administracyjnie. A tu nic. Po latach walki o (z góry przegraną) sprawę wszystko się rozmyło w niemocy i bezholowiu. Mu-

zycy, znużeni pozaartystycznym wysiłkiem nad miarę, dali za wygraną i poszli własnymi ścieżkami – nie mieli wyboru. Szkoda. Słuchając ich nagrań można sobie łatwo wyobrazić, jaką korzyść miałyby polska muzyka z istnienia tak – dosłownie – zgranego kolektywu. Na szczęście została płyta, którą z udziałem czarodzieja inżynierii dźwiękowej Tomasza Lidy zespół nagrał dla kanadyjskiej wytwórni CLEF Records. Krążek, zatytułowany *RainDances* (jedno słowo), nagrany w 2004, wydany w 2005, zawiera nagrania muzyki polskiej i kanadyjskiej oferując interesujący, mozaikowy przegląd kompozytorskich tendencji od tych tradycyjnych po utwory progresywne. To była pierwsza i ostatnia płyta Ara Ensemble... Dobrze i to.

Kasia, jak to ona, nie dała za wygraną. Postanowiła podjąć studia doktoranckie. Zaprosiła ją jedna z najlepszych północnoamerykańskich uczelni, University of British Columbia w Vancouver. Tam też spędziła kilka lat po uzyskaniu doktoratu grając w znakomitym Trio sTREga (*strega* to po włosku strzyga, aluzja do trzech dziewczyn tworzących zespół: Kasi, wiolonczelistki Roberty Bottelli i pianistki Eriki Crinó; występowały też w innym składzie ze skrzypaczką Ewą Sas; ta nazwa ładnie przekłada się na polski: sTRZYga).

Wróciwszy do Polski Kasia zajęła się popularyzacją muzyki wśród najmłodszych. W latach 2012–2019 prowadziła z Agatą Stawską Centrum Muzyki i Muzykoterapii „Gaia”, które zajmowało się umuzykalnianiem niemowląt i dzieci. Potem otworzyła kolejny rozdział w życiu zawodowym, rozdział który pozostał do dziś otwarty i ciągle poszerzany: zajęła się pisaniem i tłumaczeniem książek.

Od razu stwierdzić należy, iż Kasia pisze bardzo dobrze, z werwą, potocznie i zajmując, z dużą dbałością o szczegóły takie jak daty, wydarzenia, konteksty sytuacyjne, materiały źródłowe wspierające wywód. To drobniagowe lecz narratywnie efektywne i efektowne podejście do materii tematycznej widać już w debiutanckiej pracy zatytułowanej *Eugenia Umińska – dama wiolinistki we wspomnieniach Kai Danczowskiej* (Kraków 2019, Akademii Muzycznej). „Fascynująca lektura” – tak Anna Woźniakowska określiła ten tytuł na łamach *Nowych książek* (styczeń 2020). Tom poświęcony Umińskiej był jakby przygrywką do następnego – *Kaja. Biografia Kai Danczowskiej* (Kraków 2020, Universitas). *Kaja...* jest wyjątkowo miarodajną, a przy tym wielowymiarową biografią wielkiej artystki, osoby jak mało która zasługu-

jącej na książkową biografię. Pierwsze wydanie sprzedało się jak ciepłe bułeczki, ukazało się (na szczęście) drugie.

Potem przyszły doskonale tłumaczenia prac brytyjskiego filozofa muzyki Rogera Scrutona – najpierw *Muzyka jest ważna* (Kraków 2020, Fundacja InCanto), następnie *Zrozumieć muzykę* (Kraków 2022, Fundacja InCanto). Są to dzieła bezcenne z poznawczego punktu widzenia, najwyższej mądrości przewodniki po muzyce. Tak autorce jak i Fundacji InCanto należą się gorące podziękowania za podjęcie trudu wydania tych dzieł.

Wreszcie książka mnie najbliższa czyli *Intencja MW2. Świat muzycznej awangardy* (Kraków 2023, Fundacja InCanto). Ensemble MW2 to „cała historia” polskiej awangardy, nie tylko tej muzycznej, ale i teatralnej oraz wizualnej. Dlatego tak ważnym było uchwycenie w słowie – i z prawdziwą miłością – pierwszych poczynąń grupy, jej rozwoju, ciężkiej pracy, budowania repertuaru, eksperymentów wykonawczych, zmagania z konserwatywnym środowiskiem, mniejszych i większych sukcesów, a także tła, powiedzmy, „towarzysko-historycznego” (w czym autorka celuje, dodajmy z elegancją i taktem). Przez bez mała półwiecze, od roku 1962 do końca pierwszej dekady XXI wieku, zespół setki razy prezentował najnowszy repertuar polski i zagraniczny, występując podczas dziesiątków festiwali, akcji koncertowych, czy pojedynczych koncertów. Tworzono dla nich dzieła, wśród których nie zabrakło utworów już obecnie uznawanych za klasyczne, na czele ze słynnym *TIS MW2* – kompozycji scenicznej dla aktora, mimy, tancerki i 5 muzyków (1962–1963) Bogusława Schaeffera.

Książkę przeczytałem jednym tchem, bo mówi ona o ludziach mi bliskich i o wydarzeniach, w których brałem udział. Znakomita robota. Chylę przed autorką czoła.

Polska szkoła interpretacji Conrada

STEFAN ZABIEROWSKI

1

Udzielając – niedługo przed przyjazdem do Polski w roku 1914 – wywiadu przedstawicielowi „Tygodnika Ilustrowanego” Marianowi Dąbrowskiemu Joseph Conrad-Korzeniowski zwrócił uwagę, że niektóre obszary jego pisarstwa są w stanie zrozumieć i zinterpretować jedynie krytycy polscy. Pisarz ten mówił: „Angielscy krytycy – wszak istotnie jestem pisarzem angielskim – mówiąc o mnie zawsze dodają, że jest we mnie coś niezrozumiałego, niepojętego, nieuchwytnego. Wy jedni to nieuchwytnie uchwycić możecie, niepojęte pojąć. To jest polskość. Polskość, którą wzięłam do dzieł swoich przez Mickiewicza i Słowackiego. *Pana Tadeusza* ojciec czytał mi głośno i mnie czytać kazał głośno. Nie raz, nie dwa. Wolałam *Konrada Wallenroda*, *Grażynę*. Później wolałam Słowackiego”.

Rolę krytyki polskiej w interpretacji dzieła Conrada bardzo mocno akcentował Stefan Żeromski, którego autorytet na wiele lat wytyczył kierunki konradystyki polskiej. Pisał on: „Bo my tylko jesteśmy w stanie zrozumieć go zupełnie, odczuć, co mówi jawnie i co ukrywa, co tai i co symbolami zaślania. My jedni, bo jest on także pisarzem polskim, aczkolwiek tworzył w języku angielskim”.

Tak więc pierwszą płaszczyzną odniesienia, tradycją w której należy lokować Conrada, jest polska historia i kultura późnej fazy epoki romantyzmu. Pisał Józef Ujejski: „Urodził się przecie na polskich kresach, w samym maceczniku polskiego romantyzmu. I urodził się z rodziców wspaniale romantycznych – romantycznych myślą, czynem i męką”.

Jeszcze raz przywołajmy wypowiedź Żeromskiego: „Dokoła jego kołyski biły serca wiernych rycerzy Polski, wygnanców i zesłańców, stał wieniec krewnych, ludzi poświęconych sprawie, i wpatrywały się weń oczy arcyrycerza powstania sześćdziesiątego trzeciego roku, Stefana Bobrowskiego. Dziecięce jego posłanie osnuł arcyzdaniem świata ojciec – poeta, tłumaczając je wytrwale, ażeby nie oszaleć w mękach wygnania, gdy w kraju wrzała walka. O tych wpływach literackich na młodą wyobraźnię późniejszego pisarza nic nie wiedzą francuscy i angielscy pisarze, a i sam Con-

rad we *Wspomnieniach* niewiele o nich powiedział”.

Nic tedy dziwnego, że pierwszym kluczem interpretacyjnym, po który sięgnęli polscy krytycy i badacze literatury, by wyjaśnić pisarstwo Conrada, była kulturowa i literacka tradycja polskiego romantyzmu. Bodaj jako pierwszy na relacje twórczości Conrada z polskim romantyzmem zwrócił uwagę na początku dwudziestolecia Konrad Górski recenzując polski przekład powieści Conrada *W oczach Zachodu*. Pisał on: „W poglądzie Conrada na Rosję uderza podobieństwo z Mickiewiczem, a mianowicie z wierszami zatytułowanymi *Dziadów III-ci Ustęp*. Pojęcie Rosji jako kraju, kojarzy się u Conrada najczęściej z wielką, martwą, pokrytą śniegiem równiną, która mu przypomina białą potworną pustą kartę, czekającą, by na niej spisano jakąś niepojętą historię. To określenie wydaje się niemal powtórzeniem słów Mickiewicza (*Droga do Rosji*):

*Kraina pusta, biała i otwarta,
Jak zgotowana do pisania karta* – itd.

Ale to skojarzenie, kilkakrotnie w powieści wracające, a będące zapewne echem dzieciennym przeżyć, nie jest jedyną reminiscencją z Mickiewicza. Chwilami żywo stają w pamięci niektóre myśli *Dziadów* i wiersza *Do Matki Polki*, nie mówiąc już o tym, że sytuacja Razumowa bardzo długi czas jest analogiczna do sytuacji Wallenroda”.

Badacze polscy zwrócili także uwagę na daleko idące podobieństwo ideowe i artystyczne między publicystyką polityczną Conrada – esejami *Autokracja i wojna*, czy *Zbrodnia rozbiórów* – a tekstami politycznymi polskich romantyków. Pisał Józef Ujejski: „Można by ulec złudzeniu, że czytamy tu w przekładzie angielskim jakąś emigracyjną prozę polskiego romantyzmu. A kiedy potem przychodzi «rzut oka» na przeszłość Polski, złudzenie to mogłoby jeszcze wzrosnąć. Jest to przecież ta sama apoteoza, którą znamy tak dobrze z dzieł «wieszczów»”.

Związki publicystyki politycznej Conrada z polskimi romantykami omówił już w połowie lat trzydziestych Julian

Krzyżanowski. Znakomity ten badacz zwrócił uwagę, że w esejach politycznych Conrada konflikt polsko-rosyjski przybiera wymiar metafizyczny, jest konfliktem między dobrem a złem.

Po wojnie zagadnieniem prozy politycznej Conrada zajął się emigracyjny poeta grupy Kontynentów, a zarazem profesor uniwersytetu w Vancouver – Andrzej Busza. Na kartach rozprawy o poetyce Conradowskiej nie-fikcyjnej wypowiedzi zwrócił on uwagę, że publicystyka polityczna Conrada, podejmująca problematykę polską, odwoływała się do już utrwalonych przez polski romantyzm wzorców, mitów i stereotypów. Conrad stosował takie środki literackie jak metafora i obraz, symbol i alegoria. Nie wyjaśniał problemów politycznych w sposób bezpośredni. Wynikało to z faktu, że pisarz ten nie był politykiem, ani politologiem, lecz interesującym się polityką amatorem. Te środki artystyczne, które stosował w swoich tekstach politycznych nie wpływały na ich siłę oddziaływania. Zdaniem Buszy, to co było słabością publicystyki politycznej Conrada, czyli nadmiar organizacji artystycznej oraz wizualność, stało się – w sposób paradoksalny – siłą jego twórczości literackiej, przede wszystkim zaś – powieści politycznych.

Przedstawiony powyżej typ interpretacji proponujemy nazwać interpretacją romantyczną. Jest ona historycznie najstarsza i pod wielu względami aktualna do dziś dnia.

2

Przeciwieństwem interpretacji romantycznej będzie pozytywistyczna, która uznaje polski pozytywizm za właściwy klucz do wyjaśnienia problematyki zarówno biografii, jak i pisarstwa Konrada Korzeniowskiego.

Interpretacja ta pojawiła się na gruncie polskim pod koniec lat pięćdziesiątych i miała dwa źródła. Pierwszym z nich było szczególne zainteresowanie epoką polskiego pozytywizmu, które okazywała – marksistowsko zorientowana – ówczesna historia literatury polskiej, której głównym ośrodkiem stał się wówczas Instytut Badań Literackich. Drugim źródłem tej interpretacji było ujawnienie istnienia listów wuja Tade-

usza Bobrowskiego do jego siostrzeńca Konrada Korzeniowskiego, obejmujących lata 1869 do 1893. Zawartość tej korespondencji była bezcenna dla poznania biografii i poglądów Conrada w tym czasie.

Zwolennikami pozytywistycznej opcji interpretacyjnej byli wówczas angliści z Uniwersytetu Warszawskiego – Stanisław Helsztyński i Róża Jabłkowska. Pierwszy z nich w referacie wygłoszonym na międzynarodowej konferencji conradowskiej, która odbyła się w Warszawie, w grudniu roku 1957, w setną rocznicę urodzin autora *Nostroma*, oświadczył: „Z pozytywizmu polskiego, którego Bobrowski był zwolennikiem, przeniósł Conrad do literatury pojęcie człowieka jako indywidualności, zobowiązanej moralnie do więzi z tradycją rodziny i społeczeństwa, w którym odgrywać winien rolę ofiarnego członka, zużywającego swój talent i siły, w nieustannej pracy, która jest jedynym szlachectwem człowieka.

Uporczywie jednak podtrzymywał Conrad prawo jednostki do podejmowania decyzji w samotności i niezależnie od czyichkolwiek wpływów. Ten judymowski rys samotnictwa i rozstrzy-

gania ostatecznej decyzji na własną rękę nadawał bohaterom Conrada cechę romantyczną, wprowadzającą w błąd przyszłych jego krytyków, nie umiających wnikać w poglądy polskich pozytywistów pod koniec wieku XIX, na których programie opierał się moralny system Conrada, wyznawany bez teoretycznych zresztą uzasadnień”.

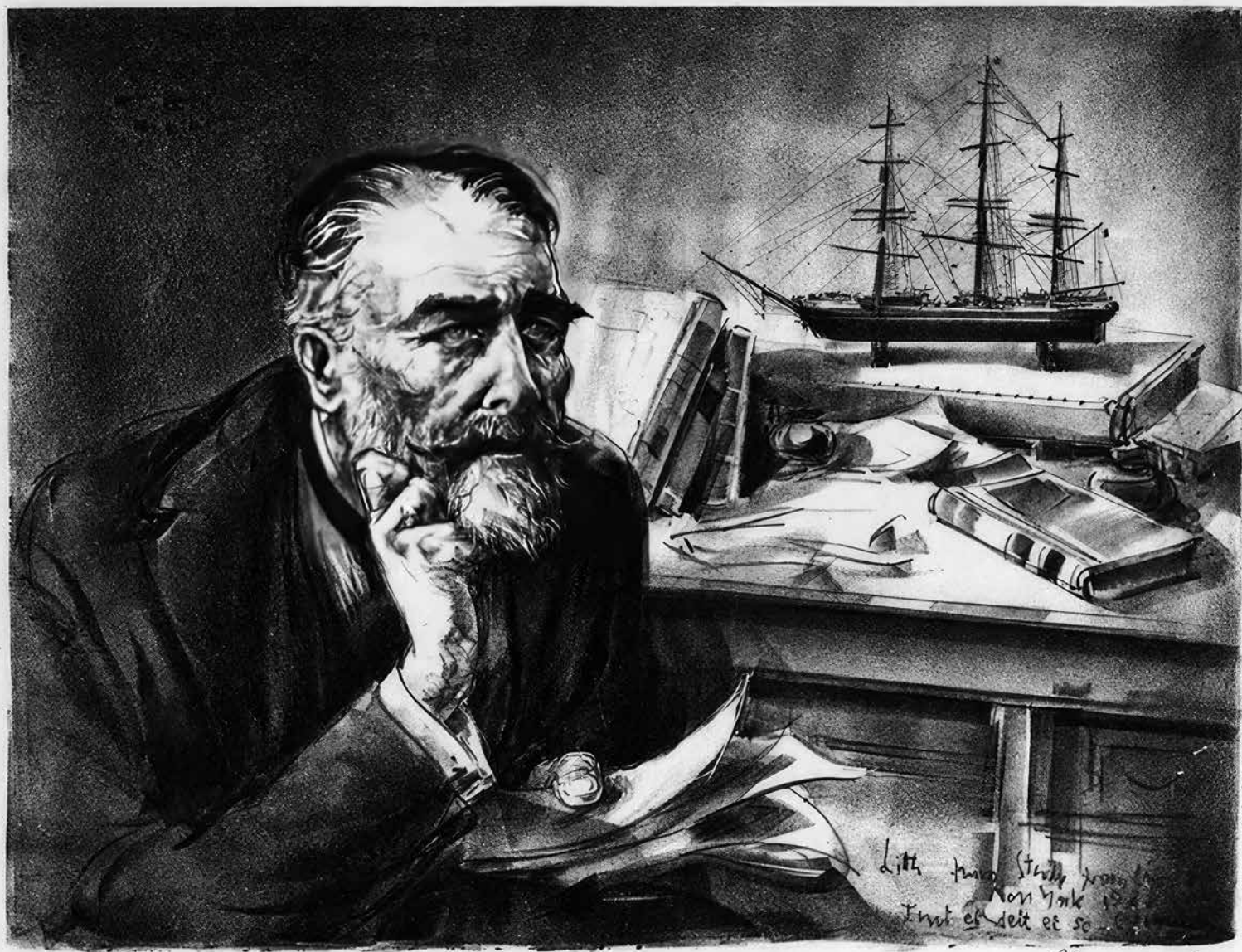
Poglądy te w znacznej mierze zostały rozwinięte w pracach Róży Jabłkowskiej, przede wszystkim w monografii *Joseph Conrad (1857–1924)* (1960). O związkach Conrada z literaturą polskiego pozytywizmu – nawiązując do studiów Helsztyńskiego i Jabłkowskiej – pisał Andrzej Busza przy okazji analizy wybranych utworów Conrada. I tak opowiadanie *Amy Foster* łączy ten badacz zarówno z doświadczeniem biograficznym Conrada na gruncie angielskim, jak też z polską literaturą emigracyjną tego okresu, z utworami Marii Konopnickiej *Pan Balcer w Brazylii*, czy też z *Za chlebem* Henryka Sienkiewicza.

Wydaje się, że zwolennicy interpretacji pozytywistycznej przeceniali wpływ literatury polskiej, a nie doceniali oddziaływania na Conrada realistycznej

i naturalistycznej literatury francuskiej, którą Conrad świetnie znał.

Odrębny problem stanowiły związki twórczości Conrada z literaturą Młodej Polski. Rzecz w tym, że poza *Popiołami* Stefana Żeromskiego i *Panną Mert* Kazimierza Przerwy-Tetmajera, wedle wiarygodnego świadectwa Anieli Zagórskiej, literatury tej, aż do pobytu w Polsce, w roku 1914, Conrad po prostu nie znał.

Ale mówiąc o Conradzie i Młodej Polsce, przywołać tu należy śmiało propozycję Tymona Terleckiego, który w pięknym eseju z tomu *Conrad żywy* (1957) pisał: „Zjawisko zbiorowe noszące miano Młodej Polski i występujące jednocześnie na arenie międzynarodowej zjawisko indywidualne, któremu na imię Joseph Conrad pozostają w bardzo podobnym podobnie bliskim i podobnie złożonym związku z romantyzmem polskim, z sugestią jego poglądu na świat, z magią sztuki. W całym obrębie ówczesnej sztuki europejskiej tylko te dwa zjawiska – Młodą Polskę i Conrada – łączy jeden ton – wiodzący się z romantyzmu polskiego, ton, który w najgrubszym uproszczeniu można określić jako ton bohaterski”.



Kolejną metodą interpretacji życiorysu i dorobku twórczego Conrada, jaka pojawiła się na gruncie polskim, była interpretacja, którą określamy tu jako symboliczną.

Szczególnie atrakcyjnym przedmiotem tej interpretacji stała się powieść Conrada *Lord Jim*. W roku 1905 Wiktor Gomulicki pisał o tej powieści: „Już zamykałem książkę Conrada z zupełnym zniechęceniem, już mówiłem sobie «nie ten pisarz n i e o d e r w a ł s i ę od Polski – on nigdy do niej nie należał...», gdy nagle coś we mnie krzyknęło – A może to wszystko tylko symbol? Ten okręt skazany na zatonięcie... ci podróżni zmorzeni snem, z nerwami wyczerpanymi ekstazą religijną ... ci samolubi, którym żądza życia każe uciekać ze statku ich opiece powierzonemu..., a zwłaszcza ten zabłąkany między nikczemników szlachetny z gruntu młodzieniec, któremu przez resztę życia szarpie serce prometejski sęp wyrzutów sumienia... ten «szlachcic» znajdujący na obcej ziemi dobrobyt, miłość, zaufanie, a jednak szukający ostatecznej ulgi w śmierci dobrowolnej – to wszystko jest że w głębi swej tym tylko, czym się angielskiemu czytelnikowi wyda-je? [...] Więc symbol?».

Tropem interpretacji symbolicznej tej powieści podążył także Stefan Żeromski, kiedy pisał: „Jeden z najprzenikliwszych i najsubtelniejszych naszych estetów, Wilam Horzycy, w pewnej rozmowie o twórczości Josepha Conrada zwrócił mi kiedyś uwagę na tajemnicę Lorda Jima, rzucając pytanie – czy utwór ten nie jest przypadkiem symboliczną spowiedzią? Czy pod formą, pod osłoną przypowieści o młodzieńcu nieśczęśliwym w stronach dalekich, borykającym się ze swym sumieniem, nie mamy tutaj wyznania o dziejach i przeżyciach duchowych innej zgoła natury? Czy nie jest to wymyślna historia innego niż opisany wewnętrzny procesu – zapomnienia, pogardzenia, odrzucenia innych zupełnie obowiązków?».

Duże zainteresowanie wzbudziła w Polsce książka szwajcarskiego naukowca, ze szkoły Karla Gustawa Junga – Gustawa Morfa – *The Polish Heritage of Joseph Conrad* (1930) Dowody jej silnego oddziaływania znajdziemy w monografii Józefa Ujejskiego *O Konradzie Korzeniowskim*. Zacytujmy: „Nie pójdziemy tu za przykładem G. Morfa i nie będziemy dowodzić, że statek Patna to Polska, Jim to Konrad Korzeniowski, a stanowisko, które sobie zdobył Jim w Patusanie, to alegoryzacja sławy i wagi angielskiej Józefa Conrada. Nie. Idzie tylko o uprzytomnienie, że sytuacja moralna, w jakiej się znalazł Jim po swoim nieszczęsnym «skoku» wydawała

się (może wydała się nagle) Conrado-wi analogiczna pod wielu względami do tej, w jakiej się on sam poczuł wewnętrznie, gdy wyobraźnia jego była zajęta tą postacią [...]».

Propozycje interpretacyjne Ujejskiego w znacznej mierze kontynuował czołowy emigracyjny krytyk Conrada – Wit Tarnawski. W przedmowie do przygotowanej przez siebie szkolnej edycji *Lorda Jima*, w Jerozolimie, w roku 1946, krytyk ten pisał: „*Lord Jim* był w dramacie moralnym Conrada pewnego rodzaju momentem przełomowym. Od napisania tej powieści Conrad nie jest już bezbronny. Przemyślał i przedstawił swoją spowiedź i zarazem obronę. Ale proces wewnętrzny toczy się w pisarzu dalej. To, czemu Conrad niegdyś się sprzeniewierzył, staje się dlań coraz bardziej w życiu cenne: wierność niezłomna, obowiązek wypełniany do końca. Głosił te hasła w swoich powieściach (*Tajfun*), przestrzega ich w życiu – jak gdyby chciał wszystko naprawić. Wyraza w nim po prostu kult postawy moralnej».

4

Czwartym kluczem interpretacyjnym, jaki pojawił się w conradystyce polskiej, w latach po II wojnie światowej był klucz pokoleniowy. Klucz ten dotyczył przede wszystkim dwóch generacji – „pokolenia 1910” i „pokolenia 1920”. O pierwszym z nich pisał Kazimierz Wyka: „Moje pokolenie wychowało się na Conradzie. Przyszli później inni mistrzowie. Przyszli, wielu z nich odeszło. Stary żaglowiec czekał cierpliwie. Czyżby nadchodziła pora, ażeby powrócić na jego pokład? Powrócić w pobliżu podwójnej już smugi cienia? W takim bowiem pobliżu dokonują się daremne powroty w stronę młodości».

Do generacji tej należeli twórcy i krytycy zafascynowani Conradem. Do nich zaliczyć wypadnie – Ludwika Frydęgo, Czesława Miłosza, Antoniego Gołubiewa, Bolesława Micińskiego, Konstantego Troczyńskiego i – oczywiście – Kazimierza Wykę. Piękny zestaw. Ich przeżyciem pokoleniowym stał się wielki kryzys lat trzydziestych.

Zaś do generacji 1920, nazywanej najczęściej „pokoleniem Kolumbów”, spośród tych jej przedstawicieli, którzy żywo interesowali się Conradem, wymienić należy przede wszystkim Andrzeja Brauna, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Leszka Proroka, Jana Józefa Szczepańskiego. Ich przeżyciem pokoleniowym stała się II wojna światowa, a także okupacja niemiecka i sowiecka. Pisał Jan Józef Szczepański: „Więc kiedy mówię «moje pokolenie» myślę o przeszłości. Myślę o narodzie dwudziestolatków, wytrąconych z koleiny zaplanowanego dla nich nor-

malnego życia i postawionych w obliczu dramatycznych wyborów. Myślę o okupacji. Bo tylko tamte lata ujawniają znamiona naszej inności, ukazują nas wyraźnie jako odrębną falę na rzece historii».

5

Ale istnieje jeszcze w Polsce od początku lat siedemdziesiątych piąty rodzaj interpretacji twórczości Conrada, który jest wyłącznie dziełem Zdzisława Najdera i który ma przede wszystkim charakter aksjologiczny. Proponuje nazwać tę odmianę interpretacją etyczną. Kluczowym pojęciem tej interpretacji stało się pojęcie honoru. Skąd się wzięło ono u Conrada?

Najder zwraca uwagę, że Konrad Korzeniowski, podobnie jak duża grupa Polaków w XIX wieku, jest inteligentem pochodzenia szlacheckiego. Jako człowiek przynależny do tej grupy przyjął on za swój i zinternalizował ethos szlachecki, który wywodzi się od ethosu rycerskiego. Kluczowym pojęciem tego ethosu jest pojęcie honoru. Pojęcie to jest obecne w wielu utworach Conrada. Jest pojęciem ważnym dla uchwycenia sensu powieści *Lord Jim*. Znaczącym jest też dla pewnych aspektów powieści *Nostromo*. Możliwe posługiwanie się tym pojęciem, doprowadzone do absurdu, przedstawia nowela *Pojedynek*.

Należy postawić pytanie: które z zaprezentowanych w Polsce na przestrzeni ponad wieku metody interpretacji dzieł Conrada, a także życiorysu tego pisarza, zachowały wartość, a która należy odłożyć do lamusa historii literatury?

Nie ulega wątpliwości, że wartość zachowała po dziś dzień interpretacja romantyczna. Twórczość Conrada jest na różne sposoby związana z tradycją romantyczną i nie uwzględnienia tego związku byłoby poważnym błędem.

Natomiast w dużej mierze nieporozumieniem wydaje się interpretacja pozytywistyczna. Jej zwolennicy wydają się nie dostrzegać dominującej roli zachodnioeuropejskiej poetyki realizmu i naturalizmu, która – obok romantyzmu – była kluczowa dla poetyki Conrada. Jeżeli chodzi o interpretację symboliczną, to należy sobie uświadomić, że występuje ona w dwu odmianach, które opisywane bywają bądź w języku poetyki lub też za pomocą pojęć z dziedziny psychologii.

O ile nam wiadomo, specyficznie polską interpretacją jest ukazanie roli Conrada z perspektywy doświadczeń dwu generacji – pokolenia 1910 i pokolenia 1920. Wydaje się jednak, że najbardziej oryginalna i odkrywczą jest interpretacja pewnych obszarów twórczości Conrada w kategoriach etyki honoru, co stanowi wielką zdobycz Zdzisława Najdera.

Lapidarium słowa

GRZEGORZ SZTOLER

„**M**oja matka zawsze interesowała się historią, choć była prostą, wiejską kobietą z podstawowym wykształceniem. W czasie wojny zimowymi wieczorami siadaliśmy z rodzeństwem przy lampie naftowej i słuchaliśmy jak opowiadała historie z dziejów Polski” – wspominał Zygmunt Orlik (1935–2018), historyk z pszczyńskich Kryr.

O sobie mawiał tak: „Poznanie historii winniśmy zaczynać od dziejów własnego rodu i regionu. Łatwiej później zrozumieć zjawiska z większego obszaru. Stąd też jako wizytator-metodyk byłem w gronie prekursorów tzw. regionalizacji w nauczaniu historii. Jestem zatem regionalistą”.

Trafiłem na Pana książkę, rys historyczny gminy Suszec. Wydana w latach 90., przejrzyście o każdej wsi suszeckiej gminy, łącznie z Kryrami, gdzie pan mieszkał. Wpadałem tam czasem jako młody dziennikarz. Poklachać...

Stwierdził Pan kiedyś, że: „Każdą publikację o danej wiosce powinien w pierwszej kolejności przeczytać wójt, farosz i kierownik szkoły. Żeby wiedzieli na jakim terenie pracują”.

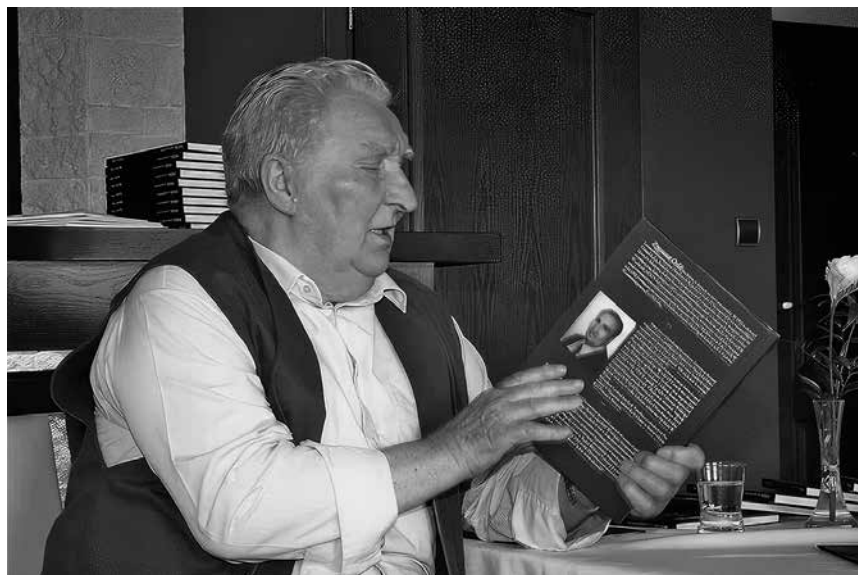
Był Pan na promocji mojej pierwszej książki, o rodzinnych Brzeźcach, w 1999 roku. W Izbie u Telemanna, w Pszczynie, w Muzeum Prasy Śląskiej, wręcza mi Pan pióro...

Ta książka, o Suszcu, *Wierność korzeniom* – patrzę na dedykację, widzę słowo „Przyjaciel”. To zobowiązuje.

„Większość moich «opowieści» ma charakter, że powiem nieskromnie – pionierski; są efektem mozolnej i czasochłonnej kwerendy i późniejszego opracowania. Interpretacja opisywanych faktów i postaw ludzkich stwarza zawsze niemało problemów i zdaje sobie sprawę, że w niektórych sprawach Czytelnik będzie miał odmienne zdanie” – mówił Pan o swojej pracy.

Rozmowy. Wiem, pamiętam, nieraz pytałem o coś w przełocie w pszczyńskim Starostwie, po sesji Rady Powiatu. Zawsze był Pan szczery, czasem zakłopotany, by nie rzec zawstydzony niektórymi poczynaniami (a ja byłem dociekliwym żurnalistą). Jak sprawa Paleji, nigdy się nie kończąca, budynku księżęcej administracji, który popadał w ruinę, aż wreszcie został wyzbyty za bezcen. Pan to rozumiał jako historyk i człowiek wrażliwy na dobro, prawdę i piękno. To, że mamy potencjał – tradycję, spuściznę – i to zbyt często marnujemy.

„U wielu piszących znajdują się materiały, których nigdy nie odważą się publikować. Podobnie jest u mnie. Nieraz ich ujawnienie może przynieść więcej strat społecznych i politycznych niż korzyści. Pomijam tu



ewentualne retorsje, jakie mogą przy okazji spotkać autora publikacji. Niechaj zatem ta wiedza pozostaje własnością odkrywcy lub wąskiego grona specjalistów” – powiedział Pan kiedyś.

Zresztą te Pana *Szkice...* Ile ich powstało? Ze 20, 25? Proste, zwięzłe, pionierskie (nawet żartowałem, że mamy własne, „pszczyńskie Orliki”, nie boiska, ale książki o własnych korzeniach). Już w latach 70., 80., zaczął pan realizować coś nowego, nienazwanego. Edukację regionalną. Opisując historię pszczyńskich wsi, z uwzględnieniem lat wojennych. I opisem losów czeskich lotników. A o ich lotnisku na pograniczu Brzeźc, Połęby i Kobielic, o którym zamierzał Pan popęlnić osobną pracę.

„My jesteśmy stąd i tutaj pozostaniemy. I to od nas zależy, jak będziemy o tych wszystkich wydarzeniach ostatniej wojny pamiętać...”

Niedawno pszczyńskie Liceum im. B. Chrobrego obchodziło swoje 280-lecie. I znów pisząc o nim do „Śląska”, wygłaszając też okolicznościowy referat jesienią 2022 roku w rybnickim Edukatorium Juliusz, natknąłem się – w publikacji poświęconej dziejom szkoły, jest opowieść o przeszłości jubilatki, której Pan dyktował...

No, gdzie Pana nie ma? W „Echu”, tyskim tygodniku, który ukazywał się od lat 50. aż do niedawna, wymieniony jest Pan 145 razy, w większości jako autor cyklów artykułów o historii Ziemi Pszczyńskiej (do której i Tychy przynależą). W skrócie, opublikował Pan z pół tysiąca takich artykułów (w innym miejscu podał Pan, że jest ich z sześćset).

„Nie zawsze jest to wdzięczna praca, to pisanie. Jeśli ktoś majątny, dajmy na to, się dowie, że jego pradziad był ubogim chłopem, ma do mnie pretensje”.

Przysłał mi Stasiu Janosz, nauczyciel historii, już emerytowany, ale wciąż aktywny (współpracuje przy nowej monografii Chrobrego), Pana życiorys. Czytałem, zdumiewam się, jak aktywny i pracowity Pan był. O ministerialnej nagrodzie za pracę magisterską wiedziałem, ale nie miałem pojęcia, jak bardzo prostemu synkowi z Kryrów musiało być pod górkę, by to wszystko osiągnąć. Własną pracą i uporem. Jak bardzo... Wypowiadał się Pan dla prasy:

„Przypomnienie historii sprzed dwustu lat może wywołać gniew. Gdzie i kto walczył? Po jakiej stronie? Nie wiadomo, czy można pisać prawdę i jednocześnie ująć całość przed wzrokiem sąsiadów. Żeby uniknąć nieporozumień postanowiłem każdą książkę dawać pod osąd mieszkańców opisywanej wsi. No, chcę się zabezpieczyć, żeby mnie później nie wyklinali (...). Więc, nie wyklinaście historyków!”

Nie tylko poświęcił się Pan pisaniu, ale także wykładom, odwiedzał pan szkoły. Nie wiedziałem, że z Pana taki gawędziarz... Młodzień to lubi...

„Tak, jeździłem z tym gadaniem tu i ówdzie. Po co? Piszę i mówię nie tylko «dla pokrzepienia serc». Dla historii, żeby wiedzieli, gdzie żyją”.

Zabierał Pan głos w różnych sprawach – i heraldycznych, i historycznych. To zrozumiałe, nie było większego fachmana. Potwarzał Pan:

„Potrzebny jest odpowiedni dystans. Nowe czasy to już nie historia – a polityka...”

Carl Hoinkes

Fabrykant, historyk i pisarz

DAWID TYC

Urodzony 8 maja 1882 roku jako syn prosperującego fabrykanta sukna, Carl Hoinkes dorasta w Bielsku przełomowego okresu rozwoju. Po ukończeniu miejsciego gimnazjum humanistycznego kontynuuje naukę na wiedeńskiej Akademii Handlowej. Córka Hoinkesa, Helga von Heintze, wspomina, że czas studiów przypieczętował dalszy los ojca. To właśnie w Wiedniu za sprawą obcowania z tamtejszą kulturą i sztuką ukształtowały się jego wszechstronne zainteresowania. Dopelnieniem studiów stały się natomiast liczne podróże po Europie i Oriencie. Powrót do rodzinnego miasta przypada na rok 1898. Hoinkes wdrażany jest wówczas w rodzinny interes, a w dalszej perspektywie przejmuje wraz z bratem rodzinną fabrykę sukna, mieszczącą się przy Bielskim Syjonie, uważanym swego czasu za jeden z najokazalszych placów w mieście. Bliskie stosunki Hoinkesa ze zboiem ewangelickim w Bielsku i jego kulturalnych działań skutkuje małżeństwem z córką pastora Artura Schmidta, z którą doczeka się się czworga dzieci, mających w przyszłości wnieść niemały wkład w rozwój nauki. Poza Helgą von Heintze, archeologką i znawczynią rzeźb antycznych, Herfried zasłynął jako ceniony metro-

log, specjalizujący się badaniem lodowców, zawodowo związany z Uniwersyteciem w Innsbrucku.

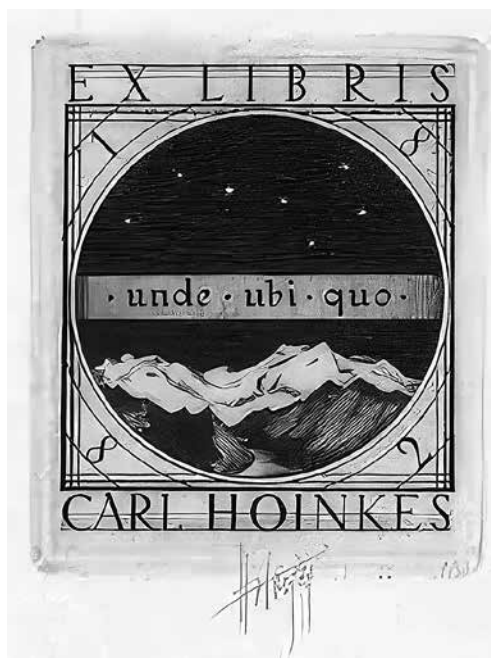
Carla Hoinkesa utożsamiano w Bielsku nie tylko jako fabrykanta, lecz z biegiem lat głównie jako historyka i pisarza. Na stałe był zaangażowany w rozwój kultury tego przemysłowego miasta. Efektem jego działań jest spuścizna, jaką stworzył wraz ze swoimi rówieśnikami pastorem Richardem Ernestem Wagnerem, wydawcą i autorem opracowań o Bielsku, oraz Erwinem Hanslikiem, autorem pracy o Białej. W jego powieściach, dramatach oraz wierszach, których znaczna część powstała już poza ojczyzną Hoinkesa, powraca motyw miasta i jego historii.

Choć trudno jest ustalić, kiedy Hoinkes zaczął tworzyć, można uznać, że doświadczenia wywołane I wojną światową skłaniają go do rozpoczęcia badań nad historią miasta, których efekty były publikowane na łamach niemieckiego czasopisma naukowego w Polsce. Warto nadmienić, że Bielsko w 1920 r. weszło w skład Polski, co oznaczało polonizację urzędów i wprowadzenie języka polskiego do szkół miasta, które jednak do 1945 r. zachowa w dużej mierze swój niemiecki charakter. Z drugiej strony perspektywa następnej wojny i w rezultacie konieczność opuszczenia Bielska skutkują intensywniejszą fazą twórczości, która skupia się na utraconej ojczyźnie jako sposobie radzenia sobie z dramatycznymi przeżyciami. W 1935 r. wiedeńskie wydawnictwo braci Hohn wydaje debiutowy dramat Hoinkesa pt. *Rasenplan*, opowiadający o zmaganiach bielskich ewangelików w czasie kintreformacji, kiedy to ich nabożeństwa mogły odbywać się jedynie potajemnie. Sztuka zdobyła uznanie i była chętnie wystawiana przez miejscową młodzież. W następujących latach ukazuje się zbiór wierszy oraz pierwsze powieści historyczne. Jednocześnie Hoinkes kontynuuje pisanie prac historycznych.

Po wojnie Hoinkes z rodziną ucieka do Tyrolu, a następnie

przenosi się do Münster w Westfalii. Podobny los spotkał wielu Niemców, którzy musieli opuścić swoje domy oraz majątki i w zorganizowanych przesiedleniach, później w wyniku wypędzeń, udać się w nieznane. Na terenie powojennych Niemiec i Austrii wydawane są gazety i publikacje, obejmujące twórczość mieszkańców byłych niemieckich miast rozproszonych w nowych warunkach po różnych zakątkach świata. Grupy mieszkańców z Bielska jak i innych miast Śląska Austriackiego zrzeszają się w organizacjach miejscowych, ale również ponadregionalnych, często określając sam region swojego pochodzenia jako *Beskidland*, związany bezpośrednio z okolicami Beskidu Śląskiego. Wiele takich publikacji wydawanych jest przez bawarskie i austriackie stowarzyszenia. Jedną z nich było „Mein Beskidland”, w którym Hoinkes publikuje swoją twórczość.

Ostatnią powieść Hoinkesa *Horn und Söhne* wydano *post mortem* w 1974, przed piętnastą rocznicą śmierci autora. Fragment utworu przedrukowano natomiast krótko po jego odejściu na łamach czasopisma „Bielsko-Bialskie Listy Beskidzkie”. Wydawana przez austriackie stowarzyszenie Heimatbund Beskidland powieść była dostępna na zamówienie. Chcąc wierzyć słowom Gottlieba Biermanna, innego znanego historyka związanego z pograniczem morawsko-śląskim, *Horn und Söhne* może stanowić kontynuację wcześniejszej powieści Hoinkesa, zatytułowanej *Meister Andreas* z roku 1939, która ma opowiadać o początkach rodziny Hoinkesów przybyłej do szesnastowiecznego Bielska z regionu Dolnego Renu. Obydwie powieści cechują się w rzeczy samej dokładnością historyczną i przedstawiają obrazy włókienniczego miasta i fazy jego rozwoju. Znajomiony z miastem czytelnik może odnieść wrażenie bycia świadkiem nieznanego wydarzenia w znanej przestrzeni. Założywszy, że pod pozorem fikcyjnej rodziny Hornów autor zapisał dzieje swojej rodziny, obejmujące aż cztery stulecia, okazuje się, że o zapomnianym bielszczaninie wiemy więcej, niż można by przypuszczać.



Miasto trulli – Alberobello

JANUSZ PLEWNIAK

Fascynująca architektura, śródziemnomorski krajobraz i wyjątkowe doznania kulinarne czekają na gości w południowym włoskim miasteczku Alberobello. Alberobello we włoskim regionie Apulia około 60 km od stolicy prowincji Bari zasłynęło z domów pasterzkich w kształcie stożków.

To małe miasteczko jest najbardziej znane z owych charakterystycznych stożkowych budynków, nazywanych trulli. Chociaż można je znaleźć wszędzie w Apulii, zwłaszcza w Murgia dei Trulli, nigdzie nie jest ich tak dużo, jak w Alberobello.

Trulli przypominają spiczaste kapelusze z zielonych gajów oliwnych i winnic; były to w większości proste chaty wiejskie zbudowane z surowej skały polnej. Zasadniczo metoda budowy jest zawsze taka sama: surowe kamienie polne układa się jeden na drugim, stosując suchą konstrukcję, tworząc grube ściany fundamentowe na w przybliżeniu kwadratowej lub częściowej kołowej powierzchni. Stożkowy kształt dachów tworzą chiancarelle, płyty kamienne ułożone ukośnie jedna na drugiej. Kamienisty grunt bezpłatnie dostarcza niewyczerpanego materiału budowlanego.

Technika budowy domów z kamiennych płyt, podatna na naprawy, była przekazywana z pokolenia na pokolenie i wdrażana w coraz bardziej pomysłowe sposoby. Proste chaty chłopskie, w których początkowo trzymano bydło i sprzęt, szybko stały się małymi wiejskimi domkami, wyposażonymi nawet w przestronne wnęki, okna i cysterny. Gdy potrzebne było więcej miejsca, zwykle jednopokojowe trulli po prostu łączono ze sobą i składano, tworząc wygodne konglomeraty trulli.

Pinnacolo, szczyt dachu jest zwykle wydłużony w kształcie kuli lub gwiazdy. Mur i szczyt są obecnie wapnowane w kolorze śnieżnobiałym, natomiast stożkowy dach zachowuje niezmienne charakterystyczny szaro-czarny kolor kamienia naturalnego. Na dachach można odkryć różnorodne dekoracje i symbole: z jednej strony indywidualizujące domy osady trulli, jako że wcześniej te niby „nie domy” nie mogły mieć numeracji, z drugiej strony przywołujące siły nadprzyrodzone do ochro-

ny; inicjały, znaki pogańskie, chrześcijańskie i astrologiczne są artystycznie namalowane i widoczne z daleka, przy tym często informują o zajęciu gospodarza.

Jedną z licznych legend o pochodzeniu trulli opowiada o Giangiolamo II Acquavivie, feudalnym władcy tego obszaru w XVII wieku. Już wtedy właściciele domów musieli płacić królowi swego rodzaju podatek od nieruchomości. Według tej legendy Giangiolamo II Acquaviva d'Aragona nakazał poddanym zbudować trulli w ten szczególny sposób. Aby nie uważano ich za prawdziwe domy i aby mieszkańcy osad nie musieli płacić podatków, domy, na podobieństwo wcześniejszych schronów na polach i pastwiskach, budowano z luźno ułożonych płyt kamiennych, aby można było je łatwo zdemontować, gdy do miasta przyjdą poborcy podatkowi. Trulli nie liczyły się, ponieważ zbudowano je bez zaprawy. Przed królewską inspekcją, którą straż miejskie odpowiednim „powitaniem” na rogatkach miejscowości opóźniały, trulli mogły szybko zamienić się w nieestetyczne stopy kamieni. Szybko je potem odbudowywano.

Aby oszczędzić swoim poddanym królewskiego podatku, Giangiolamo kazał ludności budować kamienne chaty bez zaprawy, które zgłosili celnikom jako stopy kamieni. W ten sposób władca feudalny przechrzcił króla i jego pozornie ślepych urzędników, a następnie rzekomo sam zebrał podatki.

Pierwsze kamienne „igloo” zbudowano w Alberobello już pod koniec XVI wieku. Jednak strefa Trulli przeżyła swój rozkwit budowlany dopiero w XVIII i XIX wieku, gdy w krótkim czasie postawiono ponad 1000 spiczastych, kamiennych kapeluszy. Nawet kościół San Antonio, który góruje nad strumą dzielnicą Monti to kopułowy budynek o wysokości ponad 20 m. Świątynia ma, jak mogłoby być inaczej, konstrukcję dachu w stylu trulli.

Trulli są po prostu zabawne; proste, białe okrągłe domy, które zwykle można zobaczyć z daleka dzięki ich stożkowemu dachom. W dwóch historycznych dzielnicach Alberobello Rione Monti i Aia Piccola znajduje się łącznie ponad 1500 trulli. Największym tru-

llo jest „Trullo sovrano”, które jako jedyne ma dwa piętra i obecnie mieści się w nim prywatne muzeum.

Historia trulli. Miasto Alberobello było niezamieszkane aż do XIV wieku, kiedy to zostało przydzielone przez króla Neapolu księciu Anjou za jego zasługi podczas wypraw krzyżowych. W ten sposób miejsce powoli zaczęło być zasiedlane. Najstarsze trulli swoim kształtem nawiązują do greckiej, okrągłej budowli kultowej Tholos, typowych kopułowych budynków, w których chowano zmarłych. Podobnych, a nawet starszych budynków tego typu jest wiele przy Morzu Śródziemnym, np. Narughi na Sardynii, na Sycylii czy na hiszpańskich Balearach. Na początku XVIII wieku Alberobello liczyło 3500 mieszkańców. Liczba mieszkańców szybko rosła i kiedy trullo stało się za małe dla rodziny, budowano obok niego jedno, dwa lub trzy trulli, więc domów ze spiczastymi kapeluszymi było coraz więcej.

Trulli były wcześniej schronami pasterzy, a kolejno domami biednych ludzi na wsi. Teraz są „pomnikiem” i są częścią światowego dziedzictwa kultury UNESCO. Nie bez powodu, bo co na pierwszy rzut oka wydaje się po prostu urocze, okazuje się, że jest sprytnie przemyślanym tworem architektury o wysokim kunszcie: wysokie sklepienia wykonano bez zaprawy. Te z pozoru prowizoryczne kamienne szalasy, pełniły nie tylko funkcję osłony przed deszczem. Stożkowe dachy służyły jako magazyny skarbu rolników, czyli zboża. Pod stożkiem do przechowywania rolniczych płodów, głównie zboża, była przestrzeń życiowa dla ludzi i stajnia dla ich bydła. Ludzie i zwierzęta pod jednym dachem – a kiedy przyszło na świat potomstwo, tuż obok starego trulli zbudowano nowy, przebito ścianę, połączono trulli. Im więcej „szyszek”, tym większa rodzina, tym bogatszy rolnik. Tak powstały dzielnice „Aia Piccola” i „Monti” z ponad tysiącem charakterystycznych domów. Jak mało która inna architektura, projekt trulli pozostał prawie niezmienny na przestrzeni wieków. Dziś wielu byłych mieszkańców opuściło małe, niewygodne mieszkania. „Rożki dachowe” powoli przejmują sklepy z pamiątkami, cukierniki, lodziarnie, kawiarnie i restauracje. ■



Chorzowskie emocje rockowe

ZBIGNIEW LUBOWSKI

– *Życiorys Hendrixa, na blachę!* – brzmi stanowcze polecenie nauczyciela, skierowane do zaskoczonych uczennicy. – *Ale mieliśmy uczyć się matematyki* – próbuje polemizować jeden z uczniów. – *Po co matematyka? Ozy Osbourne miał kłopoty z liczeniem, a i tak został światową gwiazdą rocka* – ripostuje zatwardziały rockman we wcieleniu pedagoga na zastępstwie.

Takie właśnie niecodzienne rozmowy ogarniętego rockową pasją nauczyciela ze szkolną młodzieżą stanowią istotę amerykańskiego spektaklu muzycznego *School of rock* Andrew Lloyd Webbera i Juliana Fellowesa. Przetłumaczone na język polski i wyreżyserowane przez Jacka Mikołajczyka dwuaktowe widowisko sceniczne miało swoją prapremierę w dniu 6 czerwca na deskach Teatru Rozrywki w Chorzowie.

Na kanwie filmowego pierwowzoru

Jest to teatralna inscenizacja pochodzącego z 2003 roku amerykańskiego filmu muzycznego w reżyserii Richarda Linklatera (scenariusz Mike White). Publiczność obserwuje burzliwe losy Dewey'a Finna, bezrobotnego miłośnika rocka, obciążonego solidnymi długami, których nie potrafi spłacić.

Nie mając wymaganych kwalifikacji pedagogicznych obejmuje przypadkowo posadę... tymczasowego nauczyciela na zastępstwie w elitarnej szkole Horace Green. Prowadzone w niej lekcje muzyki dotyczą twórczości Mozarta i innych klasycznych kompozytorów, a nie rocka. Postrawia zatem zmienić radykalnie sposób nauczania muzyki w tej snobistycznej placówce edukacyjnej.

Od Mozarta do Deep Purple

Wprowadza rockową rewolucję. Zараża uczniów swoją niesamowitą pasją muzyczną, zachęcając ich do udziału w rockowej „Bitwie gigantów”. Jego wychowanek wie dowiadują się o istnieniu zespołów, o których do tej pory nigdy nie słyszeli – Led Zeppelin, AC/DC, Motörhead. Dewey dostarcza uczniom elektryczne gitary i perkusję, by sami – jak to określa – „grzali rocka”.

Odkrywa, że uczniowie mają więcej ukrytego talentu, niż przypuszczał. Tworzy więc szkolną grupę rockową, która przygrymuje – jakżeby inaczej! – nazwę *School of rock*. Fascynującym dla publiczności fragmentem musicalu jest bez wątpienia scena, w której młodziutka uczennica (w tej

roli rewelacyjna Inka Warchoł wyłoniona w ogólnopolskim castingu) gra na gitarze basowej – na żywo! – przewodni motyw legendarnego utworu *Smoke on the water* (sprzed ponad 50 lat) z repertuaru Deep Purple. Ciarki przechodzą po plecach dorosłych widzów.

Podążać za marzeniami

Zakręcony na punkcie rocka Dewey dokonuje cudu – zmienia gromadę dzieci wywodzących się z szacownych rodzin mieszczańskich w pełnokrwistych rockmanów, pragnących podążać za swoimi marzeniami. Pod jego wpływem uczniowie chcą się wyrwać z okowów dotychczasowego życia. Marzą o uczestnictwie w rockowej *Bitwie gigantów*. Rodzice dzieciaków nie akceptują jednak takiej metamorfozy ich mentalności...

Pojawiają się kłopoty. Wychodzi na jaw, że nauczyciel na zastępstwie nie jest żadnym zawodowym pedagogiem. Rozpędzona przez niego szkolna maszyna muzyczna nie chce jednak się zatrzymać. Dzieci nie zamierzają wrócić – jak gdyby nigdy nic – do swojego dawnego życia. W końcu okazuje się, że nieposkromiona dusza rockowego zapaleńca odmienia losy całej społeczności szkolnej.

Dzieci u boku zawodowców

Pod względem artystycznym chorzowski musical jest zetknięciem dwóch różnych światów – zawodowych aktorów i śpiewaków z Teatru Rozrywki oraz uzdolnionych dzieci z różnych zakątków Polski. Młodzi adepci sztuki scenicznej (w wieku od 8 do 12 lat) z Elku, Lublina, Warszawy, Śląska, Wielkopolski i Zakopanego zostali wyłonieni w drodze castingu.

Warto koniecznie odnotować, że widowisko ma bardzo atrakcyjny charakter dzięki chorzowskiej scenie obrotowej. Dynamiczna i wirująca wręcz oprawa scenograficzna spektaklu jest pomysłem dziełem Grzegorza Policińskiego.

Świetną kreację wokально-aktorską zaprezentował Jakub Wróblewski w głównej roli Dewey'a Finna. Stworzona przez niego postać desperackiego rockmana aż pulsowała emocjami. Znakomicie partnerowała mu Wioletta Białk we wcieleniu Rosalie – dyrektorki szkoły. Z ortodoksyjnej służbistki oddanej początkowo bez reszty żelaznym wymogom tradycji placówki przeistoczyła się w ciepłą i sympatyczną bohaterkę rockowych perypetii szkolnych.

Na uwagę zasługiwały też dwie inne kreacje artystyczne – Wioletry Malchar-Orynicz (rola Patty – prawdziwej *femme fatale*, przynoszącej same porażki głównemu bohaterowi) oraz Huberta Waljewskiego (we wcieleniu Neda, spolegliwego przyjaciela Dewey'a, który w końcowych scenach przedstawienia objawia nagle drapieżny pazur rockowy wobec zdumionej Patty).

Z grona dziecięcych wykonawców trzeba natomiast wyróżnić troje młodocianych adeptów sztuki scenicznej – Juliana Rucińskiego (Zack) z jurajskiej miejscowości Żarki, Kacpra Maładyna (Lawrence) z Chorzowa i Emilię Lasak (Tomika) z Zakopanego. Każde z nich ujawniło niewątpliwie predyspozycje muzyczne i aktorskie. Kreowana przez Emilię postać nieśmiałej i milczącej przeważnie dziewczynki przypadła do gustu wielu widzom, gdy w pewnej chwili zaczęła ona nieoczekiwanie śpiewać z ogromnym uniesieniem sławny i popularny utwór *Amazing Grace* (chrześcijańska pieśń religijna).

Hard rock z pedagogicznym przesłaniem

O żywiołowe układy choreograficzne w spektaklu zadbał pieczołowicie Jarosław Staniek i Katarzyna Zielonka. Dzieci w jednolitych mundurkach szkolnych, zaprojektowanych ze smakiem przez Annę Chadaj tańczą porywająco w rytmie rocka. Nie sposób wreszcie pominąć milczeniem wkładu zawodowych muzyków w ostateczny efekt artystyczny całości. Teatralna orkiestra pod batutą Wiesława Jańczyka (trzech gitarzystów, dwóch pianistów, basista i perkusista) zapewnia niesamowitą oprawę muzyczną ponad trzygodzinnemu widowisku, a gitary brzmią jak na rasowym koncercie hard rockowym.

Piosenki z tekstami Glenna Slatara (w polskim tłumaczeniu Mikołajczyka) uwypuklają artystyczne przesłanie spektaklu: „każdy z nas może być, kim tylko chce, jeśli tylko zaufa własnym marzeniom”. Gorącym owacjom chorzowskiej publiczności nie było końca na czerwcowej premierze poruszającego do głębi musicalu. Na widowni nie brakowało rodziców dzieci w wieku szkolnym. To oni są – jak można sądzić – najważniejszymi adresatami pedagogicznego przesłania sztuki: pozwólmy najmłodszym realizować bez przeszkód ich życiowe pasje!



ŚWIATŁO I MROK



Muzeum
Śląskie

95
LAT

Teatr Leszka Mądzika

**21.06.2024–
–22.09.2025**



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Województwo
Śląskie

Muzeum Śląskie w Katowicach jest instytucją
kultury Samorządu Województwa Śląskiego
współprowadzoną przez Ministerstwo
Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Muzeum
Śląskie

Muzeum Śląskie w Katowicach
ul. T. Dobrowolskiego 1
40-205 Katowice
tel. 32 779 93 00
www.muzeumslaskie.pl



www.facebook.com/muzeumslaskie
www.instagram.com/muzeumslaskie
www.twitter.com/muzeumslaskie



Muzeum Śląskie wyróżnione
w międzynarodowym konkursie
na najlepsze europejskie muzeum
European Museum of the Year Award 2017



Współpraca: